

**LUCY MAUD MONTGOMERY**

**ANIA NA UNIWERSYTECIE**



## CHMURKI NA HORYZONCIE

- Żniwa już skończone i lato minęło - szepnęła Ania Shirley spoglądając rozmarzonym wzrokiem na opustoszałe pola. Obydwie z Dianą Barry zajęte były zrywaniem jabłek w sadzie na Zielonym Wzgórzu, a w tej chwili postanowiły odpocząć trochę w osłonecznionym zakątku ogrodu, gdzie panowała cisza przerywana tylko brzęczeniem drobnych muszek i delikatnym powiewem wietrzyka, przynoszącego słodką woń z pobliskiego Lasu Duchów.

Cały krajobraz dokoła mówił o zbliżającej się jesieni. Fale morskie szumiały w oddali, pola były nagie, poszarzałe i poprzecinane miedzami, zasłanymi złotem opadających liści. Dolina Fiołków w pobliżu Zielonego Wzgórza rozkwitła tysiącem purpurowych astrów, a Jezioro Lśniących Wód stawało się coraz bardziej błękitne. Nie był to jednak zmienny błękit wiosenny ani też blady lazur lata, był to czysty, zdecydowany, poważny błękit, jakby wody jeziora jeszcze niedawno rozkołysane pełnią życia przygotowywały się do zimowej drzemki.

- Piękne mieliśmy lato - rzekła Diana obracając z uśmiechem nowy pierścionek na palcu lewej ręki. - Ślub panny Lawendy był niejako ukoronowaniem letnich miesięcy. Sądzę, że państwo Irving są już obecnie nad brzegami Pacyfiku.

- Gdy myślę o tym, mam wrażenie, że w tę swoją podróż naokoło świata wybrali się przed wiekami - westchnęła Ania. - Nie chce mi się wierzyć, że ślub ich odbył się przed tygodniem. Zbyt dużo mamy zmian naraz. Panna Lawenda wyszła za mąż, państwo Allan wyjechali. - Chatka Ech wygląda smutno z zamkniętymi okiennicami. Przechodziłam wczoraj wieczorem koło niej. Zrobiła na mnie wrażenie, jakby wszyscy jej mieszkańcy wymarli.

- Nie znajdziemy drugiego takiego pastora jak pan Allan - rzekła Diana ze smutkiem. - Jestem pewna, że tej zimy nabożeństwa będą się odbywały rzadziej. Ty i Gilbert także wyjeżdżacie, naprawdę można będzie oszaleć.

- Ale za to zostaje Alfred - wtrąciła Ania przebiegle.

- Kiedy pani Linde przynosi się do was? - zapytała Diana, jak gdyby nie słysząc uwagi Ani.

- Podobno jutro. Bardzo się cieszę, że zamieszka na Zielonym Wzgórzu, ale ta jej przeprowadzka sprowadzi znowu ogromną zmianę. Obydwie z Marylą wysprzątałyśmy wczoraj gościnny pokój, przeznaczony dla pani Linde. Wiesz, że mi to sprawiło przykrość? Może jestem głupia, ale odniosłam takie wrażenie, jakbym się dopuściła świętokradztwa. Ten stary pokoik był dla mnie zawsze jakby świątynią. Za

czasów dzieciństwa uważałam go za najpiękniejszy apartament na świecie. Przypominasz sobie, jak pragnęłam przespać choć jedną noc w szerokim łóżku w gościnnym pokoju? Ale nie na Zielonym Wzgórzu! Och, nigdy! To byłoby okropne, umarłabym chyba z wrażenia. Nigdy przez ten pokój nie przechodziłam swobodnie; jeśli Maryla posłała mnie tam po coś, zawsze skradałam się na palcach, z zatamowanym oddechem, jakbym się znajdowała w kościele, a uczuwałam dziwną ulgę, gdy wychodziłam stamtąd. Wisiały tam na ścianie, po obu stronach lustra, portrety George'a Whitefielda i księcia Wellingtona. Ilekroć się tam znalazłam, patrzyły na mnie z surowością, zwłaszcza kiedy zerknęłam w lustro, jedyne w naszym domu, które nie zniekształcało mojej twarzy. Często dziwiłam się, jak Maryla ośmiela się sprzątać w tym pokoju. A teraz jest on nie tylko wysprzątan, ale zupełnie pusty. Obydwa portrety powędrowały na strych. Tak się kończy sława na tym świecie! - dodała Ania ze śmiechem, w którym drżała jednak cichutka nuta żalu. - Przykro jest profanować dawne świętości, chociaż się już nawet wyrosło z dziecięcych wierzeń.

- Będę ogromnie samotna po twoim wyjeździe - westchnęła Diana już chyba po raz setny. - I pomyśleć tylko, że wyjeżdżasz w przyszłym tygodniu.

- Ale przecież jesteśmy jeszcze razem! - zawołała Ania wesoło. - Musimy ten ostatni tydzień tak spędzić, aby pozostał nam na zawsze w pamięci. Mnie samej myśl o wyjeździe sprawia ogromną przykrość, bo przecież zostawiam dom i tylu serdecznych przyjaciół. Mówisz o swej samotności. To ja powinnam się jej lękać. Ty zostajesz tu wśród starych przyjaciół, a przy tym Alfred jest z tobą, gdy ja tymczasem będę między obcymi, bo nie znam tam ani jednej żywej duszy!

- Ale za to będzie Gilbert i Karol Sloane - rzekła Diana wpadając w ton Ani.

- Karol Sloane będzie dla mnie doprawdy wielką pociechą - przyznała Ania ironicznie i nagle obydwie wybuchnęły głośnym śmiechem. Diana wiedziała doskonale, co Ania myśli o Karolu Sloane, martwiło ją jedynie, że nie może zgłębić uczucia Ani do Gilberta Blythe. A może Ania sama dokładnie nie zdawała sobie z tego sprawy?

- Chłopcy zamieszkają na pewno na przeciwległym krańcu miasta - ciągnęła dalej Ania. - Bardzo się cieszę, że jadę do Redmondu, i jestem pewna, że go polubię. Najgorsze będą początkowe tygodnie, bo nie sądzę, żebym mogła przyjeżdżać na niedzielę do domu jak za czasów seminarium, a do Bożego Narodzenia jeszcze bardzo daleko.

- Wszystko się zmieniło albo się zmieni - rzekła Diana ze smutkiem. - Mam

wrażenie, Aniu, że dawne dobre czasy już nigdy nie wrócą.

- Staliśmy na rozstajnych drogach - szepnęła Ania w zamyśleniu. - I do tego dojść musiało. Czy sądzisz, Diano, że być dorosłym to istotnie taka przyjemność, jak się nam zdawało, gdy byliśmy dziećmi?

- Sama nie wiem, chociaż pewne przyjemności są z tym związane - odparła Diana bawiąc się znowu swoim pierścionkiem i uśmiechając się tajemniczo, jakby pragnęła zaznaczyć, że Ania jest jeszcze pod tym względem osobą niedoświadczoną. - Ale tyle jest rzeczy niezbadanych. Czasem mam wrażenie, że czuję lęk przed tą „dorosłością”, i w takich chwilach dałabym dużo za to, żeby być znowu małą dziewczynką.

- Przypuszczam, że z czasem przyzwyczaimy się do tego, że jesteśmy dorośle - powiedziała Ania wesoło. - Dla człowieka dorosłego nie ma już tak wielu rzeczy nieprzewidzianych - chociaż wydaje mi się, że właśnie niespodzianki są okrasą ludzkiego życia. Mamy teraz lat osiemnaście. Za dwa lata będziemy miały dwadzieścia. Jako dziesięcioletnia dziewczynka uważałam, że ludzie dwudziestoltni są już zupełnie starzy. Za kilka lat ty będziesz stateczną matroną w średnim wiekują zaś ciocią Anią, która cię będzie odwiedzać podczas wakacji. Chyba zawsze się u was kąt dla mnie znajdzie, kochanie? Oczywiście nie gościnnie pokój, stare panny nie lubią windować się tak wysoko po schodach, poza tym ja będę skromna i wystarczy mi jakaś mała komórka przy kuchni.

- Cóż za głupstwa gadasz, Aniu! - zaśmiała się Diana. - Na pewno zostaniesz żoną jakiegoś bogatego i przystojnego chłopca, zapomnisz wtedy o wszystkich gościnnych pokojach i będziesz zadzierała nosa wobec dawnych przyjaciół z Avonlea.

- Szkoda by było, mój nos jest dość ładny i zdaje mi się, że zadzianie zniekształciłoby go - Ania mówiła teraz z komiczną powagą. - Nie ma znowu tak wielu pięknych rysów, abym taki jeden możliwy nos skazywać na zeszpecenie. Toteż jeżeli nawet zostanę żoną Króla Zaczarowanej Wyspy, obiecuję ci, że na twój widok nosa zadzierać nie będę.

Dziewczęta rozstały się w wesołym nastroju. Diana pobiegła w stroi Sosnowego Wzgórza, Ania zaś skierowała się na pocztę. Tam oczekiwał już na nią list. Gdy w kwadrans potem Gilbert Blythe spotkał ją na moście nad Jeziorem Lśniących Wód, zauważył na jej twarzy wyraz radosnego podniecenia.

- Priscilla Grant także jedzie do Redmondu! - zawołała. - Czyż nie nadzwyczajnie się składa? Lękałam się, że jej ojciec się na to nie zgodzi. Na szczęście,

nie stawiał przeszkód i będziemy razem mieszkać. Mogę teraz całkiem spokojnie stanąć w obliczu całej plejady profesorów z uniwersytetu, skoro będę miała przy boku Priscille.

- Sądzę, że polubimy Kingsport - rzekł Gilbert. - Jest to bardzo ładne, stare miasto i posiada podobno najpiękniejszy park na świecie. Opowiadano mi, że urządzenie parku jest po prostu nadzwyczajne.

- Wątpię, czy gdziekolwiek może być ładniej niż tutaj - rzekła Ania rozglądając się wokół z rozmarzeniem, jak gdyby miejsce, które nazwała „domem”, musiało być najpiękniejszym zakątkiem na świecie, choćby ni wiadomo ile pięknych krain znajdowało się pod obcym niebem.

Stali obydwoje, oparci o balustradę mostu, wchłaniając z rozkoszą upojną atmosferę zmierzchu. Tarcza zachodzącego słońca nie zniknęła jeszcze za szczytami pagórków, a już wzeszedł księżyc i odbijał się poświatą swych promieni w spokojnej tafli jeziora. Czar wieczoru zdawał się spowijać swą pieszczotą dwoje młodych, zasłuchanych w tajemnicze szepty przyrody.

- Czemuś taka milcząca, Aniu? - zapytał wreszcie Gilbert.

- Lękam się mówić, bo gotowam spłoszyć to wszystko, co tonie w ciszy - szepnęła cichutko Ania.

Gilbert położył nagle dłoń na małej jej rączce, spoczywającej na balustradzie mostu. Duże jego oczy pociemniały jeszcze bardziej, chłopięce wargi rozchyliły się w nagłej chęci wypowiedzenia czegoś, co od dawna już musiało przepełniać jego duszę. Lecz Ania cofnęła niespokojnie rękę i czar prysnął.

- Muszę wracać do domu! - zawołała ze sztuczną nieco obojętnością. - Maryla miała dzisiaj straszną migrenę, więc sądę, że nie będzie mogła zająć się bliźniętami. Nie powinnam była tak długo zostawać poza domem.

Przez całą drogę, aż do Zielonego Wzgórza, Ania mówiła bez przerwy i beładnie, a biedny Gilbert nie odważył się już zmienić tematu rozmowy.

Gdy się pożegnali, Ania odetchnęła z ulgą. Od ostatniego zdarzenia w Chatce Ech zrodziło się w jej duszy dziwne uczucie dla Gilberta, do czego sama przed sobą wolała się nie przyznawać. Coś nieznanego wtargnęło do ustronia ich starej przyjaźni - coś, co jej wyraźnie zagrażało.

„Dawniej nie cieszyłam się tak, gdy Gilbert odchodził - pomyślała na poły z urazą, a na poły ze smutkiem, idąc spieszenie do domu wąską ścieżką. - Jeszcze te głupstwa gotowe zniweczyć naszą przyjaźń. Ale tak się stać nie może, nie dopuszczę

do tego! Och, dlaczego chłopcy są tacy niecierpliwi?!”

Niecierpliwością nazywała Ania nagłe, nieoczekiwane odruchy Gilberta, które wywoływały przeważnie niespokojne drżenie w jej duszy. Właściwie ta jego niecierpliwość nie sprawiała jej przykrości, odczuwała wobec niej coś zupełnie innego niż na przykład wówczas, gdy zbliżał się do niej Karol Sloane, jak to było podczas tańca w Białych Piaskach. Na samo wspomnienie tego tańca Ania wzdrygnęła się z niechęcią. Prędko jednak zapomniała o tym wszystkim, otoczona domową atmosferą wielkiej kuchni na Zielonym Wzgórzu, gdzie na szerokiej kanapie ośmioletni jej wychowanek zanosił się teraz od płaczu.

- Tadziu, co się stało? - zapytała Ania chwytając go w objęcia. - Gdzie Maryla i Tola?

- Maryla kładzie Tolę do łóżka - szlochał Tadzio. - A ja płaczę, bo Tola spadła ze schodów... na głowę... do piwnicy i zdarła sobie skórę na nosie...

- Och, ale nie płacz, kochanie. Rozumiem, że ci jej żal, ale twój płacz nic nie pomoże. Jutro na pewno będzie zupełnie zdrowa. Płacz nikomu nie pomaga, Tadziu.

- Ależ ja nie dlatego płaczę, że Tola spadła ze schodów! - zawołał Tadzio przerywając potok słów Ani z jeszcze większym żalem. - Płaczę dlatego, że nie widziałem, jak spadała. Każda taka dobra zabawa musi mnie ominąć!

- Och, Tadziu! - Ania z trudem powstrzymała głośny wybuch śmiechu. - Więc to dla ciebie jest zabawne, że biedna Tola spadła ze schodów i tak strasznie się potłukła?

- Tak strasznie to się znów nie potłukła - rzekł Tadzio zuchwale. - Gdyby się zabiła, tobym na pewno się zmartwił. Ale Keithowie tak prędko się nie zabijają. Podobnie jak Blewettowie. Henio Blewett spadł w zeszłą środę ze strychu i stoczył się prosto do stajni, pod kopyta okropnie dzikiego, nie ujeżdżonego wierzchowca, a jednak nic mu się nie stało. Jest zdrow, żyje, tylko trzy żebra złamał. Pani Linde powiada, że są na świecie tacy ludzie, których nawet siekierą nie zarąbiesz. Aniu, czy pani Linde jutro się do nas sprowadza?

- Tak, Tadziu, i mam nadzieję, że będziesz dla niej zawsze grzeczny.

- Naturalnie że będę grzeczny. Ale, Aniu, czy ona mnie będzie kładła codziennie do łóżka?

- Możliwe. Bo co?

- Dlatego - rzekł Tadzio z powagą - że ja przy niej nie będę odmawiać pacierza, jak przy tobie, Aniu.

- Dlaczego?

- Dlatego że przy obcych nie powinno się rozmawiać z Panem Bogiem. Tola może mówić pacierz przy pani Linde, aleja nie chcę. Zaczekam, aż odejdzie, i wtedy dopiero się pomodłę. Dobrze, Aniu?

- Dobrze, jeżeli jesteś pewien, że potem nie zapomnisz.

- O, na pewno nie zapomnę! Ja bardzo lubię się modlić, ale zawsze większą przyjemność sprawiało mi, jak mówiłem pacierz przy tobie. Bardzo bym chciał, żebyś została w domu, Aniu. Nie rozumiem, dlaczego właściwie wyjeżdżasz i zostawiasz nas samych.

- I ja bym wolała tutaj zostać, Tadziu, ale czuję, że powinnam wyjechać.

- Jeżeli wolisz zostać, to po co jedziesz? Przecież jesteś już zupełnie dorosła. Jak ja dorosnę, to nie zrobię nic takiego, na co nie będę miał ochoty.

- W ciągu całego życia nieraz się zdarzy, że będziesz robił to, co ci nie będzie sprawiało przyjemności, Tadziu.

- Ani mi się śni! - zaprzeczył Tadzio gorąco. - Teraz robię to, co mi każą, nawet muszę chodzić spać, bo ty i Maryla tak chcecie. Ale jak będę dorosły, nikt mnie do niczego nie zmusi. Emilek Boutler słyszał, jak matka jego mówiła, że ty wyjeżdżasz na uniwersytet, aby złapać męża. Czy to prawda, Aniu? Chciałbym to wiedzieć.

Twarzyczkę Ani oblał krwawy rumieniec, zaraz jednak zaśmiała się wesoło, tłumacząc sobie, że wulgarne plotkarstwo pani Boutler nie powinno jej wcale obchodzić.

- Nie, Tadziu, to nieprawda. Jadę, żeby się nauczyć wielu mądrych rzeczy.

- Jakich rzeczy?

- Jak się kotu buty szyje i niegrzeczne dzieci bije - wyrecytowała Ania śmiejąc się.

- Ale jak będziesz chciała znaleźć męża, to jak się do tego weźmiesz? Bardzo chciałbym to wiedzieć - indagował Tadzio, dla którego ta sprawa musiała mieć widocznie szczególne znaczenie.

- Zapytaj o to panią Boutler - odparła Ania całkiem bezmyślnie. - Ona zna się lepiej na tych sprawach ode mnie.

- Zapytam, jak tylko ją zobaczę - rzekł Tadzio, uspokojony już prawie zupełnie.

- Tadziu! Ani mi się waź! - zawołała Ania, zorientowawszy się nagle w popełnionym błędzie.

- Przecież sama mi kazałaś - zaprotestował Tadzio patrząc na nią z

niedowierzaniem.

- Już najwyższy czas, żebyś poszedł do łóżka - oznajmiła Ania z powagą, pragnąc przerwać niemiły temat rozmowy.

Ułożywszy Tadzia w łóżeczku, Ania zeszła na dół i wolnym krokiem poczęła iść w stronę lasu. Przysiadła nad brzegiem strumyka, zapatrzona w srebrzystą tarczę księżycą i zasłuchana w duet szmerzącej wody i wiatru. Ania zawsze bardzo kochała strumyk. Wiele marzeń dziecięcych snuła nad jego bystrymi falami podczas owych dni, które już dawno minęły. Tu zapominała o dziewczęcych troskach, o złośliwych obmowach sąsiedzkich, o wszystkich kłopotach dzieciństwa. Tu siłą swej wyobraźni płynęła po niezmiernych obszarach dalekich mórz i dostrzegała chwilami w oddali brzegi zagubionej Atlantydy lub gwiazdę wieczorną, wskazującą drogę do upragnionej Krainy Czarów. W tych godzinach marzeń była bogatsza niż w rzeczywistości, bo rzeczy widzialne mijają, niewidzialne natomiast trwają bez końca.



## KWIATY JESIENI

Następny tydzień minął szybko na załatwianiu niezliczonej ilości „rzeczy ostatecznych”, jak je Ania nazywała. Składała i przyjmowała pożegnalne wizyty, mniej lub bardziej miłe, zależnie od tego, czy darzyła owych ludzi sympatią i czy podzielali oni jej poglądy. Niektórzy z nich uważali, że Ani przewróciło się w głowie z powodu uniwersytetu, i starali się ją ściągnąć z owego... piedestału wyższości.

Z okazji wyjazdu Ani i Gilberta K.M.A. urządziło pożegnalne przyjęcie w mieszkaniu Józii Pye, wybierając ten dom dlatego, że był dość obszerny i wygodny. Poza tym obawiano się, że Pye'ówny nie zechciałyby wziąć udziału w zabawie, gdyby odrzucono zaofiarowane przez nie mieszkanie. Przyjęcie było ogromnie miłe, bo Pye'ówny mówiły wyjątkowo niewiele i nie psuły harmonii, jaka panowała wśród całego towarzystwa. Józia też była tego wieczoru niezwykle sympatyczna i nawet do Ani zwróciła się raz z nadzwyczajną uprzejmością:

- Bardzo mi się podoba twoja nowa suknia, Aniu. Naprawdę wyglądasz w niej prawie zupełnie ładnie.

- Jakże miło z twojej strony, żeś to zauważyła - odparła Ania patrząc na Józję figlarnie. Miała już duże poczucie humoru i uwagi, które ją raziły w czternastym roku życia, teraz bawiły ją ogromnie. Józii zdawało się, że Ania śmieje się z niej w duszy. Ulżyła więc sobie szepcząc do Gabryni, że nareszcie Ania nabierze ogłady, gdy wyjedzie na uniwersytet.

Wszyscy starzy znajomi zebrali się podczas tego pożegnalnego wieczoru i mieszkanie Pye'ówien rozbrzmiewało weselem głośnych rozmów. Uroda Diany Barry rozkwitała jeszcze bardziej, gdy dziewczyna znajdowała się przy boku wiernego Alfreda; Janka Andrews była jak zwykle miła, stateczna i pełna prostoty; Ruby Gillis wyglądała prześlicznie w kremowej jedwabnej bluzce, z kwiatem czerwonej geranii w złocistych włosach;

Gilbert Blythe i Karolek Sloane starali się przebywać jak najbliżej Ani; Carrie Sloane była blada i melancholijna, bo ojciec jej niechętnie spoglądał na zaloty Olivera Kimballa, a Billy Andrews siedział przez cały wieczór w najodleglejszym kącie pokoju z wyrazem zadowolenia na piegowatej twarzy i nie spuszczał oka z Ani.

Wiść o uroczystym przyjęciu dotarła do Ani oczy wiście już wcześniej, nie wiedziała ona jednak, że przygotowano także pożegnalną przemowę dla niej i Gilberta, jako założycieli towarzystwa, i podarunki w dowód wdzięczności (Ania otrzymała dzieła Szekspira, a Gilbert wieczne pióro).

Ania była tak wzruszona niespodzianką i tym wszystkim, co zawierało przemówienie - Moody Spurgeon wygłosił je niezwykle uroczystym głosem - że nie mogła opanować łez, które na chwilę zaćmiły blask jej oczu.

Ania pracowała dla K.M.A. z wielkim oddaniem, toteż miło jej było usłyszeć gorące słowa uznania, a poza tym wszyscy byli tacy serdeczni, przyjacielscy i weseli, nawet Pye'ówny siedziały spokojnie i nie wtrącały swoich zwykłych złośliwych uwag! Tego wieczoru Ania darzyła miłością wszystkich ludzi na świecie.

Przyjęcie upłynęło w doskonałym nastroju, lecz sam jego koniec zepsuł miłe wrażenie. Była to wina Gilberta. Gdy spożywano wieczerzę na werandzie, oświetlonej blaskiem księżyca, Gilbert znowu ośmielił się wyszeptać pod adresem Ani kilka czułych słów. Ażeby go ukarać, Ania stała się nagle uprzejma dla Karolka Sloane'a i pozwoliła mu się nawet odprowadzić do domu. Potem jednak zorientowała się, że ta straszna zemsta właśnie ją samą najbardziej dotknęła. Gilbert wyszedł z domu Pye'ów w towarzystwie Ruby Gillis i Ania słyszała z daleka ich wesoły śmiech, rozbrzmiewający dźwięcznie w czystym powietrzu cichego jesiennego wieczoru. Widocznie dobrze im było razem, gdy tymczasem ona nudziła się śmiertelnie w towarzystwie Karolka Sloane'a, który mówił bez ustanku, i to niegodnego słuchania. Ania tylko czasem rzucała nieznaczące „tak” lub „nie” i bez przerwy myślała o tym, że Ruby dzisiaj wyglądała wyjątkowo ładnie, że oczy Karolka, wieczorem, przy świetle księżyca, zdają się być jeszcze bardziej wyłupiaste niż we dnie i że właściwie świat nie jest wcale taki piękny, jaki jej się jeszcze niedawno wydawał.

- Jestem tylko zmęczona i dlatego patrzę na wszystko w ten sposób - rzekła do siebie, znalazłszy się wreszcie w swym pokoiku. Istotnie wierzyła, że jedynym powodem tego niezwykłego u niej pesymizmu było zmęczenie... lecz następnego wieczoru odczuła dziwną radość i jakby tchnienie wiosny odezwało się w jej serduszku, gdy ujrzała Gilberta idącego od strony Lasu Duchów i dążącego w kierunku Zielonego Wzgórza. Więc jednak Gilbert nie miał zamiaru spędzić tego ostatniego wieczoru w towarzystwie Ruby Gillis!

- Wyglądasz dziwnie zmęczona, Aniu - zauważył.

- Jestem zmęczona i bez humoru. Zmęczona, bo przez cały dzień szylałam i pakowałam rzeczy, a na brak humoru wpłynęły ostatnie pożegnalne wizyty sześcioro sąsiadek, z których każda usiłowała dawać mi zbawienne rady na przyszłość. Dzięki tym radom świat wydaje mi się bezbarwny, szary, brzydki i ponury jak w listopadowy poranek.

- Głupie babska - wyraził Gilbert rycersko swe niezadowolenie.

- Och, nie, nie mów tak! - powiedziała Ania z powagą. - To jest właśnie najgorsze. Gdyby to były tylko głupie baby, nie przejmowałabym się tym. Ale one nie miały nic złego na myśli. To bardzo poczciwe kobiety, które ogromnie mnie lubią i ja też je lubię. Troszczą się po prostu o moją przyszłość. Starają się udowodnić mi, że mój wyjazd do Redmondu jest zupełnie nie na miejscu i że niepotrzebni pragnę się dalej kształcić. Pani Sloane powiedziała mi z głębokim westchnieniem, że na pewno opuści mnie energia, nim zdążę dobrać do końca. Oczywiście, po takim powiedzeniu wydało mi się nagle, że jestem biedną ofiarą życia. Pani Eben Wright zaznaczyła, że takie cztery lata w Redmondzie będą kosztowały bardzo dużo pieniędzy; ja oczywiście od razu poczułam się winna wobec Maryli i przez chwilę miałam nawet ochotę zaniechać upragnionego wyjazdu. Pani Jasper Bell wyraziła nadzieję, że uniwersytet nie zepsuje mnie, bo w ogóle tamtejsze życie bardzo źle oddziałuje na skromne dziewczęta. Usłyszawszy te słowa, oczami wyobraźni ujrzałam siebie kroczącą przez ulicę Avonlea z dumnie podniesioną głową i patrzącą z góry na wszystko i wszystkich. Natomiast pani Eliza Wright dodała, że wszystkie dziewczęta w Redmondzie, a zwłaszcza te z uniwersytetu, są pretensjonalnie ubrane i nadęte, i wątpi, czy będę się dobrze wśród nich czuła. Od razu zobaczyłam siebie jako brzydko ubraną, pogardzaną wiejską dziewczynę, zagubioną wśród wspaniałych sal uniwersyteckich.

Ania zaśmiała się głośno z tych wszystkich nieprzyjemnych przepowiedni, jednakże jej uczuciowa natura nie pozwalała zapomnieć o nich prędko. Ania usiłowała nie przywiązywać wagi do tych wszystkich avonlejskich bredni, ale w tej chwili jej zdrowy rozsądek zdawał się chwiać jak wąty płomień świecy zapalanej na wietrze.

- Przypuszczam, że nie bierzesz tego wszystkiego do serca - zauważył Gilbert. - Wiesz przecież, że widnokrąg myślowy tych wszystkich pań jest bardzo ciasny, aczkolwiek są miłe i dobre. Ich zdaniem to wszystko, czego one same nie doświadczyły w młodości, jest ekscentryczne i nieprzyzwoite. Jesteś pierwszą dziewczyną z Avonlea, która odważyła się wyjechać na studia uniwersyteckie. Wiesz doskonale, że wszyscy pionierzy zmuszeni są pokonywać wiele przeszkód, a opinia ogółu ocenia ich z początku jako ludzi niepczytalnych.

- O, wiem o tym! Lecz to, co się czuje, nie ma nic wspólnego z tym, co się wie. Rozsądek mój zgadza się zupełnie z tobą, ale przychodzą chwile, kiedy rozsądek jest słabszy od uczucia. Wówczas ogarnia mnie zwątpienie. Tak też było po owych sześciu wizytach. Po pożegnaniu z ostatnią, panią Elizą, byłam tak zmęczona, że po prostu nie

miałam siły wziąć się do pakowania rzeczy.

- I teraz jesteś zmęczona, Aniu. Zapomnij o wszystkim i przejdź się ze mną trochę. Chodźmy do lasu. Pragnę ci pokazać coś ciekawego.

- Niemożliwe! Istotnie znalazłeś coś ciekawego w lesie?

- Mam nadzieję, że to „coś” jeszcze znajdziemy, choć widziałem to bardzo dawno, bo wczesną wiosną. Chodźmy. Niech nam się zdaje, że jesteśmy znowu dwojgiem dzieci i pragniemy pójść z wiatrem w zawody.

Ruszyli ochoczo naprzód. Pamiętając o przykrościach ostatniego wieczoru, Ania była niezwykle miła dla Gilberta, on zaś zrozumiał już, jak należy z nią postępować, i postanowił być dla niej tylko dawnym szkolnym towarzyszem. Pani Linde i Maryla obserwowały młodych z okna kuchni.

- Kiedyś będzie z nich para - odezwała się pani Linde z pobłażliwym uśmiechem.

Maryla cofnęła się nieznacznie od okna. W głębi duszy marzyła o takiej przyszłości dla Ani, lecz wolałaby nie słyszeć tego z ust pani Małgorzaty, która na pewno rozniesie swoje przypuszczenie po całej wsi.

- Przecież obydwójce są jeszcze prawie dziećmi - odparła krótko. Pani Linde zaśmiała się dobrodusznie.

- Ania ma już osiemnaście lat; w jej wieku byłam dawno mężatką. My, starsi, moja Marylo, mamy ten dziwny zwyczaj, że nie dostrzegamy, iż dzieci nasze z biegiem lat stają się dorosłymi ludźmi. Ania jest już młodą kobietą, a Gilbert dojrzałym mężczyzną i jest w niej wyraźnie zakochany, każdy to widzi. To porządny chłopiec i dla Ani bardzo odpowiedni. Sądzę, że Ania będąc na uniwersytecie nie zawróci sobie głowy jakimś pierwszym lepszym studentem. Nie pochwalam obecnego systemu studiów, bo uważam, że mieszane towarzystwo na uniwersytecie nie przynosi naszym dziewczętom niczego dobrego. Nie wierzę w to - kończyła pani Linde uroczyście - by studenci na uniwersytecie zajmowali się czymś innym poza flirtowaniem.

- Przecież muszą się uczyć trochę - wtrąciła Maryla z uśmiechem.

- Kto by w to wierzył? - rzekła ironicznie pani Małgorzata. - Chociaż sądzą, że Ania będzie się uczyć. Nigdy specjalnie nie interesowała się chłopcami. Ale myślę, że nie docenia Gilberta tak, jak on na to zasługuje. O, ja znam dobrze dziewczęta! Karolek Sloane także jest nią zajęty, ale nigdy bym nie radziła jej wyjść za niego. Sloane'owie to dobrzy i uczciwi ludzie, ale zawsze zostaną tylko Sloane'ami.

Maryla skinęła potakująco głową. Chociaż powiedzenie przyjaciółki, że

Sloane'owie zawsze pozostaną tylko Sloane'ami, nie było zbyt jasne, to jednak Maryla doskonale zrozumiała intencję pani Małgorzaty. W każdej wsi musi istnieć taka jedna rodzina: dobrzy, uczciwi, porządni ludzie, ale Sloane'ami są i zostaną na zawsze, chociażby mówili językiem samych aniołów.

Tymczasem Gilbert i Ania, nie zdając sobie sprawy z tego, że pani Małgorzata uczyniła tak ważne postanowienie na temat ich przyszłości, zagłębiali się coraz bardziej w zarośla Lasu Duchów. Na skraju lasu widać było poszarzałe, ogołoczone pola, łączące się na horyzoncie z sinym od chmur niebem. Drzewa miały barwę zaśnieżonego brązu, a długie ich cienie padały na ustronne, zielone niegdyś polany. Ponure wycie wiatru przypominało co chwila o tym, że jesień panowała już w całej pełni.

- Ten las jest naprawdę zaczarowany, rządzą w nim duchy wiosennych wspomnień - szepnęła Ania zbierając złociste liście, których stosy pokrywały leśne ścieżki. - Mam wrażenie, że obydwie z Dianą jesteśmy jeszcze małymi dziewczynkami i bawimy się tutaj w naszym ulubionym miejscu przy Fontannie Driad, i rozmawiamy z duchami. Wiesz, że nigdy o zmierzchu nie mogę przejść tą dróżką, aby nie odczuć dziwnego lęku, jaki nawiedzał mnie w dzieciństwie? Wyobraziłyśmy sobie kiedyś ducha zamordowanego dziecka i zdawało nam się, że czujemy dotknięcie jego zimnych palców. Muszę przyznać, że jeszcze dzisiaj nie mogę się oprzeć temu uczuciu i gdy przechodzę tędy późnym wieczorem, zdaje, mi się zawsze, że słyszę za sobą jakiś odgłos lekkich kroków. Nie lękam się ani śmierci, ani człowieka bez głowy, ani kościotrupów, lecz o tym duchu zamordowanego dziecka wolałabym nie myśleć. Pamiętam gniew Maryli i pani Barry, gdyśmy kiedyś z Dianą wspomniały o tym - kończyła Ania śmiejąc się cichutko.

Cały las dokoła przystrojony był, niby wielką koroną, sklepieniem purpurowych liści, drżących teraz pod wpływem powiewów jesiennego wiatru. Za kępką starych sosen i poza szeroką polaną, tonącą podczas lata w promieniach słonecznych, znaleźli wreszcie to „coś”, czego Gilbert tak zawzięcie szukał.

- Ach, oto jest! - zawołał w pewnej chwili z radością.

- Jabłonka, i to w takim ustroniu! - wykrzyknęła Ania w zachwycie.

- Tak, prawdziwa jabłonka, tutaj, w otoczeniu sosen i buków, w odległości mili od jakiegokolwiek sadu. Zaszedłem tu pewnego dnia wczesną wiosną i ujrzałem ją w całej krasie białego kwiecia. Postanowiłem przyjść jesienią, aby się przekonać, czy będzie miała owoce. Spójrz, przeciążona jest jabłkami. Wyglądają jak smagłe policzki

dzieci, zaróżowione nieco od słońca. Dzikie drzewka rodzą przeważnie owoce zielone i niezdatne do jedzenia.

- Przypuszczam, że padło tu jakieś ziarnko zagnane podmuchem wiatru - szepnęła Ania zadumana. - Ziemia przygarnęła biedactwo, a ono potem wyrosło samo, samiuteńkie między obcymi roślinami!

- Widzisz to przewrócone drzewo, porośnięte mchem tworzącym miękką poduszkę? Siądźmy na nim, Aniu. Będzie ono dla nas tronem w tej cudnej leśnej krainie. Ja wejdę na drzewo, żeby zerwać kilka jabłek. Rosną bardzo wysoko, widocznie jabłoneczka usiłowała dosięgnąć złocistej, ciepłej tarczy słonecznej.

Jabłka okazały się wyśmienite. Pod rumianą skórką znajdował się bielusiutki miąższ, poprzerzynany gdzieniegdzie drobnymi, czerwonymi żyłkami. Oprócz smaku właściwego ogrodowym jabłkom posiadały rozkoszny smak dzikości, jakiego nigdy nie miało żadne jabłko wyhodowane ludzką ręką.

- Legendarne jabłko z rajskiego drzewa nie mogło mieć lepszego smaku - zauważyła Ania w pewnej chwili. - Ale pora już wracać do domu. Popatrz, trzy minuty temu był jeszcze dzień, a teraz już jest księżyc na niebie. Jaka szkoda, że nie uchwyciliśmy momentu przeobrażania się dnia w noc. Niestety chwila ta nigdy chyba nie daje się uchwycić wzrokiem.

- Wróćmy do domu Aleją Zakochanych. Czy i teraz jesteś jeszcze tak zniechęcona jak przed godziną, Aniu?

- Ale skądże! Te jabłka były niby manna z nieba dla mojej zgłodniałej duszy. Czuję, że bardzo prędko pokocham Redmond i świetnie spędzę te długie cztery lata.

- A co po tych czterech latach?

- Znajdzie się jakiś nowy cel - odparła Ania wesoło. - Dzisiaj trudno przewidzieć. Zresztą lepiej nie wiedzieć, co przyszłość przyniesie.

Aleją Zakochanych była tego wieczoru jeszcze ładniejsza niż zwykle i jeszcze bardziej tajemnicza w jasnej poświacie księżycowych promieni. Ania i Gilbert postępowali w milczeniu, lękając się rozmową zakłócić tajemniczą, upojną ciszę.

„Gdyby Gilbert był zawsze taki jak dzisiaj wieczorem, jakżeby było miło przebywać w jego towarzystwie” - myślała Ania.

Gilbert tymczasem spoglądał na nią, gdy wchodziła już do domu. W lekkiej swej sukience, powiewającej na wietrze, przypominała mu wysoki kwiat białej lilii.

„Wątpię, czy zwróci na mnie kiedykolwiek uwagę” - pomyślał z uczuciem dotkliwego bólu w zakochanym młodzieńczym sercu.

## POŻEGNANIE I POWITANIE

Następnego poniedziałku rano Karol Sloane, Gilbert Blythe i Anis Shirley opuszczali Avonlea.

Ania pokładała wielkie nadzieje w tym niezwykłym dniu swoje pierwszej samodzielnej podróży. Diana miała ją odwiedzić na dworzec, aby spędzić jeszcze z ukochaną przyjaciółką ostatnie godziny przed rozstaniem. Lecz gdy w niedzielę wieczorem Ania udawała się na spoczynek, zerwał się nagle wiatr wschodni, który począł huczeć tuż nad Zielonym Wzgórzem, i nie ustąpił aż do następnego rana. Zbudziły Anię rześiste krople deszczu, spływające po szybach i tworzące wielkie kałuże wody przed domem. Góry i morze spowijała gęsta mgła, a cały świat tonął w jakiejś beznadziejnej szarości. Ania ubierała się pośpiesznie w sinym świetle poranka, aby zdążyć na pociąg, który przychodził do miasta portowego zaledwie na kilka minut przed odpłynięciem statku. Siłą powstrzymywała łzy cisnące się do oczu. Miała opuścić ten dom, który był jej tak drogi, a jakiś głos mówił jej w duszy, że opuszcza go na zawsze. W każdym razie była pewna, że dawne szczęśliwe dni nie wrócą, chociaż nawet znowu zawita na Zielone Wzgórze podczas wakacji. Jakież tu było wszystko kochane i drogie: mały pokój na facjacie - świątynia marzeń najwcześniejszej młodości, stara Królowa Śniegu za oknem, szemrzący strumyk opodał, Fontanna Driad, Las Duchów i Aleja Zakochanych - te wszystkie miłe miejsca, z którymi wiązały się wspomnienia najdawniejszych lat dzieciństwa. Czy gdzie indziej będzie się czuć tak szczęśliwa? Tego poranka śniadanie na Zielonym Wzgórzem było ceremonią nader smutną. Tadzio po raz pierwszy w swym życiu nie miał apetytu, a tylko grzebał bezmyślnie widelcem w talerzu. Zresztą nikt zdaje się nie był głodny, z wyjątkiem Toli, która pochłaniała wszystko z nadzwyczajną szybkością. Tola, jak nieśmiertelna, rozważna Charlotta, która „krajala zawzięcie chleb smarując go masłem”, gdy ciało jej ukochanego składano do mogiły, należała do tych istot, które rzadko kiedy przejmują się tym, co dotyczy ich otoczenia. Żałowała, że Ania wyjeżdża, oczywiście, ale to przecież nie mogło być powodem, dla którego miałyby się wyrzec smacznego śniadania. Widząc, że Tadzio nic nie je, Tola postanowiła zjeść i jego porcję.

Zaraz po śniadaniu zjawiała się Diana w lekkim powoziku, zaprzężonym w parę koni, otulona w długi nieprzemakalny płaszcz.

Nadeszła ostatnia chwila pożegnania. Pani Linde wyszła ze swego pokoju, aby uściskać czule Anię i udzielić jej zbawiennej rady, by zawsze dbała o swoje zdrowie. Maryla, jak zwykle surowa, pocałowała Anię w policzek, zaznaczając, że ma nadzieję

otrzymać od niej wiadomość, gdy tylko przybędzie na miejsce. Obojętny widz mógłby przypuszczać, że Ania nie jest dla Maryli szczególnie drogą istotą, gdyby nie dostrzegł wyrazu jej oczu. Tola pocałowała Anię w oba policzki i uroniła dwie łzy. Tylko Tadzio, który już od godziny, nim jeszcze wszyscy wstali od śniadania, płakał po cichutku na stopniach werandy, odmówił ostatniego pożegnania ze swą ukochaną opiekunką. Gdy Ania podeszła ku niemu, chłopiec zerwał się na równe nogi, wbiegł na schody i ukrył się w pokoiku na facjacie, skąd za żadne skarby nie chciał wyjść. Jego stłumione łkanie było ostatnim dźwiękiem, jaki dobiegł Anię opuszczającą Zielone Wzgórze.

Deszcz padał przez całą drogę do Jasnej Rzeki, dokąd dziewczęta zdążyły na dworzec - linia kolejowa z Carmody nie miała połączenia z miastem portowym. Na peronie zastały już Karola i Gilberta, a pociąg miał odejść za chwilę. Ania zdążyła jeszcze kupić bilet, odebrać kwit bagażowy, pożegnać się spiesznie z Dianą i wskoczyć do wagonu. Wolałaby teraz wracać wśród deszczu do Avonlea w towarzystwie Diany; wiedziała, że tęsknota za domem będzie dla niej nie do zniesienia. Żeby chociaż ten deszcz przestał padać, bo ma się wrażenie, że cały świat płacze, że wiosna już nigdy nie wróci i że wszystkie radości życia przestały istnieć na zawsze! Nawet obecność Gilberta nie uprzyjemniała jej podróży, bo przecież był także Karol Sloane, a jego mogła jeszcze tolerować jedynie podczas pogody. Przy jednostajnym plusku deszczowych kropel wydawał jej się jeszcze bardziej niesympatyczny.

Jednakże gdy statek opuszczał port w Charlottetown, wszystko zaczęło przybierać lepszy obrót. Deszcz przestał padać, a słońce przedarło się przez ołowiane chmury i spokojna tafla morza zabłysła tysiącem złocistych refleksów, w których ginęło wprawdzie wybrzeże oddalającej się Wyspy, ale jednocześnie w serca podróżnych wstępowała nadzieja jaśniejszej przyszłości. Poza tym Karol Sloane dostał nagle morskiej choroby i musiał zejść do dolnej kajuty, dzięki czemu Ania i Gilbert pozostali sami na pokładzie.

„Cieszę się, że wszyscy Sloane’owie cierpią na chorobę morską, gdy tylko opuszczą stały ląd - pomyślała Ania niemiłosiernie. - Nie mogłabym przesłać ostatniego pożegnania Wyspie, gdyby Karol stał przy mnie i patrzył swym wiecznie sentymentalnym wzrokiem”.

- Już nie widać wybrzeża - zauważył Gilbert bez odrobiny tęsknoty w głosie.

- Czuję się jak bajronowski Childe Harold, chociaż to nie jest mój „rodzinny brzeg” - rzekła Ania wpatrzona w nikonącą w oddali Wyspę. - Moją ojczyzną jest Nowa Szkocja. Ale uważam, że ojczyzną każdego człowieka jest ten kraj, który najbardziej



pokocho. Wcale mi się nie zdaje, że na Wyspie Księcia Edwarda mieszkam zaledwie od kilku lat. Tamte lata, przed przybyciem tutaj, wydają mi się tylko snem. Już siedem lat minęło od tego pamiętnego dnia, kiedy pani Spencer przywiozła mnie z Hopetown. Jeszcze dzisiaj widzę siebie w tej starej, dziwacznej sukience i w szerokim, marynarskim kapeluszu zaglądnającą do wszystkich kajut okrętowych i biegnącą nieprzytomnie po pokładzie. Piękny był wtedy wieczór; wybrzeże Wyspy zdawało się płonąć w czerwonych płomieniach zachodzącego słońca. Teraz znowu jadę tą samą drogą. Och, Gilbertcie, miałam wrażenie, że polubię Redmond, ale teraz jestem pewna, że to nigdy nie nastąpi!

- A gdzież twoja życiowa filozofia, Aniu?

- Przytłoczona została wielką falą samotności i tęsknoty za domem. Od trzech lat marzyłam o wyjeździe do Redmondu, a teraz, gdy marzenia te się ziściły, wolałabym raczej nie jechać! Nie trzeba się jednak poddawać! Może filozofia moja i zwykła pogoda ducha wróciłyby znowu, gdybym się mogła porządnie wypłakać. Niestety, muszę zaczekać do chwili, aż znajdę się w swoim pensjonatowym pokoju i nikt mego płaczu nie zobaczy. Wtedy będę znowu dawną Anią. Ciekawa jestem, czy Tadzio wyszedł już wreszcie ze swojego ukrycia.

Dochodziła prawie dziewiąta wieczorem, gdy statek zatrzymał się w Kingsporcie. Po chwili wszyscy troje znaleźli się na przystani wypełnionej różnobarwnym tłumem. Ania rozglądała się dokoła ze smutkiem, lecz w chwilę potem znalazła się już w przyjacielskich objęciach Priscilli Grant, która przybyła do Kingsportu jeszcze w sobotę.

- Nareszcie jesteś, kochanie! Przypuszczam, że czujesz się zmęczona tak jak ja, kiedy dotarłam tutaj przedwczoraj wieczorem.

- Zmęczona? Prissy, nie mów o tym. Jestem zmęczona, nieszczęśliwa i czuję się jak opuszczona mała dziewczynka. Na litość boską, zabierz swoją biedną przyjaciółkę dokądś, gdzie mogłaby choć na chwilę zebrać swobodnie myśli.

- Zawiozę cię prosto do naszego pensjonatu. Powóz czeka w pobliżu.

- Dzięki Bogu, że ty jesteś, Prissy! Gdyby ciebie nie było, usiadłabym chyba na środku jezdnii i zatonąłabym w gorzkich łzach. Jakże to miło ujrzyć twarz przyjaciela pośród tylu twarzy zupełnie obcych ludzi!

- Aniu, czy to Gilbert Blythe tam stoi? Jakże on urósł i spowaźniał w ciągu tych ostatnich lat! Przecież był jeszcze uczniem, gdy ja prowadziłam już szkołę w Carmody. A to jest oczywiście Karolek Sloane. Ten się wcale nie zmienił! Musiał tak samo

wyglądać zaraz po urodzeniu i tak samo będzie wyglądał, gdy dojrnie do osiemdziesiątki. Tędy, kochanie! Za dwadzieścia minut będziemy w domu.

- W domu! - oburzyła się Ania. - Masz na myśli jakiś wstrętny pensjonat i jeszcze bardziej wstrętny pokój z widokiem na ciemne podwórze.

- Ależ ten pensjonat nie jest wcale wstrętny, Aniu. Tutaj jest nasz powóz. Wsiadaj, stangret zabierze twoje walizki. O, naturalnie, pensjonat nie jest najprzyjemniejszym miejscem na świecie, ale jutro rano, po spokojnie przespanej nocy, na pewno będziesz widziała wszystko w innych kolorach. Pensjonat mieści się w starym murowanym domu przy ulicy Świętego Jana, niedaleko od uniwersytetu. Niegdyś dom ten musiał być rezydencją jakichś znakomitych ludzi, lecz obecnie sława ulic Świętego Jana zatonęła w cieniu i wysokie domy śnią tylko o wspaniałych dniach przeszłości. Domy te są tak wielkie, że ludzie postanowili urządzić w nich pensjonaty, aby je jakoś zapełnić. Nasze gospodynie widocznie też wpadły na ten pomysł. Bardzo są miłe, Aniu, naprawdę.

- Ileż ich jest tych gospodyń?

- Dwie. Panna Hanna Harvey i panna Ada Harvey. Urodziły bliźniętami mniej więcej przed pięćdziesięciu laty.

- Widocznie bliźnięta mnie prześladowają - uśmiechnęła się Ania. Gdziekolwiek się zwrócę, wszędzie natykam się na bliźnięta.

- Och, teraz już one nie są bliźniętami, kochanie. Po ukończeniu trzydziestki przestały być w jednym wieku. Panna Hanna starzeje się z każdym rokiem, gdy tymczasem panna Ada zatrzymała się na trzydziestce i ani rusz dalej. Właściwie nie umiem ci powiedzieć, czy panna Hanna kiedykolwiek w życiu się śmiała, ale za to panna Ada śmieje się ustawicznie, i to, według mnie, jest jeszcze gorsze. Poza tym jednak obydwie są bardzo miłe, bardzo dobre i co roku przyjmują dwie pensjonariuszki, bo panna Hanna, jako osoba oszczędna, nie mogłaby żyć nie wykorzystując każdego wolnego miejsca, o czym panna Ada zdążyła mnie już powiadomić siedem razy od soboty wieczór. Co do naszych pokoi, to muszę przyznać, że nie są one miłe i mój istotnie wychodzi na podwórze. Twój pokój jest frontowy, z widokiem na stary cmentarz Świętego Jana, który graniczy z ulicą.

- To brzmi naprawdę okropnie! - zadrżała Ania. - Wolałabym już raczej pokój wychodzący na podwórze.

- O, nie, to ci się tylko zdaje. Bądź cierpliwa, a zobaczysz. Cmentarz Świętego Jana jest bardzo miły. Jest on jednym z najprzyjemniejszych zakątków w Kingsporcie.

Wczoraj zwiedziłam go, tak dla przyjemnej przechadzki. Dookoła otoczony jest wysokim murem i aleją starych drzew. W środku biegną również aleje wysadzone drzewami i jest mnóstwo przedziwnych starych grobowców z równie dziwnymi napisami. Jestem pewna, Aniu, że będziesz tam chodziła uczyć się, zobaczysz. Oczywiście teraz nikogo się już nie chowa na tym cmentarzu. Przed wielu laty postawiono tam piękny pomnik na cześć żołnierzy z Nowej Szkocji, poległych w wojnie krymskiej. Pomnik ten znajduje się naprzeciw wielkiej bramy, w miejscu najodpowiedniejszym do marzeń, jak ty mówisz zazwyczaj. Nareszcie są twoje walizki. Chłopcy idą w naszą stronę, żeby się pożegnać. Aniu, czy koniecznie muszę podać rękę Karolowi Sloane? On ma zawsze takie zimne i wilgotne ręce. Musimy ich zaprosić do siebie. Panna Hanna zapowiedziała mi łaskawie, że wolno nam przyjmować „młodych ludzi” dwa razy w tygodniu, ale pod warunkiem, że będą wychodzili o przyzwoitej godzinie. Panna Ada dodała z uśmiechem, że nie życzy sobie, aby nasi goście siadali na jej pięknych poduszkach. Przyrzekłam, że zwrócę na to uwagę, ale sama nie wiem, gdzie wobec tego mają siedzieć, chyba na ziemi, bo poduszki leżą na wszystkich krzesłach i fotelach. Nawet coś w rodzaju poduszki leży na pianinie.

Ania roześmiała się serdecznie. Wesoła gadanina Priscilli wprowadziła ją w dobry humor. Tęsknota za domem zniknęła i nie powróciła nawet wtedy, gdy Ania wreszcie znalazła się sama w swym maleńkim pokoju. Podeszła do okna i wyjrzała z zaciekawieniem. Ulica tonęła w ciemnościach i w zupełnej ciszy. Ponad wysokimi drzewami cmentarza Świętego Jana zawisła tarcza księżycy, a srebrzyste promienie padały teraz na wielką głowę lwa na pomniku.

Ania z trudem zdawała sobie sprawę, że to dopiero dzisiaj rano wyjechała z ukochanego Zielonego Wzgórza. Dzień spędzony w podróży wydawał jej się niemal wiekiem - utraciła zupełnie rachubę czasu.

„Ten sam księżyc świeci teraz nad Zielonym Wzgórzem - przemknęło jej przez myśl. - Ale nie wolno mi się nad tym zastanawiać, bo ta głupia tęsknota gotowa znowu powrócić. Nawet płakać nie mam zamiaru. Zostawię to na kiedy indziej, a teraz położę się spokojnie do łóżka i postaram się zasnąć”.

## NOWA PRZYJACIÓŁKA

Kingsport jest starym, osobliwym miastem, pamiętającym swe najwcześniejsze lata, gdy było małą, niepozorną osadą za czasów kolonizacji. Przetrwało spowite w atmosferę starożytności jak poważna matrona, ubrana w staromodne szaty, zabytki swej młodości. Gdziekolwiek daje się zauważyć piętno nowoczesności, lecz samo centrum pozostało nie tknięte dłonią postępu. Miasto przepełnione jest mnóstwem ciekawych zabytków, które opiewają romantyczne legendy dawnej przeszłości. Niegdyś, podczas najazdów dzikich plemion indiańskich, było ono punktem granicznym - działo się to w owym czasie, gdy Indianie postanowili upomnieć się o swoje dawne prawa. Potem Kingsport stał się niejako kością niezgody między Anglikami a Francuzami i przechodził co pewien czas z rąk do rąk. Oczywiście każda taka zmiana zostawiała ślady na wewnętrznym życiu miasta.

W samym środku parku miejskiego wznosi się wysoka wieża, zabazgrana autografami licznych turystów, a tuż poza miastem na niskich wzgórzach pozostały jeszcze ruiny dawnych fortyfikacji francuskich i kilka starych luf armatnich sterczących w czeluściach między murami. Kingsport posiada rozmaite zabytki historyczne, niezwykle ciekawe dla przyjezdnych, a wśród tych zabytków na pierwszy plan wysuwa się stary cmentarz Świętego Jana. Położony w samym centrum miasta, otoczony jest z dwóch stron staroświeckimi kamienicami, a z dwóch - nowoczesnymi, ruchliwymi ulicami. Mieszkańcy Kingsportu dumni są z tego cmentarza, każdy z nich bowiem posiada tam mogiłę swego przodka. Większość grobów wykonana jest w sposób raczej prosty, z szarego lub brązowego kamienia, z rzadka tylko można zauważyć jakiś grobowiec ozdobiony rzeźbami. Na wielu grobach czas dokonał już zniszczenia. Napisy starły się zupełnie albo też odczytuje się je z wielką trudnością. Cały cmentarz ocieniają rozłożyste konary klonów i wierzb - słychać tam tylko szum wiatru i spadających liści, daleki gwar uliczny nie zakłóca spokoju.

Zaraz następnego dnia po południu Ania udała się na cmentarz Świętego Jana. Obydwie z Priscillą były przed południem na uniwersytecie i zarejestrowały się jako studentki. Po dopełnieniu tej formalności reszta dnia pozostawała do ich dyspozycji. Umknęły szybko z uniwersytetu, spośród tłumu zupełnie obcych sobie ludzi, z których wszyscy wyglądali tak, jakby nie wiedzieli jeszcze, w którą stronę mają się zwrócić.

Nowicjusze podzielili się na drobne gromadki i spoglądali na siebie pytająco; nowicjuszki, bardziej rozgarnięte od chłopców, oblegały szeroko schody i chichotały głośno, broniąc się w ten sposób przed wyniosłością starych studentów, którzy z

pogardą patrzyli na „nowo upieczonych”. Gilbert i Karol biegali od gromadki do gromadki, wszędzie ich było pełno.

- Wątpiłam zawsze, czy nadejdzie kiedyś dzień, w którym z przyjemnością spojrzę na Karola Sloane'a - rzekła Priscilla, gdy obydwie z Anią przechodziły obok gawędzących studentów. - Ale teraz chętnie ujrzę nawet jego wylupiaсте oczy. Są przynajmniej znajome.

- Och! - westchnęła Ania. - Nie mogę ci opisać, jak się czułam czekając na swoją kolejkę w sekretariacie uniwersyteckim, po prostu... jak maleńka kropla w olbrzymim wiadrze wody. Niedobrze jest uważać siebie za nieważną osobę, ale jeszcze gorzej, gdy się pomyśli, że człowiek nigdy niczym nie będzie... Czułam się tak, jakbym była niewidzialna dla gołego oka, i bałam się, że któryś z tych studentów nadepnie na mnie. Byłam przekonana, że umrę... i nikt mi nawet nie zaśpiewa, nikt nade mną nawet nie zapłacze...

- Zaczekaj do przyszłego roku - uspokajała ją Priscilla. - Wtedy i my będziemy mogły tak samo spoglądać, jak dziś spoglądają na nas. Pewnie, że nie jest przyjemnie czuć się nieważną, ale lepsze to niż czuć się tak ogromną jak ja. Zdawało mi się, że góruję nad całym Redmondem. Chyba dlatego tak się czułam, że jestem o dobre dwa cale wyższa od wszystkich nowicjuszy. Nie bałam się, że ktoś nadepnie na mnie, ale za to bałam się, żeby nie wzięli mnie za słonia albo za wielkoluda.

- Najgorsze to, że na uniwersytecie nie będzie już tak miło jak w seminarium - westchnęła Ania siląc się bezskutecznie na swą dawną filozofię, by zwalczyć przyływ złego humoru. - Gdyśmy opuszczały seminarium, znałyśmy wszystkich i wszyscy nas znali, a teraz mamy wrażenie, że ziemia nam się spod nóg usuwa. Jestem tylko szczęśliwa, że pani Linde ani pani Eliza Wright nie są świadkami mego obecnego nastroju. Na pewno pokiwałyby głowami: „A mówiłam”, i byłyby przekonane, że to jest właśnie początek smutnego końca, gdy tymczasem ja mam wrażenie, że to jest koniec smutnego początku.

- Właśnie. To brzmi już zupełnie po twojemu. Jestem pewna, że się tu jakoś zaaklimatyzujemy, poznamy wszystkich, a reszta pójdzie jak po maśle. Aniu, czyś zauważyła tę dziewczynę stojącą przez cały czas u drzwi szatni? Ta ładna, o brązowych oczach i maleńkich, bardzo czerwonych ustach?

- Owszem, widziałam. Zwróciłam na nią uwagę, bo zdawało mi się, że jest jedyną osobą, która czuje się tutaj tak samotnie jak ja. Chociaż ja mam ciebie, a ona widocznie nie ma nikogo.

- To musi być jakieś nieśmiałe stworzenie. Kilkakrotnie zdawało mi się, że zamierza podejść do nas, ale widocznie nie miała odwagi. Chciałam, żeby podeszła. W pewnej chwili nawet zamierzałam ją uprzedzić, ale przykro mi było przechodzić przez taki duży hali i zwracać na siebie uwagę wszystkich studentów. Ta dziewczyna jest najładniejsza ze wszystkich nowicjuszek, ale widocznie nawet uroda na początku pobytu w Redmondzie na nic się nie zdaje - dodała Priscilla ze śmiechem.

- Chciałabym po śniadaniu pójść na cmentarz Świętego Jana - rzekła Ania. - Wątpię wprawdzie, czy atmosfera cmentarza przyczyni się do poprawy mego humoru, z drugiej jednak strony wydaje mi się, że jest to jedyne miejsce, gdzie można odrobinę odpocząć. Usiądę na jednej z ławek, przymknę oczy i wyobrażę sobie, że jestem w lesie w Avonlea.

Jednakże Ania nie uczyniła tego, dostrzegła bowiem na cmentarzu tyle interesujących rzeczy, że przez cały czas ani na chwilę nie przymknęła oczu. Obydwie z Priscilla przeszły szeroką bramę i zbliżyły się do ogromnego pomnika, na którego szczycie stał w niedbalej pozie wielki lew, wykuty z szarego kamienia.

*Bo pod Inkerman każdy cień był krwawy*

*I wszystkie one przebiły pierś naszej ojczyźnie*

- recytowała Ania spoglądając na kamiennego lwa ze wzruszeniem. Po chwili znalazły się w maleńkim zacisznym ustroniu, gdzie nie dochodził nawet podmuch wiatru. Wszędzie dokoła ciągnęły się oddzielne mogiły, przykryte ciężkimi płytami, i wszystko zdawało się tu tchnąć duchem dawnych czasów.

- *Tu leży Albert Crawford* - czytała Ania wytarty napis na kamieniu - *dowódca Arsenалу Jego Królewskiej Mości w Kingsport. Służył w armii aż do zawarcia pokoju w roku 1763, wystąpił z wojska wskutek nagłego zasłabnięcia. Był dzielnym oficerem, najlepszym mężem, idealnym ojcem i nieodżałowanym przyjacielem. Umarł 29 października 1792 roku, w wieku lat 84.* To jest napis dla ciebie, Prissy. Daje on oczywiście pole do wyobraźni. Ileż to taki człowiek musiał mieć przygód w życiu! A jeśli chodzi o jego osobiste zalety, to myślę, że chwała ludzka już dalej pójść nie może. Wątpię jednak, czy za życia obdarzono by go tak wielu pochwałami.

- A tutaj drugi - rzekła Priscilla. - *Posłuchaj. Pamięci Aleksandra Rossa, który umarł 22 września 1840 roku, w wieku lat 43. Służył wiernie ojczyźnie przez dwadzieścia siedem lat i dosłużył się zaszczytnej śmierci.*

- Świetny napis - szepnęła Ania w zamyśleniu - nie chciałabym mieć lepszego po śmierci. Przecież wszyscy służymy jakimś ideałom i jeśli taka ocena naszej wiernej

służby jest szczerą - nic lepszego nie potrzeba. Patrz, Prissy, taki mały samotny nagrobek. *Pamięci ukochanego dziecka*, a tutaj drugi: *Poświęcony pamięci tego, który nie wiadomo gdzie jest pochowany*. Ciekawa jestem, gdzie się znajduje ta nieznaną mogiła. Istotnie, Prissy nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć takiego cmentarza. Miałaś słuszną opinię, że będę tu często przychodziła. Polubiłam to miejsce od razu. Ale widzę, że nie jesteśmy tu same, jakaś dziewczyna stoi tam przy końcu alei...

- Wiesz, że to zdaje się ta sama, na którą już zwróciliśmy uwagę. Obserwuję ją od kilku minut. Kilkakrotnie próbowała do nas podejść i tyleż razy się cofała. Musi być albo bardzo nieśmiała, albo też bardzo dumna. Podejźmy do niej. Łatwiej jest zawrzeć znajomość na cmentarzu niż w Redmondzie, prawda?

Poczęły iść wąską kamienistą ścieżką w kierunku nieznaną, która siedziała teraz na kamiennej ławeczce pod rozłożystą wierzbą. Istotnie była niezwykle piękna, choć rysy jej nie odznaczały się regularnością. Włosy miała koloru laskowych orzechów, ciemne oczy i zaróżowione policzki. Była ubrana w wytworny brązowy kostium, a na drobnych nóżkach miała małe, modne trzewiczki. Duży czerwony kapelusz przystrajały złociste maki, a cała postać dziewczyny sprawiała wrażenie sylwetki wyciętej z żurnala. Priscilla przyszło na myśl, że jej własny kapelusz jest bardzo zniszczony; Ania zaś zastanawiała się, czy bluzka, którą sobie uszyła podług wzoru pani Linde, nie wygląda śmiesznie zetknięciu z eleganckim ubraniem młodziutkiej nieznaną. Przez chwilę obydwie przyjaciółki miały zamiar się cofnąć. Lecz minęły już pierwszą kwaterę grobów i trudno to było teraz uczynić, tym bardziej że w ciemnych oczach samotnej dziewczyny dojrzały niemy błysk powitania. Wreszcie dziewczyna zerwała się z ławki i poczęła biec w ich stronę z wyciągniętą ręką i z przyjaznym uśmiechem, w którym nie było już ani cienia nieśmiałości.

- O, jakże chciałam wiedzieć, kim jesteście! - zawołała z zapalem. - Umierałam z ciekawości. Widziałam was dzisiaj rano w Redmondzie. Prawda, jak tam okropnie? Wolałabym raczej zostać w domu i wyjść za męża.

Ania i Priscilla wybuchnęły głośnym śmiechem, słysząc tę nieoczekiwaną konkluzję. Ciemnonoka dziewczyna zaśmiała się również.

- Naprawdę, nie wierzycie mi? Siądźmy na tej płycie i zawrzyjmy znajomość. To nie jest takie trudne. Jestem pewna, że polubimy się nawzajem. Nabrałam tego przekonania, gdy ujrzałam was po raz pierwszy dzisiaj rano. Już wtedy miałam ochotę podejść do was.

- A dlaczego tego nie uczyniłaś? - zapytała Priscilla.

- Bo nie miałam odwagi. Właściwie rzadko kiedy umiem się na coś zdecydować, a gdy już się wreszcie zdecyduję, mam wrażenie, że powinnam uczynić coś całkiem odwrotnego. To bardzo nieprzyjemne uczucie, ale urodziłam się z takim usposobieniem i nic mi już nie pomoże. Tak samo i w tym wypadku. Nie mogłam się zdobyć na to, żeby podejść do was i zawrzeć z wami znajomość, chociaż miałam ogromną ochotę.

- A myśmy myślały, że jesteś taka nieśmiała - wtrąciła Ania.

- Nie, nie, kochanie. Nieśmiałość nie należy do wad czy zalet Izabeli Gordon, zdrobniale - Izy. Nazywajcie mnie Izą, bardzo was proszę. A teraz - jakie są wasze imiona?

- To jest Priscilla Grant - rzekła Ania wskazując przyjaciółkę.

- A to jest Ania Shirley - odwzajemniła się Priscilla.

- Jesteśmy z Wyspy Księcia Edwarda! - zawołały po chwili obydwie razem.

- Ja pochodzę z Bolingbroke, z Nowej Szkocji - pochwaliła się Izabela.

- Bolingbroke! - zawołała Ania. - To przecież ja się tam urodziłam.

- Naprawdę? To znaczy, że jesteś także „Sinonoską”<sup>1\*</sup>.

- Mylisz się - zaprotestowała Ania. - Jak to powiedział Dan O’Connel? „Jeżeli człowiek rodzi się w stajni, to nie znaczy, że jest koniem”. Moją ojczyzną jest Wyspa Księcia Edwarda.

- W każdym razie bardzo się cieszę, żeś się urodziła w Bolingbroke. To tak, jakbyś była moją sąsiadką, prawda? Sprawia mi to wielką przyjemność, bo jak ci kiedyś zdradzę jakąś tajemnicę, będę miała uczucie, że powiedziałam ją komuś swojemu. Często się zwierzam z tajemnic, nie umiem ich zatrzymać przy sobie i właściwie wcale się o to nie staram. Jest to jedna z moich licznych wad, a za drugą taką wadę uważam swoje niezdecydowanie. Czy wierzycie mi, że pół godziny czasu straciłam na to, aby się zdecydować, jaki kapelusz włożyć idąc tutaj na cmentarz?! Najpierw miałam ochotę na brązowy z piórkiem, ale kiedy go włożyłam, uznałam, że czerwony będzie lepszy. Włożyłam czerwony, to znów brązowy wydał mi się odpowiedniejszy. Wreszcie położyłam oba na łóżku, przymknęłam oczy i... wybrałam czerwony. Dobrze mi w nim, prawda? Powiedzcie, co myślicie o moim wyglądzie?

Słyszając to naiwne zapytanie Priscilla wybuchnęła śmiechem, gdy tymczasem Ania z powagą ujęła rękę Izabeli i oznajmiła:

---

1\* Popularna nazwa stałych mieszkańców Bolingbroke (przyp. poprz. wyd.)



- Już dzisiaj rano doszliśmy do wniosku, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną w Redmondzie.

Małeńkie usteczka Izabeli rozchyliły się w uśmiechu zadowolenia, ukazując równocześnie dwa rzędy bielutkich zębów.

- I ja tak myślę - rzekła po chwili z przekonaniem - ale pragnęłam usłyszeć jeszcze czyjeś zdanie, żeby się upewnić. Nawet w tej kwestii nie potrafię się zdecydować. Gdy już nareszcie dochodzę do wniosku, że jestem ładna, coś zaczyna mi szeptać w duszy, że wcale tak nie jest. Poza tym mam taką starą ciotkę, która zawsze powtarza z westchnieniem: „Byłaś takim ładnym dzieckiem. Dziwna rzecz, jak to się dzieci zmieniają, gdy się stają dorosłymi ludźmi”. Bardzo lubię ciotki, ale nie takie jak moja. Proszę was, mówcie mi często, że jestem ładna. Ogromnie lubię słuchać zdania obcych ludzi. Będę wam niewymownie wdzięczna, jeżeli mnie o tym przekonacie. Ja wam także potem szczerze powiem.

- Dziękujemy - zaśmiała się Ania - ale obydwie z Priscilla doskonale zdajemy sobie sprawę z naszego wyglądu i zbyteczne byłyby wszelkie twoje zapewnienia.

- Och, wy się ze mnie śmiejecie. Wiem, myślicie, że jestem bardzo głupia i próżna. Ale w rzeczywistości nie ma we mnie ani odrobiny próżności. Nigdy nie lubię prawić komplementów dziewczętom, jeżeli na to nie zasługują. Bardzo się cieszę, że was poznałam. Przyjechałam tu w sobotę i do tej chwili umierałam z tęsknoty za domem. To straszne uczucie, prawda? W Bolingbroke jestem ważną osobistością, a tutaj w Kingsporcie jestem niczym! Były nawet chwile, że mdlałam ze zmartwienia. A gdzie wy mieszkacie?

- Ulica Świętego Jana 38.

- Coraz lepiej. Ja mieszkam na rogu Wallace Street, ale strasznie nie lubię mego pensjonatu. Jest ponury i opuszczony, a mój pokój wychodzi na małeńkie ciemne podwórze. To podwórze wydaje mi się najbardziej przykrym miejscem na świecie. Co noc zbierają się tam koty, jeśli nie wszystkie z całego Kingsportu, to przynajmniej połowa. Lubię koty rozciągnięte na miękkim dywanie przed rozpalonym kominkiem, ale takie koty wrzeszczące po nocy na podwórzu to zupełnie inne zwierzęta.

Pierwszej nocy po wyjeździe strasznie płakałam, a koty na podwórzu usiłowały mi wtórować. Szkoda, żeście nie widziały mego nosa nazajutrz rano. Jakże żałowałam wtedy, że wyjechałam z domu!

- Nie rozumiem, jak mogłaś się zdobyć na wyjazd do Redmondu, jeżeli jesteś

osobą tak niezdecydowaną! - zawołała Priscilla, ubawiona paplaniną nowej znajomej.

- Nigdy bym się na to nie zdobyła, kochanie. To ojciec chciał, żebym tu przyjechała. Uparł się, sama nie wiem dlaczego. Do takiej istoty jak ja studia bardzo nie pasują, prawda? Cóż mogłam zrobić, musiałam ulec. Mam przecież zdrowy rozum.

- O! - zawołała Priscilla mimo woli.

- Tak, ale trudno jakoś nim kierować. A tutejsi studenci muszą być bardzo mądrzy i poważni. Nie, ja nie chciałam wyjeżdżać do Redmondu, ale uczyniłam to na żądanie ojca. Zwyczajnie, uparł się staruszek. Poza tym wiedziałam, że jak zostanę w domu, to będę musiała wyjść za mąż. Matka znowu tego żądała, a matka moja jest osobą ogromnie zdecydowaną. Nie chciałabym wychodzić teraz za mąż, bo pragnę jeszcze kilka lat mieć swobodę. Chcę się wyszumieć, zanim ustalę swoje życie. Chociaż studia moje wydają mi się bardzo śmieszne, to jednak jeszcze śmieszniejsze jest wyobrazić sobie siebie jako stateczną mężatkę, czy nie? Mam dopiero osiemnaście lat, postanowiłam więc raczej pojechać do Redmondu niż wyjść za mąż. A poza tym, jakże mogłabym się zdecydować, kogo wybrać na męża?

- Więc jest aż tak wielu kandydatów? - zaśmiała się Ania.

- Mnóstwo. Chłopcy bardzo mnie lubią, ale dotychczas tylko dwaj mi się oświadczyli. Tamci wszyscy byli za młodzi i za biedni. Rozumiecie przecież, że muszę wyjść za mąż tylko za człowieka bogatego.

- Dlaczego musisz?

- Moje złote, czy wyobrażacie sobie mnie jako żonę biednego człowieka? Nic nie umiem robić i jestem bardzo rozkapryszona. O, nie, mój mąż musi mieć bardzo dużo pieniędzy. Właśnie tamci dwaj byli tacy bogaci. Aleja na żadnego z nich nie mogłam się zdecydować - wybór był tak samo trudny, jakbym wybierała spośród stu kandydatów. Gdybym nawet wybrała jednego z nich, z pewnością potem żałowałabym całe życie, że nie zostałam żoną tego drugiego.

- Więc żadnego z nich nie kochasz? - zapytała Ania poważnie po chwili namysłu.

Trudno jej było mówić z tą zupełnie obcą dziewczyną o kwestii, która dla niej samej była niejako najważniejszą sprawą, istotą życia.

- Oczywiście że nie. Ja nikogo nie potrafię kochać, to już tkwi we mnie zresztą wcale tego nie pragnę. Kobieta zakochana staje się niewolnicą. Wówczas mężczyzna stara się ją maltretować. Ja bym się bała miłości. Niej nie. Alek i Alonzo to bardzo dobrzy chłopcy i bardzo ich obydwóch lubię. Lubię ich do tego stopnia, że sama nie

wiem, który z nich jest lepszy. W tym właśnie największy sęk. Alek jest przystojniejszy, a ja mogę zostać żoną tylko przystojnego mężczyzny. Poza tym jest świetnie wychowany i: ma śliczną czarną czuprynę. Ale jednocześnie jest za dobry. Nie chciałabym mieć takiego dobrego męża. Alek jest człowiekiem bez wad.

- To dlaczego nie chcesz zaślubić Alonza? - spytała Priscilla z powagą.

- Czyż można zostać żoną człowieka, który ma takie imię?! - zawołała Iza z rozpaczą. - Wątpię, czy mogłabym to znieść. Co prawda, ma wyjątkowo klasyczny nos, a przyjemnie mieć w rodzinie kogoś z takim nosem, bo prawdę mówiąc, mój nos wcale się nie udał. Wszyscy Gordonowie są bardzo przystojni, ale obawiam się, że ja jestem raczej podobna do Byrne'ów. Im jestem starsza, tym gorzej. Codziennie przeglądam się w lustrze i dostrzegam, że całe moje podobieństwo do Gordonów znika z każdym rokiem. Matka moja jest z domu Byrne, a ja na nieszczęście jestem podobna właśnie do niej. Kiedyś same się o tym przekonacie. Strasznie lubię ładne nosy. Ty masz wyjątkowo ładny nos, Aniu Shirley. Właśnie Alonzo ma nos bardzo podobny do twego, ale niestety sam nazywa się Alonzo! Nie, bezwarunkowo nie mogę się zdecydować. Gdybym mogła postąpić tak jak z kapeluszami: zamknąć oczy i w ten sposób wybrać jednego z moich konkurentów, może już dawno byłabym mężatką.

- A cóż Alek i Alonzo robią teraz po twoim wyjeździe? - indagowała Priscilla.

- O, mają jeszcze ciągle nadzieję. Kazałam im czekać, aż się wreszcie na któregoś z nich zdecyduję. Są to dobrzy chłopcy, więc czekają cierpliwie. Obydwaj mnie po prostu ubóstwiają. Ja tymczasem mam zamiar nabawić się do syta. Sądzę, że i w Redmondzie będę miała mnóstwo konkurentów. Czuję się nieszczęśliwa, jeśli ich nie mam. Ale czy nie uważacie, że ci młodzi studenci są bardzo mało wytworni? Spośród wszystkich jeden tylko jest naprawdę przystojny. Odszedł, nim wyszłyście. Zdaje się, że ma na imię Gilbert, bo tak go nazywał jeden z kolegów, ten o wyłupiastych oczach. Ale, dziewczęta, chyba jeszcze nie idziecie do domu? Moje złote, zostańcie trochę!

- Musimy już iść - rzekła Ania nieco chłodniej. - Późno się robi, a ja mam jeszcze w domu zajęcia.

- Ale zobaczymy się znowu, prawda? - zapytała Izabela, otaczając ramionami swe nowe przyjaciółki. - Pozwólcie mi się z wami spotykać. Pragnę się z wami zaprzyjaźnić. Od razu was polubiłam. Przypuszczam, że nie razi was ta moja paplanina?

- Ani trochę - zaśmiała się Ania, ujęta znowu serdecznością Izy.

- Bo ja nie jestem wcale taka głupia, na jaką wyglądam. Zresztą powinniście przyjąć Izabelę Gordon taką, jaką ją Pan Bóg stworzył ze wszystkimi jej wadami. I wtedy ją polubicie. Nie uważacie, że ten cmentarz jest strasznie miły? Bardzo bym chciała leżeć tutaj po śmierci. Dzisiaj dostrzegłam mogiłę, której przedtem nie widziałam, tę ogrodzoną żelaznym parkanem. Spójrzcie! Sądząc z napisu, jest to mogiła młodego marynarza, który zginął podczas jednej z walk okrętów „Shannon” i „Chesapeake”.

Ania podeszła do żelaznego ogrodzenia i zatrzymała wzrok na starej, popękanej już płycie nagrobka. Ogarnęło ją dziwne podniecenie. Zniknął jej sprzed oczu stary cmentarz i wysokie drzewa o rozłożystych konarach. Oczyma wyobraźni ujrzała port kingsportski sprzed stu lat. Z dalekiej mgły wiszącej nad bezmiarem morza wyłonił się w pewnej chwili kadłub okrętu z powiewającą na maszcie flagą Wielkiej Brytanii. Tuż za nim płynął inny okręt, mniejszy nieco, z banderą przewieszoną przez balustradę pokładu. Dłoń czasu odwróciła wstecz kilka kartek wielkiej księgi dziejów. „Shannon” został zwycięzcą. „Chesapeake” płynął ku przystani, zdany na łaskę i niełaskę wroga - zwycięzcy.

- Zbudź się, Aniu Shirley. Wracaj do nas - śmiała się Izabela dotykając jej ramienia. - Oddaliłaś się od nas prawie o sto lat. Wracaj!

Ania ocknęła się z głębokim westchnieniem; oczy jej świeciły łagodnym blaskiem.

- Zawsze lubiłam ogromnie historię tych walk - szepnęła - i chociaż zwycięzcami zostali wówczas Anglicy, sława naszych bohaterów nigdy nie zblednie. Ta mogiła nasunęła mi te myśli i ujrzałam przed sobą ich zmagania. Ten biedny marynarz miał dopiero osiemnaście lat. *Zmarł wskutek ciężkich ran odniesionych podczas walki* - tak brzmi napis na Płycie. O takiej śmierci marzą wszyscy dzielni żołnierze.

Mówiąc to, Ania odpięła od bluzki bukietek ciemnych bratków i złożyła na mogile młodego marynarza, który zginął podczas wielkiej bitwy morskiej.

- Co myślisz o naszej nowej przyjaciółce? - spytała Priscilla, gdy pożegnały się z Izą.

- Bardzo mi się podoba. Ma w sobie coś ujmującego, chociaż jest tak szalenie roztrzepana. Jestem pewna, że ma słuszność mówiąc, iż nie jest taka głupia, na jaką wygląda. Bardzo miłe dziecko i zdaje się, że dzieckiem zostanie przez całe życie.

- I mnie się podoba - oznajmiła Priscilla z głębokim przeświadczeniem. - Tak

samo mówi o chłopcach jak Ruby Gillis, ale paplanina Ruby przyprawia mnie o zawroty głowy, gdy tymczasem Iza swą gadaniną doprowadza mnie do śmiechu. Właściwie jaka jest między nimi różnica?

- O, bardzo wielka - odparła Ania w zamyśleniu. - Przede wszystkim Ruby postępuje z chłopcami zupełnie świadomie. Innymi słowy - usiłuje każdego w sobie rozkochać. Czyni to prawdopodobnie dlatego, aby się potem pochwalić, że ma tak wielu konkurentów. Tymczasem Iza mówi o swych konkurentach z taką prostotą, jakby mówiła o kolegach. Traktuje chłopców po przyjacielsku i sprawia jej niezwykłą przyjemność, gdy jest nimi otoczona. Nawet Alek i Alonzo - nie potrafię myśleć o każdym z nich oddzielnie - istnieją dla niej tylko jako towarzysze zabaw, którzy chcą, by się z nimi bawiła całe życie. Bardzo się cieszę, żeśmy ją poznały, i cieszę się, że zobaczyłam cmentarz Świętego Jana. Zdaje mi się, że poznałam dzisiaj wnętrze duszy Kingsportu. Nie lubię oglądać rzeczy powierzchownie.

## LISTY Z DOMU

Podczas następnych trzech tygodni Ania i Priscilla czuły się ciągle jeszcze obco w Redmondzie. Lecz pewnego dnia nagle wszystko się odmieniło i wszystko wydało się dziwnie swoje i od dawna już znane - Redmond, profesorowie, sale wykładowe, studenci, wykłady, życie towarzyskie. Obcy i rozproszeni dotychczas nowicjusze utworzyli nagle jedną wielką rodzinę, ożywioną wspólnym dążeniem do tych samych celów, wspólnymi zainteresowaniami, sympatiami i ambicjami. Obóz nowicjuszków wygrał mecz sportowy ze starszymi studentami, a tym samym „żółtodzióbki” zyskały szacunek wszystkich klas i poczęły się cieszyć dobrą opinią. Zwycięstwo to odniesiono dzięki nadzwyczajnej strategii Gilberta Blythe, który prowadząc swą drużynę zastosował nową, oryginalną taktykę i ani na chwilę podczas meczu nie stracił równowagi. W nagrodę za swe męstwo Gilbert został obwołany patronem klasy nowicjuszy, a poza tym został członkiem honorowym korporacji „Lambda Theta”, co było niezwykle zaszczytem dla „żółtodzióbka”. Przed przyjęciem jednak do korporacji zmuszono go do przededefilowania przez wszystkie ulice Kingsportu w wielkim kapeluszu na głowie i w dużym kucharskim fartuchu z kolorowego perkalu. Gilbert podjął się tej ceremonii z ochotą, kłaniając się uprzejmie po drodze wszystkim znajomym paniom. Karol Sloane, którego bynajmniej nie zapraszano do korporacji, oznajmił Ani, że nie pojmuje, jak Gilbert mógł się zgodzić na podobną hańbę, bo on, Karol, nigdy by takich warunków nie przyjął.

- Wyobrażam sobie Karola Sloane'a w kucharskim fartuchu i w kapeluszu z wielkim rondem! - chichotała Priscilla. - Przypominałby w tym stroju starą babcię Sloane! Gilbert nawet tak przebrany wyglądał jak prawdziwy mężczyzna i traktował całą tę defiladę po prostu z humorem.

Ania i Priscilla od początku swego pobytu zaczęły brać czynny udział w towarzyskim życiu Redmondu. Zawdzięczały to w pewnej mierze Izabeli Gordon. Śliczna i czarująca dziewczyna budziła ogólny zachwyt, a poza tym, jako córka zamożnego i poważanego obywatela Bolingbroke, pochodzącego ze starej i znanej rodziny - wszędzie była mile widziana, a wraz z nią równie chętnie były przyjmowane Ania i Priscilla. Iza, jak sama mówiła, „uwielbiała” swe nowe przyjaciółki, darząc szczególnym sentymentem Anię. Sama zresztą była bardzo miłym stworzeniem o czystej kryształowej duszyczce, bez odrobiny egoizmu. „Moi przyjaciele muszą być waszymi przyjaciółmi” - głosiła wszędzie Iza. Toteż z zupełną swobodą i bardzo szybko wciągnęła do grona swych nowych znajomych dziewczęta z Avonlea, którym dzięki

temu łatwiej było żyć się studenterią redmondzką. W sercach innych nowicjuszek zrodziła się zapewne niejedna iskierka zazdrości, bo chociaż i one pożyły przyjaźni Izy, to jednak musiały już pozostać na drugim planie.

Ania i Priscilla, które miały poważniejszy pogląd na życie, nie przestawały traktować Izy jak małego rozkapryszonego dziecka. Z uśmiechem przypominały sobie jej oświadczenie, że przecież i ona posiada „dużo zdrowego rozsądku”. Tajemnicą było jedynie to, kiedy Iza znajdowała czas na studia, bo prawie przez cały dzień uganiała się po Redmondzie w poszukiwaniu nowej rozrywki, a wieczorami jej pokój wypełniali goście. Konkurentów miała, ile tylko dusza zapragnie, bo zarówno większość nowicjuszek, jak i wielu starszych studentów ubiegało się o każdy jej uśmiech. Iza radowała się tym wszystkim i z rozpromienioną twarzą zwierzała się z każdego nowego sukcesu Ani i Priscilli.

- Ale mam wrażenie, że Alek i Alonzo nie mają jeszcze dotychczas poważniejszego rywala - uśmiechała się Ania z odrobiną ironii.

- Bezwarunkowo - przytakiwała Izabela. - Pisuję do nich co tydzień i w listach tych staram się opowiedzieć im o wszystkich moich tutejszych konkurentach. Jestem pewna, że ich to ogromnie bawi. Niestety, nie mogę tylko zdobyć tego, który mi się naprawdę podoba, bo Gilbert Blythe nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi i traktuje mnie jak małe kociątko, które od czasu do czasu można pogłaskać. Doskonale orientuję się, dlaczego Gilbert jest dla mnie taki obojętny. Zazdroszczę ci, Królowo Aniu. Powinnam cię właściwie nienawidzić, a tymczasem bardzo kocham i bardzo mi przykro, gdy cię przez jeden dzień nie widzę. Ogromnie się różnisz od tych wszystkich dziewcząt, które znałam dotychczas. Gdy patrzysz na mnie, czuję się małym, nic nie znaczącym stworzeniem i martwię się, że nie posiadam tej twojej siły i mądrości. Wtedy robię różne postanowienia, lecz po chwili, gdy tylko ujrzę ładnego chłopca, cała moja siła woli pierzcha gdzieś w niepamięć. Nie uważacie, że życie studenckie jest wspaniałe? Śmieszne, że na samym początku nienawidziłam Redmondu! Ale gdyby było inaczej, może nie zaprzyjaźniłabym się z wami. Aniu, błagam cię, mów mi od czasu do czasu, że mnie odrobinę lubisz. Sprawia mi to ogromną przyjemność.

- Bardzo cię lubię, kochanie, jesteś miła, dobra i sprawiasz wrażenie małego kociątka, które nigdy nie wysuwa swych ostrych pazurków - śmiała się Ania wesoło. - Ale chciałabym wiedzieć, kiedy ty się właściwie uczysz?

Jednakże Izabela musiała poświęcać pewien czas na studia, bo czyniła coraz większe postępy. Nawet stary i niechętny profesor matematyki, który nie znosił

koedukacyjnych zakładów naukowych i występował zawzięcie przeciwko przyjmowaniu dziewcząt do Redmondu, w żaden sposób nie mógł jakoś wyrzucić swej złości na Izie Gordon. Jedynie pod względem języka angielskiego Iza pozostawała w tyle za Anią Shirley, dla której studia pierwszego roku okazały się zupełnie nietrudne, dzięki sumiennej pracy podczas ostatnich dwóch lat w Avonlea. Ania mogła zatem więcej czasu poświęcać życiu towarzyskiemu, co sprawiało jej ogromną przyjemność. Ale nigdy nie zapominała o Avonlea i o przyjaciółkach, których tam pozostawiła. Najszczęśliwsze chwile przeżywała wtedy, gdy otrzymywała listy z domu. Nim nadeszły pierwsze listy, wątpiła, czy kiedykolwiek polubi Kingsport i potrafi się w nim dobrze czuć, a Avonlea wydawała jej się odległa o tysiące mil. Dopiero listy te zbliżyły ukochaną wieś, tak że życie dawne zaczęło się łączyć w jedną całość z tym, które prowadziła obecnie w Redmondzie.

Pierwsza seria wiadomości zawierała sześć listów: od Janki Andrews, Ruby Gillis, Diany Barry, Maryli, pani Linde i Tadzia.

List Janki był kompletnym arcydziełem pod względem kaligraficznym, bo każde „t” miało równiutką kreseczkę, a każde „i” odznaczało się skrupulatnym wykończeniem kropki, jednakże treść tego listu nie była zbyt interesująca. Janka ani słowem nie wspominała o szkole, która Anię interesowała w pierwszym rzędzie, nie odpowiadała też na pytania, zadane przez Anię w liście. Opisywała tylko, ile łokci koronek zdążyła wydziergać, jaka pogoda była w Avonlea, jaką będzie miała nową suknię i jak się czuła, gdy ją bolała głowa. List Ruby Gillis był bardzo porywczy. Oplakiwała nieobecność Ani, zapewniając przyjaciółkę, że na każdym kroku odczuwa jej brak, zapytywała, czy chłopcy redmondzcy są mili, a na zakończenie powiadamiała ją o swych nowych konkurentach. Był to głupiutki, banalny liścik i ubawiłby Anię ogromnie, gdyby nie zauważyła następującego małego dopisku: *Widocznie Gilbert dobrze się czuje w Redmondzie, tak wywnioskowałam z jego listu - pisała Ruby. - Karol jednak chyba nie jest zbyt zachwycony.*

Więc Gilbert korespondował z Ruby! Świetnie! Ma przecież do tego pełne prawo. Tylko!... Ania nie miała pojęcia, że Ruby pierwsza napisała do Gilberta, a on z prostej grzeczności musiał jej na ten list odpisać. Niemile dotknięta odłożyła list Ruby z niechęcią. Dopiero wesoły i miły list Diany, zawierający mnóstwo nowinek, przysłonił przykre wrażenie tamtego dopisku. Może Diana zbyt wiele rozpisywała się o Alfredzie, ale z drugiej strony, zawiadamiała Anię o wszystkich nowych wydarzeniach i dzięki temu listowi Ania wyobraziła sobie przez chwilę, że znajduje się znowu w



Avonlea. Z listu Maryli, pozbawionego zupełnie plotek i sensacji, powiało zdrową atmosferą rodzinnego życia na Zielonym Wzgórzu i czystym sentymentem, jakim tam wszyscy Anię otaczali. Pani Linde nie omieszkała donieść Ani o ostatnich sprawach kościelnych. Nic zajmując się teraz gospodarstwem, pani Małgorzata miała więcej czasu i całą duszę oddała miejscowym ploteczkom. Ostatnio była pochłonięta tym, co się działo na plebanii po ustąpieniu pastora Allana.

*Wątpię, czy gdziekolwiek w dzisiejszych czasach poświęcają się karierze księdza ludzie rozsądni - pisała z goryczą. - Najlepszym tego dowodem są duchowni, których nam teraz przysyłają. Te ich kazania wołają o pomstę do nieba! Przeważna część kazań jest wierutnym kłamstwem i absolutnie nie wpływa zdrowo na parafian. Nasz obecny pastor jest człowiekiem zupełnie niepoczytalnym. Zazwyczaj obiera jakiś temat, a potem zaczyna mówić o czymś zupełnie innym. Śmie nawet twierdzić, że - jego zdaniem - poganie nie będą potępieni. Też pomysł! A więc wszystkie pieniądze, jakie ofiarowujemy na cele utrzymania zagranicznych misji, poszłyby na marne? Ostatniej niedzieli obwieścił, że na przyszły tydzień będzie mówić na temat pływającej siekiery. Radziłabym mu raczej wybierać tematy z Biblii, a sensacyjne opowieści pozostawić na boku. Ładnie wyglądamy, jeżeli kaznodzieja nie potrafi znaleźć tematu do swych kazań w całej treści Pisma Świętego. Do jakiego kościoła chodzisz, Aniu? Mam nadzieję, że uczęszczasz regularnie. Ludzie będący poza domem traktują modlitwę jak rzecz drugorzędną, szczególnie znani są z tego studenci. Mówiono mi nawet, że niektórzy właśnie w niedzielę najwięcej czasu poświęcają na studia. Pocięszam się nadzieją, że Ty, Aniu, nie bierzesz przykładu z takich grzeszników. Pamiętaj o swym wychowaniu i bądź ostrożna w zawieraniu znajomości. Nigdy nie możesz przewidzieć, jakich ludzi spotkasz na uniwersytecie. Z powierzchowności mogą być bardzo mili, lecz wnętrza ich przepojone są zgnilizną. Najlepiej by było, jeślibyś nadal przyjaźniła się tylko z tymi, którzy pochodzą z Wyspy.*

*Muszę Ci jeszcze opisać ostatnią wizytę pastora na Zielonym Wzgórzu. Była to szalenie zabawna historia i powiedziałaś nawet Maryli: dopiero by się Ania uśmieła, gdyby tu była. Maryla też zanosila się od śmiechu. Pastor jest mały, tęgi i ma krzywe nogi. Wyobraź sobie, że to duże prosię pana Harrisona znowu tego dnia wtargnęło na nasze podwórze i podeszło niepostrzeżenie do bocznego wejścia. W tej samej chwili wchodził do bramy pastor. Prosię spłoszyło się i chciało umknąć, więc postanowiło się przecisnąć między krzywymi nogami pastora. Ponieważ pastor jest*

*mały, więc nieszczęsne prosię siłą pędu uniosło go na sobie. Kapelusz jego poleciał w jedną stronę, laska - w drugą, a my z Marylą słysząc krzyk wybiegłyśmy na podwórze. Chyba nigdy nie zapomnę tego widoku. Nie umiem Ci opisać przerażenia biednego prosięcia. Teraz gdy kiedykolwiek czytać będę w Biblii przypowieść o świni, która w szalonym pędzie rzuca się w dół z urwiska do morza, zawsze stanie mi przed oczami prosię pana Harrisona, unoszące na grzbiecie przerażonego pastora. Biedne zwierzę! Musiało mu się zdawać, że niesie na sobie diabła. Na szczęście, bliźnięta nie widziały tego wszystkiego, uważam, że nie byłby to dla nich odpowiedni widok. Na brzegu strumyka udało się pastorowi zeskoczyć, a Prosię, uwolnione od ciężaru, przesadziło strumień i skryło się w lesie. Obydwie z Marylą pomogłyśmy wstać pastorowi i oczyściłyśmy jego zabłocone ubranie. Nic mu się nie stało, ale biedak był siny ze złości i zdawał się mieć żal do mnie i do Maryli, chociaż starałyśmy się mu wytłumaczyć, że to prosię nie należy do naszego inwentarza i że nam również od kilku miesięcy nie daje spokoju. Uważam, że pastor sam jest sobie winien, bo po co wchodził do domu bocznymi drzwiami? Pan Allan nigdy by tego nie uczynił. Nieprędko będziemy mieli takiego pastora jak pan Allan. Ale cała ta historia dopomogła nam w pewnej mierze, bo od tego czasu prosię pana Harrisona przestało nas odwiedzać.*

*W Avonlea wszystko w porządku. Zielone Wzgórze zaczęło mi się podobać i nie wydaje mi się już teraz takie osamotnione. Sądzę, że tej zimy zacznę robotę nowej koldry, bo dostałam od pani Sloane prześliczny wzór.*

*Gdy odczuwam potrzebę jakiejś zmiany, czytam opis morderstw w dziennikach bostońskich, które otrzymuję regularnie od siostrzenicy. Dawniej nie interesowałam się tym nigdy, ale teraz doszłam do wniosku, że opisy te są jednak bardzo ciekawe. Ach, te Stany Zjednoczone, to ma być straszny kraj! Mam nadzieję, Aniu, że Ty nigdy tam nie pojedziesz, chociaż ostatnio młode dziewczęta ogromnie lubią włóczyć się po świecie. Przypomina mi to tego szatana z Księgi Hioba. Pan Bóg na pewno takie rzeczy nie pochwała.*

*Od czasu Twego wyjazdu Tadzio sprawuje się nieco lepiej. Raz tylko był niegrzeczny, więc Maryła ukarała go w ten sposób, że przez cały dzień musiał chodzić w fartuszku Toli. Oczywiście przez zemstę podarł Toli wszystkie fartuszki. Zbiłam go za to po łapach, lecz on w godzinę potem zamęczył na śmierć mego koguta.*

*MacPhersonowie wprowadzili się już do mego dawnego domu. Ona jest*

*naprawdę świetną gospodynią. Wyrzuciła wszystkie lilie z ogródka, bo twierdzi, że tylko zaśmiecają ogród. Lilie te sadził jeszcze Tomasz, zaraz po naszym ślubie. Sam MacPherson musi być dobrym człowiekiem, ale ona, niestety, dotychczas jeszcze nie wyzbyła się śmiesznych narowów starej panny.*

*Aniu, nie ucz się za dużo i pamiętaj o sobie. Teraz powinnaś już nosić ciepłą bieliznę. Maryla jest bardzo o Ciebie niespokojna, ale ja jej tłumaczę, że masz więcej zdrowego rozsądku, niż Cię kiedyś o to posądzałam, i potrafisz doskonale dawać sobie radę.*

*List Tadzia tchnął bezdenną rozpaczą.*

*Droga aniu. Napisz maryli, żeby nie przywiązywała mnie do parkanu, jak ja mam iść z chłopcami napółuw ryb, bo się ze mnie śmieją. Szalenie mi smutno bez ciebie, ale w szkole zato wesoło, janka andrews nie jest tak dobra jak ty. wczoraj nastraszyłem panią linde latarkom. Była strasznie zła, bo postanowiłem pomęczyć jej koguta ciągnąc go po całym podwórku właściwie nie chciałem go zabić i nie wiem dlaczego zdechł, aniu, muszę to wjedzieć. pani linde zuciła go do śmietnika, chociaż chciała go przed tem sprzedać panu blair, ale pan blair daje za zabite koguty tylko piendziesiont cętów. Więc pani linde poprosiła pastora, żeby się za nią pomodlił, aniu, co ona mogła zrobić złego, mam teraz latawca z długim ogonem, dzisiaj emilek boutler opowiedział mi w szkole bardzo ciekawą chistorię. Podobno w zeszłym tygodniu stary joe mosey grał z leonem w karty. Było to w lesie i karty leżały na pieńku. Wtem nagle zjawił się jakiś doży, czarny człowiek, zabrał karty i pieniek i odszedł, ciskając pioruny, emilek muwi, że to był diabeł. Czy to prawda? aniu muszę to wiedzieć. Pan kimball jest chory i musi wyjechać do szpitala. Zaczekaj chwilę. Chciałem zapytać marylę jak to się pisze. Właśnie maryla mi powiedziała, że to wcale nie szpital tylko coś innego. Pan kimball przypuszcza, że ma w bżóchu rzmije. aniu co to znaczy muszę to wjedzieć. Pani lawrence bel też jest chora. Pani linde muwi, że ona za bardzo się pieści i za bardzo dba o swoje wnętrności.*

*- Ciekawa jestem - szepnęła Ania w zamyśleniu, odkładając listy do koperty - co by pani Linde powiedziała o Izabeli...*

## W PARKU

- Co macie zamiar dziś robić, dziewczęta? - zapytała Izabela wbiegając pewnego sobotniego popołudnia do pokoju Ani.

- Zamierzamy pójść na spacer do parku - odparła Ania. - Właściwie powinnam wykończyć zaczęta bluzkę, ale w taką pogodę jak dzisiejsza trudno jest zająć się szyciem. W powietrzu jest coś takiego, co przenika do krwi i wywołuje radość duszy. Na pewno gdybym spojrzała na słońce, ręce by mi poczęły drżeć i nie byłabym zdolna zrobić ani jednego równego ściegu. Chcemy więc pójść do parku i rozkoszować się cieniem sosen.

- Czy mówiąc „my” masz na myśli tylko siebie i Priscille?

- Nie, biorę także pod uwagę Gilberta i Karola, a bylibyśmy bardzo radzi, gdybyś i ty przyłączyła się do naszego towarzystwa.

- Ale - szepnęła Iza z rozpaczą - musiałabym przez cały czas pozostawać na drugim planie, a to się jakoś nie zgadza z usposobieniem Izabeli Gordon.

- Widzisz, nowe doświadczenia rozszerzają pogląd na życie. Chodź z nami, a będziesz mieć więcej zrozumienia dla tych wszystkich biedaków, którzy przez całe życie pozostają na drugim planie. Ale gdzie się podziały wszystkie twoje ofiary?

- Och, jestem nimi zmęczona, nie mogłam ich dzisiaj znieść. Poza tym jestem od kilku godzin jakoś dziwnie zniechęcona. Właściwie nie mam poważniejszego powodu ku temu. W zeszłym tygodniu napisałam do Alka i Alonza. Włożyłam listy do zaadresowanych kopert, ale ich nie zakleiłam i stało się coś bardzo śmiesznego (to znaczy dla Alka będzie to śmieszne, bo Alonzo na pewno się zasmuci). Śpieszyłam się bardzo, a chcąc dopisać jeszcze coś do listu Alka, byłam pewna, że właśnie jego list wyjęłam z koperty. Potem obydwie koperty zakleiłam i zaniósłam na pocztę. Dziś rano otrzymałam odpowiedź od Alonza. Wyobraźcie sobie, moje złote, że omyliłam się i dopisek znalazł się w liście Alonza. Naturalnie, jest teraz na mnie wściekły. Mam nadzieję, że się da przebłagać, chociaż ta jego wściekłość wcale mnie nie martwi. Jednakże to wszystko wpłynęło na mój zły humor. Przyszłam więc do was, żeby się trochę rozweselić. Jak się tylko zaczną mecze piłki nożnej, będę już miała wszystkie soboty zajęte. Strasznie lubię piłkę nożną. Kupiłam sobie bajeczną czapkę i sweter o barwach redmondzkich i w tym kostiumie będę występowała podczas zawodów. Z biegiem czasu gotowi mnie tu nazwać chodzącą kukłą reklamową. Wiesz, Aniu, że twój Gilbert został wybrany kapitanem futbolowej drużyny nowicjuszków?

- Tak, wczoraj nam o tym mówił - rzekła Priscilla domyślając się, że Ania,

dotknięta tym dziwnym zwrotem nowej przyjaciółki, nie ma zamiaru na to pytanie odpowiedzieć. - Przyszli do nas obydwaj z Karolem. Wiedząc, że się do nas wybierają, pochowałyśmy natychmiast wszystkie poduszki panny Ady. Tę jasną, haftowaną schowałam w kącie za krzesłem, bo byłam pewna, że tam nic już się jej nie może stać. Ale wyobraź sobie, że Karol Sloane usiadł właśnie na tym krześle, a dostrzegłszy leżącą na ziemi poduszkę, podniósł ją, położył na krześle i usiadł na niej. Siedział tak przez cały wieczór. Nie masz pojęcia, jak ta poduszka potem wyglądała! Biedna panna Ada zapytała mnie dzisiaj z wyrzutem, dlaczego pozwoliłam na niej siedzieć. Wy tłumaczyłam jej, że widocznie takie już było przeznaczenie i, niestety, ja osobiście nic nie mogłam na to poradzić.

- Te poduszki panny Ady doprowadzają mnie do szaleństwa - wtrąciła Ania. - W zeszłym tygodniu znowu wykończyła jakieś dwie, bogato pokryte haftami. Ponieważ już w całym domu nie mogła znaleźć miejsca bez poduszek, ustawiła je na półpiętrze, naprzeciw ściany. Ciągłe się przewracają, a jak wieczorem wchodzimy lub schodzimy po schodach, wiecznie się o nie potykamy. Zeszłej niedzieli, gdy doktor Davis wygłaszał swoje kazanie o tych wszystkich, którzy walczyć muszą z niebezpieczeństwem fal morskich, dodałam w myśli: odnosi się to i do tych, którzy zmuszeni są mieszkać tam, gdzie panuje przesadna miłość do niezliczonej ilości poduszek! A zatem jesteśmy gotowe! Widzę już chłopców idących w naszą stronę przez cmentarz Świętego Jana. Czy idziesz z nami, Izo?

- Pójdę; ale będę szła z Priscilla i Karolem, bo tylko w ich towarzystwie zniosę to odsunięcie na drugi plan. Strasznie miły jest ten twój Gilbert, Aniu, ale dlaczego ciągle się włóczy z tymi „wyłupiastymi oczami”?

Ania zeszywniała znowu. Nie darzyła nigdy zbyt dużą sympatią Karola Sloane'a, ale przecież i on pochodził z Avonlea, więc nikt obcy nie miał prawa drwić z niego.

- Karol był zawsze przyjacielem Gilberta - odparła chłodno. - Zresztą to bardzo dobry chłopiec. To nie jego wina, że ma wyłupiaste oczy.

- Nie mów mi o jego dobroci! Niech sobie będzie! Widocznie uczynił coś złego w swoim poprzednim życiu i Pan Bóg ukarał go takimi oczami. Mimo wszystko i ja, i Prissy ubawimy się dzisiaj w jego towarzystwie. Można drwić z niego otwarcie, a on zdaje się tego nie rozumieć.

Niewątpliwie „nieznośne dziewczęta”, jak je Ania nazywała, dotrzymały swej obietnicy. Na szczęście jednak Karol pozostał nadal w swej błogiej nieświadomości. Dumny był z tego, że spaceruje w towarzystwie dwóch młodych studentek, a

szczególnie Izabeli Gordon, najpiękniejszej dziewczyny wśród grona nowicjuszek. Drwiny przyjaciółek sprawiały Ani przykrość, bo mimo wszystko wierzyła, że Karol Sloane posiada zalety duchowe.

Gilbert i Ania postępowali w pewnym oddaleniu za resztą towarzystwa, zachwycając się ciszą i pięknem jesiennego popołudnia. Szli wolno wąską dróżką biegnącą wzdłuż wybrzeża.

- Panuje tu taka cisza jak w świątyni - zauważyła Ania spoglądając na jasne niebo. - Ogromnie kocham sosny. Zdają się one sięgać korzeniami w głąb romantyzmu dawnych stuleci. Miło jest marzyć w cieniu ich gałęzi i od czasu do czasu pogawędzić z nimi. Czuję się wśród nich bardzo szczęśliwa.

*Zasłuchane w ciszę samotności  
i ziemskim urokiem spowite,  
wszystko darzą uczuciem miłości,  
nawet dusze w ciemnościach ukryte...*

- wyszeptał Gilbert. - Nie uważasz, że w porównaniu z ich potęgą naszej aspiracje i ambicje wydają się dziwnie małe?

- Jestem pewna, że w przyпыłwie największego smutku zwróciłabym się o ukojenie do sosen - odparła Ania nieco sennym szeptem.

- Mam nadzieję, że takiego smutku nigdy nie będziesz przeżywać - rzekł Gilbert, który jakoś nie umiał połączyć pojęcia smutku z wesołym usposobieniem idącej przy jego boku dziewczyny.

Nie zdawał sobie sprawy, że ludzie, którzy w uczuciach swych wznoszą się na najwyższe wyżyny, równie łatwo wpadają w otchłanie rozpacz, że ci, którzy umieją się cieszyć żywiołowo, najmocniej także cierpią.

- Ale są przecież chwile, kiedy człowiek poddaje się smutkowi - szepnęła Ania w zamyśleniu. - Dla mnie życie jest kielichem prawdziwej rozkoszy, który od czasu do czasu podnosi się do ust. Na dnie tego kielicha istnieje gorycz, której każdy człowiek musi zakosztować. Ja osobiście z całą świadomością wychylam ten kielich, choć wiem, że ta gorycz i mnie nie ominie. Pamiętasz ostatnie kazanie doktora Davisa? Mówił, że smutek, zesłany przez Boga, przynosi jednocześnie pocieszenie i siłę ducha. Tylko te zmartwienia, które sami sobie stwarzamy przez własną głupotę lub niegodziwość, są najcięższe do zniesienia. Nie mówmy jednak o smutku, bo słońce tak pięknie świeci. Jest ono także częścią radości naszego życia.

- Gdybym mógł, starałbym się usunąć z twej drogi wszelkie smutki i

zmartwienia, Aniu - szepnął Gilbert.

Z tonu jego Ania wywnioskowała, że „zbliża się niebezpieczeństwo”.

- Bardzo niesłusznie - odparła pośpiesznie. - Jestem pewna, że życie człowieka nie mogłoby być prawdziwie dojrzałe i pełne, gdyby nie było w nim żadnych smutków ani zmartwień. Chociaż przyznam, że o zmartwieniach tych mówimy tak swobodnie wówczas, gdy na ogół dobrze się czujemy na świecie. Ale chodźmy, bo tamci są już w pawilonie i czekają na nas.

Wszyscy usiedli w małym pawilonie, obserwując zachód rozplamionej tarczy słonecznej.

Po lewej stronie leżało miasto Kingsport ze swymi dachami i wieżami spowitymi zasłoną fioletowego dymu. Z drugiej strony roztaczał się widok na port połyskujący miedzianym blaskiem w ostatnich promieniach słońca. Między nimi kryła się gładka tafla srebrnoszarej wody, a z dali wyłaniała się z oparów mgły Wyspa Williama, jak gdyby stojąc na straży miasta.

Światło latarni morskiej promieniowało przez mgłę jak zwodnicza gwiazda, a w głębi na horyzoncie odpowiadały mu światła innych latarni.

- Widzieliście kiedy tak wspaniałe miejsce? - zapytała Izabela. - Popatrzcie na strażnika stojącego na najwyższym wzniesieniu portu, tuż przy fładze. Czyż nie wygląda tak, jakby przed chwilą wyszedł z romansu?

- Skoro mowa o romansie - rzekła Priscilla - przypomniało mi się, że szukałyśmy wrzosu, ale oczywiście nie znalazłyśmy. Sądzę, że już późno na wrzos.

- Wrzos! - wykrzyknęła Ania. - Czyż wrzos rośnie w Ameryce?

- Są tylko dwa miejsca na całym kontynencie, gdzie można spotka wrzos - oznajmiła Izabela. - Jedno właśnie tutaj w parku, a drugie gdzieś w Nowej Szkocji, nie pamiętam gdzie. Obozował tu kiedyś sławny pułk „Czarna Gwardia”. Żołnierze wyrzucając wiosną słomę z łóżek wytrząsnęli nasiona wrzosu, które się przyjęły.

- Och, jakie to cudowne! - zawołała zachwycona Ania.

- Wracajmy do domu Aleją Spofforda - zaproponował Gilbert. - Zobaczymy wszystkie „piękne domy”, które zamieszkuje przeważnie arystokracja. Aleja Spofforda jest najwspanialszą ulicą w Kingsporcie, budują tam swoje wille tylko sami milionerzy.

- Och, doskonale! - zawołała Iza. - Właśnie chciałam ci coś ciekawego pokazać, Aniu. Dostrzegłam tam pewien domek, który na pewno ni« został wybudowany przez milionera. Domek ten znajduje się zaraz przy bramie parku i wyrósł prawdopodobnie

jeszcze w owym czasie, gdy Aleja Spofforda była tylko zwykłą wiejską drogą. Mówię: wyrósł, bo jestem pewna, że nie został wybudowany! Tamte wielkie domy wcale mi się nie podobają, bo są zbyt nowe i zbyt wspaniałe. Za to ten mały domeczek jest jak marzenie, nazywa się... ale zaraz, musisz go przedtem zobaczyć.

Istotnie, gdy schodzili z niewielkiego pagórka porośniętego sosnami, dostrzegli już z oddali ów domek, o którym opowiadała Iza. Stał na skrzyżowaniu ulic, a z obydwu stron otaczały go wysokie sosny, zdające się sprawować nad nim macierzyńską opiekę. Domek był zarośnięty dzikim winem, z którego wyzierały okna, opatrzone w proste zielone okiennice. Przed wejściem znajdował się ogródek, okolony niskim, murowanym parkanem. Mimo jesiennej pory w ogródku panowała zupełna wiosna pełno w nim było świeżej zieleni - rosły tu wiązy, drzewka cytrynowe, jaśmin, petunie, nagietki i chryzantemy. Od furtki do frontowego wejścia domku biegła wąziutka ścieżka, wybrukowana lśniąco kamiennymi kamykami. W ogóle sam domek sprawiał wrażenie chatki przeniesionej tutaj z najgłuchszej wsi. Jednakże było w nim i wokoło niego „coś”, co sprawiało, że znajdujący się w jego najbliższym sąsiedztwie wysoki, potężny dom, własność króla tytoniowego, wydawał się wręcz brzydki, pomimo całej swej wspaniałości. Zdaniem Izy różnica polegała na tym, że mały domek „zjawił” się nagle, a tamten wielki jego sąsiad został „zbudowany” ludzką ręką.

- Najładniejszy zakątek, jaki kiedykolwiek widziałam! - zawołała Ania z zachwytem. - Widok tego domku wywołał w mojej duszy jeden z moich dawnych dreszczy. Uważam, że jest nawet o wiele ładniejszy od kamiennego domku panny Lawendy.

- Powinnaś zapamiętać jego nazwę - wtrąciła Iza. - Patrz, na łuku bramy widnieje napis: *Ustronie Patty*. Podoba ci się? Nazwa ta nie pasuje dziwnie do otoczenia tych wspaniałych willi. „Ustronie Patty”, czyż to nie ślicznie brzmi? Po prostu uwielbiam tę nazwę.

- A któż to może być - Patty? - zapytała Priscilla.

- Patty Spofford to nazwisko starej właścicielki tego domku, jak się dowiedziałam. Ta dama mieszka tutaj ze swoją siostrzenicą, a musiały obydwie mieszkać tu także przed setkami lat, przynajmniej takie się odnosi wrażenie, gdy się patrzy na ten domek. Taka niewielka przesada Jest zresztą tylko dowodem fantazji poetyckiej. Podobno niejeden z bogaczy chciał już odkupić to ustronie, ale pani Patty nigdy się nie chciała na to zgodzić. Za domkiem ciągnie się rozległy sad, który będziecie mogli zobaczyć z tamtej przecznicy. Wyobraźcie sobie, prawdziwy sad w Alei



Spofforda!

- Będę teraz marzyć o „Ustroniu Patty” - szepnęła Ania. - Wydaje mi się ono takie bliskie i swoje. Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek uda nam się zajrzeć do środka.

- Bardzo wątpię - rzekła Priscilla.

Na twarzy Ani zaigrał tajemniczy uśmiech.

- A ja święcie wierzę, że to kiedyś nastąpi. Możesz to nazwać przesadą, lecz mam takie dziwne wrażenie, że zawrę kiedyś bliższą znajomość z baśniowym domczkiem.

## Z POWROTEM W DOMU

Pierwsze trzy tygodnie pobytu w Redmondzie zdawały się ciągnąć w nieskończoność, lecz za to następna część semestru upłynęła prawie niepostrzeżenie. Wreszcie nadszedł okres egzaminów przed Bożym Narodzeniem, z których nasi przyjaciele wyszli mniej lub bardziej zwycięsko. Zaszczytne tytuły prymusa w klasie nowicjuszków przechylał się raz na stronę Ani, to znów Gilberta lub Izabeli. Priscilla także zdała doskonale, a Karol Sloane przebrnął przez egzamin jako tako, lecz potem zadzierał głowę tak, jakby to on właśnie był prymusem.

- Nie chce mi się wierzyć, że jutro o tej porze będę już na Zielonym Wzgórzu - mówiła Ania w przeddzień wyjazdu. - A jednak to prawda. Ty, Izo, jutro będziesz już w Bolingbroke w towarzystwie Alka i Alonza.

- Tęsknię już trochę za nimi - przyznała Iza opychając się czekoladkami. - To naprawdę bardzo mili chłopcy. Czuję, że świetnie spędzę wakacje. Nie będzie końca tańcom, przejażdżkom i innym przyjemnościom. Ale tobie nigdy nie wybaczę, Królowo Aniu, żeś nie przyjęła mego zaproszenia.

- „Nigdy” to dla ciebie znaczy kilka dni, Izo. Bardzo ci jestem wdzięczna, żeś mnie zaprosiła, i chętnie przyjadę kiedyś do Bolingbroke. Jednakże w tym roku muszę pojechać do domu. Nie umiem ci powiedzieć, jak za nimi wszystkimi tęsknię.

- Nie będziesz miała znowu takich rozrywek - zauważyła Iza z przekąsem. - Najwyżej kilka nudnych wieczorów, podczas których stare plotkarki obgadują cię będą za plecami. Jestem pewna, że umrzesz z nudów, moja droga.

- Co, w Avonlea?! - zawołała Ania bardzo tym ubawiona.

- Na pewno u mnie byłoby ci weselej. Zresztą Bolingbroke szalałoby za tobą, Królowo Aniu. Masz śliczne włosy, jesteś taka oryginalna. Zaręczam ci, że miałabyś nadzwyczajne powodzenie, a ja nurzałabym się w blasku twojej świetności. „Nie mogąc być różą, byłabym jej odbiciem”. Jedź ze mną, Aniu!

- Odmalowana przez ciebie perspektywa rozrywek jest naprawdę bardzo pociągająca, Izo, ale ja postaram się przedstawić ci inny obraz, który może tamten twój zaćmi. Jadę do domu, do starej farmy otoczonej sadem, która wiosną tonie w zieleni, obecnie zaś tonie w łzach za mną. U podnóża pagórka płynie strumyk, a tuż nad nim ciągnie się las sosnowy, gdzie nawet plusk jesiennego deszczu zdaje się być nieziemską symfonią. Obok znajduje się staw, który obecnie jest już pewnie szary i zamrznięty. W domu czekają mnie dwie starsze panie, jedna wysoka i szczupła, druga mała i tęga, i dwoje bliźniąt, jedno grzeczne, drugie nieznośne, jak je pani Linde

nazywa: „święta zgroza”. Na facjacie, tuż nad gankiem, znajduje się mały pokoik, gdzie panuje atmosfera dawnych, dziecięcych marzeń. W pokoiku tym jest wygodne łóżko, które po twardym materacu pensjonatowym będzie dla mnie szczytem przepychu. No, jak ci się to wszystko podoba, Izo?

- Uważam, że jest szalenie nudne - rzekła Iza krzywiąc się niemiłosiernie.

- Zapomniałam o najważniejszym - rzekła Ania miękko. - Oprócz tego wszystkiego, Izo, panuje tam miłość, miłość, której można nie znaleźć na całym świecie, miłość oczekująca mnie z upragnieniem. Tym samym obraz mój stał się już arcydziełem, chociaż może barwy, jakich do niego użyłam, nie są zbyt jaskrawe.

Iza nie rzekła już nic, tylko odsunawszy od siebie puste pudełko po czekoladkach, podbiegła do Ani i zarzuciła jej ramiona na szyję.

- Aniu, jakżebym pragnęła być taką jak ty - szepnęła z powagą.

Nazajutrz wieczorem oczekiwała Anię na dworcu w Carmody Diana i obydwie pojechały do domu, wpatrzona w ciche, usiane gwiazdami niebo. Zielone Wzgórze zdawało się mieć wygląd świąteczny. We wszystkich oknach płonęły światła, których blask padał na ciemną drogę i odbijał się w płomiennym refleksie na mrocznym tle Lasu Duchów. Na podwórzu Cuthbertów płonęło wielkie powitalne ognisko, a dokoła tańczyły dwie małe figurki, z których jedna, widząc ukazujący się na zakręcie powozik, poczęła wydawać jakieś dzikie okrzyki.

- Tadzio uważa to za wojenny okrzyk jakiegoś szczepu Indian - objaśniała Diana. - Pastuch pana Harrisona nauczył go tego okrzyku i Tadzio ćwiczył się przez cały tydzień, żeby cię godnie powitać. Pani Linde twierdzi, że te okrzyki zszarpały jej doszczętnie nerwy, bo Tadzio wdrapywał jej się na plecy i wrzeszczał tak przeraźliwie, że biedna pani Małgorzata po prostu truchlała. Postanowił także rozpaść dla ciebie ognisko. Od dwóch tygodni znosił z lasu gałęzie i zamęczał Marylę, żeby mu pozwoliła nalać trochę nafty przed rozpaleniem drzewa. Widocznie zgodziła się wreszcie na to, chociaż pani Linde pragnęła temu zapobiec twierdząc, że Tadzio swymi figlami gotów jeszcze wysadzić kiedyś wszystko w powietrze. Ania wyskoczyła z powoziku i w tej samej chwili Tadzio zawisł już na jej szyi. Nawet Tola przywarła do jej ręki.

- Aniu, czyż nie bajeczne ognisko? Zaraz ci pokażę, jak się roznieca. Spójrz na te iskry. Rozpaliłem ten ogień tylko dla ciebie, żeby ci pokazać, jak się cieszę z twego powrotu!

Drzwi się uchyliły i na progu ukazała się postać Maryli, znacząca się ciemną plamą w kręgu światła, którego blask padał z kuchni. Woląca powitać Anię na

mrocznym podwórzu, bo lękała się bardzo, że gotowa się jeszcze rozplakać z radości - ona, ta surowa Maryla, która wszelki sentyment uważała za rzecz niedopuszczalną. Tuż za nią stała pani Linde, jak zwykle miła, dobra i godna. Istotnie, miłość, o której Ania wspominała Izie, czekała tu na nią z niecierpliwością i teraz otaczała ją powoli swymi stęsknionymi ramionami. Czy cokolwiek na świecie można było porównać z atmosferą panującą na Zielonym Wzgórzu? Gdy Ania wraz ze wszystkimi zasiadła do kolacji, oczy jej były promienne, policzki zaróżowione, a beztroski uśmiech gościł na jej twarzy. Diana miała tym razem zostać u niej na noc. Ta perspektywa niosła ze sobą wspomnienia dawnych czasów wiośnianego dzieciństwa. A na stole stał uroczyście staroświecki serwis z pąkami róż! To Maryla starała się zadokumentować swą szczerą radość.

- Jestem pewna, że przegadacie całą noc - uśmiechnęła się Maryla, gdy dziewczęta zamierzały się już udać do pokoju na facjatce.

- Chyba masz słuszość - przyznała Ania wesoło - ale najpierw ułożę Tadzia. Bardzo mnie o to prosił.

- Zupełnie zrozumiałe - rzekł Tadzio idąc z Anią na facjatkę. - Muszę Przecież przed kimś zmówić pacierz. Nie lubię się modlić w samotności.

- Odmawiając pacierz, nigdy nie jesteś samotny, Tadzio, bo Pan Bóg jest zawsze przy tobie i słucha uważnie tego, co mówisz.

- Ale Pana Boga nie widzę - zaprotestował Tadzio. - Zawsze lepiej modlić się przy kimś, kogo się widzi. Strasznie nie lubię odmawiać pacierza w obecności Maryli albo pani Linde.

Jednakże, ubrany już w swój nocny strój z miękkiej flaneli, nie śpieszył się teraz z rozpoczęciem pacierza. Stał przed Anią przestępując z nogi na nogę i patrzył na nią jakoś niepewnie.

- No, kochanie, uklęknij - rzekła Ania.

Chłopiec zbliżył się i ukrył głowę na jej kolanach.

- Aniu - zawołał drżącym głosem - nie będę się mógł teraz modlić! Zresztą już prawie od tygodnia nie mogę się na to zdobyć. Ani wczoraj nie odmawiałem pacierza, ani przedwczoraj...

- Dlaczegoż to, Tadzio? - zapytała Ania łagodnie.

- Ale nie będziesz się gniewała, jak ci powiem? - zapytał Tadzio błagalnie.

Ania posadziła go na kolanach i przytuliła małą główkę do swej piersi.

- Czyż ja się kiedy gniewałam, jak mi coś opowiadałeś, Tadzio?

- Nie, nigdy się nie gniewasz, ale ci jest przykro i to jest jeszcze gorsze. Będzie ci teraz bardzo przykro, jak ci o tym powiem, i będziesz się za mnie wstydziła. Jestem pewny.

- Czy uczyniłeś coś złego i dlatego nie masz odwagi odmówić pacierza?

- Nie, nic złego nie zrobiłem, ale muszę to zrobić.

- A cóż to takiego, Tadziu?

- Muszę powiedzieć brzydkie słowo, Aniu! - wybuchnął nagle Tadzio rozpaczliwie. - W zeszłym tygodniu słyszałem, jak je mówił pastuch pana Harrisona, i od tego czasu mam ochotę także powiedzieć to słowo - nawet podczas pacierza!

- Więc już powiedz nareszcie.

Tadzio ze zmieszaniem podniósł w górę zarumienioną twarzyczkę.

- Aniu, ale to jest bardzo brzydkie słowo!

- No, powiedz je!

Tadzio raz jeszcze spojrzał niedowierzająco na swą opiekunkę, po czym przyciszonym głosem wyrzekł to straszne słowo. Zaraz potem zawstydzony ukrył znowu twarzyczkę na piersi Ani.

- Och, Aniu, ja już tego nigdy nie zrobię, nigdy! Nawet nigdy nie będę miał do tego ochoty. Wiedziałem, że to brzydkie słowo, ale nie przypuszczałem, że jest aż takie brzydkie.

- Jestem pewna, że go więcej nie powtórzysz, Tadziu, i mam nadzieję, że w ogóle nie będziesz myślał o tym. Gdybym była na twoim miejscu, przestałabym się bawić z pastuchem pana Harrisona.

- Ale on się tak świetnie bawi w wojnę - rzekł Tadzio z odrobiną żalu w głosie.

- Ty jednak nie powinieneś pamiętać tych wszystkich brzydkich słów, które on plecie. Takie słowa staną się potem prawdziwą trucizną i zabiją w tobie wszystko, co jest dobre.

- Nie! - zaprotestował Tadzio po chwili namysłu.

- Więc nie baw się z chłopcami, którzy cię uczą takich słów, Tadziu. A czy teraz będziesz mógł zmówić pacierz?

- Naturalnie - odparł Tadzio z powagą, kłękając u nóg Ani. - Zmówię pacierz bez zająknięcia. Nie boję się nawet powiedzieć: „Choćbym miał umrzeć przed obudzeniem”, jak to było przedtem, gdy nie wypowiedziałem jeszcze tego brzydkiego słowa.

Prawdopodobnie Ania i Diana zwierzyły się sobie tej nocy z najgłębszych

tajemnic, lecz tajemnice te pozostały na zawsze tylko między nimi. Jednakże nazajutrz przy śniadaniu obydwie wyglądały tak uroczo, jak tylko może wyglądać młodość po długich godzinach spędzonych na potajemnych obopólnych wyznaniach. Przez całą noc obyło się bez śniegu i dopiero gdy Diana w powrotnej drodze do domu mijiała stary most, sklecony z belek, śnieg zaczął sypać wielkimi płatami, które opadały z wolna na pola i lasy pogrążone w głębokim uśpieniu. Wkrótce potem okoliczne pagórki i doliny pokryły się oślepiającą bielą śnieżną i zdawać się mogło, że to szara jesień ustroiła się w ślubny welon i czeka przybycia swego zimowego oblubieńca. Ku wielkiej radości wszystkich Boże Narodzenie zapowiadało się w tym roku prześlicznie. Dnia tego w południe przybyły podarunki i listy od panny Lawendy i Jasia. Siedząc w jasnej kuchni na Zielonym Wzgórzu, Ania otwierała z namaszczeniem koperty i wchłaniała w płuca rozkoszną woń pieczonego ciasta, woń, którą Tadzio zwykł był nazywać z ekstazą „pięknym zapachem”.

- Państwo Irving urządzili się już w swoim nowym mieszkaniu - oznajmiła Ania po przeczytaniu listów. - Jestem pewna, że panna Lawenda znalazła wreszcie swe szczęście, domyślam się tego z tonu jej listu. Znalazłam także dopisek Karoliny Czwartej. Tej biedaczce Boston zupełnie się nie podoba i ogromnie tęskni za domem. Panna Lawenda prosi, abym podczas wakacji zajrzała choć raz do Chatki Ech, przewietrzyła trochę zamknięte pokoiki i zobaczyła, czy poduszki nie pleśnieją. W przyszłym tygodniu poproszę Dianę, żeby tam ze mną poszła. Będziemy mogły odwiedzić Teodorę Dix. A czy Ludwik Speed jeszcze do niej przychodzi?

- Podobno tak - odparła Maryla - ale na ogół przestano już wierzyć, że te konkury odniosą jakiś rezultat.

- Będąc na miejscu Teodory starałabym się go przynaglić - odezwała się pani Linde. Można było wnosić z jej słów, że bardzo tego pragnęła.

Między listami znalazła się także nagryzmołona wiadomość od Izabeli, zawierająca przeważnie nowiny o Alku i Alonzie - co mówią, co robią i jak wyglądali, kiedy ją ujrzeli.

*Jednakże nie mogę się jeszcze zdecydować na żadnego z nich - pisała Iza. - Szkoda, że nie przyjąłś mego zaproszenia, bo może Ty potrafiłabyś się za mnie zdecydować. Przecież ktoś musi mieć trochę silnej woli. Zobaczywszy Alka uczulam przyspieszone bicie serca i przyszło mi na myśl, że on właśnie powinien być moim mężem, ale gdy potem ujrzałam Alonza, serce zabiło mi znowu tak samo. Czyli że bicie serca nie jest oznaką uczucia, jak o tym piszą w książkach. Jestem pewna,*

*Aniu, że Tobie zabiłoby serce tylko na widok prawdziwego księcia z bajki, czy nie? Widocznie coś ze mną jest nie w porządku, ale za to bawię się świetnie, żałuję tylko, że Ciebie tutaj nie ma! Dzisiaj pada bajeczny śnieg. Strasznie mi się to podoba. Lękałam się, że w tym roku będziemy mieli deszczowe święta. Nie wiem, czy słyszałaś o tym, że szare, deszczowe święta Bożego Narodzenia nazywają niektórzy ludzie „zielonym „Bożym Narodzeniem. Nie pytaj mnie dlaczego, bo nie wiem. Lord Dundreary mówi: „Są rzeczy, których człowiek pojąć nie może”.*

*Czy zdarzyło ci się kiedyś wsiąść do autobusu, nie mając pieniędzy na kupienie biletu? Wyobraź sobie, że kilka dni temu znalazłam się w takiej sytuacji. Straszne to było. Gdy wsiadłam, byłam pewna, że mam przy sobie pięćdziesiąt centów. Pamiętałam nawet, że je włożyłam do kieszeni palta. Oczywiście usiadłam wygodnie i sięgnęłam do kieszeni. Niestety, monety nie znalazłam. Dreszcz przeniknął mnie od stóp do głowy. Sięgnęłam do drugiej kieszeni, lecz i tam nic nie było. Przeszukałam wszystko, na próżno. Przeniknął mnie drugi dreszcz. Ściągnęłam rękawiczki i poczęłam raz jeszcze przeszukiwać wszystkie kieszenie. Niestety, nie odniosło to żadnego skutku. Potem podniosłam się sądząc, że pieniądze spadły mi na podłogę. W autobusie było bardzo dużo pasażerów, zaczęto przyglądać mi się z zaciekawieniem, ja jednak nie zwracałam na to uwagi. A monety jak nie było, tak nie było. Wreszcie zaczęłam już podejrzewać, że przez omyłkę ją połknęłam. Nie wiedziałam, co począć. Może konduktor zatrzyma autobus i każe mi wsiąść na pierwszym lepszym przystanku? Wówczas spaliłabym się chyba ze wstydu. Czyż mogłabym go przekonać, że ten brak pieniędzy powstał tylko dzięki roztargnieniu, czy uwierzy mi, że jestem osobą uczciwą i że nie miałam zamiaru przejechać się na gapę? Żeby chociaż Alek i Alonzo byli teraz ze mną! Niestety, nie byli, bo ich potrzebowałam. Gdy ich nie potrzebuję, są zawsze przy mnie. Myślałam, co mam powiedzieć konduktorowi, jak mi poda bilet. Ułożyłam już sobie w myśli rozmowę, ale po chwili wydała mi się ona szalenie głupia i niewiarygodna. Bezwarunkowo trzeba wymyślić coś innego. Trzeba się było zdać na łaskę i niełaskę Opatrzności. Czułam się tak, jak owa stara dama znajdująca się na okręcie podczas burzy. Kapitan okrętu, pragnąc ją pocieszyć, tłumaczy, że całą nadzieję należy pokładać w Bogu, a ona na to: „Czyżby już było tak źle?”*

*Wtem w ostatniej chwili, gdy konduktor kierował się w moją stronę, przyszło mi na myśl, gdzie mogłam jeszcze schować te przekłete pieniądze. Więc jednakże ich nie połknęłam. Zdjęłam uważnie rękawiczkę i nagle błysnęła mi w niej moja*

*nieszczęśliwa, upragniona moneta. Z uśmiechem szczęścia i pogody podałam ją konduktorowi, a cały świat wydał mi się nagle niezwykle piękny.*

Spacer do Chatki Ech był jedną z najmielszych wycieczek podczas wakacji Bożego Narodzenia. Ania i Diana szły ochoczo wąską ścieżką leśną, niosąc duży koszyk z drugim śniadaniem. Domek panny Lawendy zamknięty był od chwili jej ślubu i dopiero teraz po raz pierwszy wtargnęły do wnętrza wesołe promienie słońca i podmuchy wiatru, a na kominkach w małych, przytulnych pokoikach zatrzeszczał wesoło ogień. Wszędzie roznosiła się jeszcze woń dawnych róż doniczkowych, hodowanych tak troskliwie przez właścicielkę, i zdawać się mogło, że za chwilę panna Lawenda wejdzie do czyściutkiej bawialni i powita radośnie przybyłych gości. Nawet w kuchni wiało jeszcze niedawną obecnością uśmiechniętej zawsze Karoliny Czwartej.

- Czuję się tutaj trochę jak duch, który przyszedł odwiedzić dawno opuszczone przez siebie miejsce, dostępne dotychczas tylko księżycowym blaskom - śmiała się Ania. - Musimy się przekonać, czy i echa jeszcze tu pozostały. Prawdopodobnie stary róg wisi ciągle w kuchni za drzwiami.

Istotnie, echa nie opuściły dotąd kamiennego domku ani brzegu rzeki i po chwili oznajmiły swą obecność srebrzystym dźwiękiem. Kiedy echa umilkły, dziewczęta zamknęły kamienny domek i wyruszyły w powrotną drogę. Nad nimi roztaczał swe blaski wspaniały różowopomarańczowy zachód słońca.



## PIERWSZA PROPOZYCJA

Ostatni dzień starego roku nie pozostawił po sobie pogodnego wspomnienia, bo minął przy akompaniamencie śnieżnej zawiei i złowrogich podmuchów wiatru. Przez całą noc wiatr wył ponad zamrzniętymi łąkami i wciskał się nawet do najmniejszych szczelin, a chwilami uderzał groźnie w szyby okienne.

- W takie noce ludzie kulą się pod kołdrami i liczą w ciemnościach wszystkie dobre uczynki, jakie w życiu spełnili - mówiła Ania do Janki Andrews, która odwiedziła ją po południu i z powodu zawiei śnieżnej miała pozostać na noc. Lecz kiedy obie skuliły się już pod kołdrami w małym pokoiku na facjacie, okazało się, że Janka zajęta była zupełnie innymi myślami.

- Aniu - zaczęła uroczyście - chciałam ci coś powiedzieć, można? Ania była nieco zmęczona po wczorajszym przyjęciu, które urządziła Ruby Gillis. Wolałaby teraz raczej spać niż wysłuchiwać zwierzeń Janki, tym bardziej że z góry już zgadywała, iż będą bardzo nudne. W tej chwili jednak nie potrafiła przewidzieć, na jaki temat mogłyby być te zwierzenia. Może Janka była już zaręczona, bo o Ruby Gillis krążyły pogłoski, że zaręczyła się potajemnie z nauczycielem ze Spencervale, w którym kochały się prawie wszystkie dziewczęta z okolicy.

„Wkrótce ja tylko będę wolną istotą z całej naszej czwórki” - pomyślała Ania sennie, a głośno rzekła: - Ależ naturalnie!

- Aniu - odezwała się po chwili Janka tym samym uroczystym tonem - co myślisz o moim bracie Billym?

Ania w zdumieniu otworzyła szeroko usta, zaskoczona tym dziwnym Pytaniem. Wzdrygnęła się mimo woli. Cóż ona mogła myśleć o Billym Andrews? Nic i nigdy o nim nie myślała. Wydawał jej się zawsze bardzo poczciwy i trochę głupi. Czy ktokolwiek w ogóle mógł się nad nim zastanawiać?

- Janko, ja... ja nie rozumiem - wyjąkała. - Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Czy lubisz mego brata? - zapytała Janka.

- No... naturalnie, lubię go - wyszeptała Ania namyślając się nad tym, czy mówi w tej chwili prawdę, ale przecież trudno powiedzieć, że go nie lubi. Z drugiej strony - stosunek, jaki miała do Billy'ego, kiedy znaleźli się gdzieś razem, trudno było nazwać „lubieniem”. O co właściwie Jance chodziło?

- A czy podobałby ci się jako mąż? - zapytała Janka ze spokojem.

- Jako mąż! - Ania usiadła na łóżku, ażeby łatwiej zatuszować swoją prawdziwą opinię o Billym Andrews. Potem opadła znowu na poduszki, tracąc na chwilę oddech.

- Jako czyj mąż?

- Twój oczywiście - odparła Janka. - Billy pragnie cię poślubić. Zawsze podobałaś mu się ogromnie. Ostatnio ojciec przepisał na jego imię jeden z folwarków, więc nie ma już żadnych przeszkód do zawarcia małżeństwa. Ale wiesz, jaki on jest nieśmiały, więc prosił mnie, abym cię o to w jego imieniu zapytała. Z początku nie chciałam na to przystać, lecz tak mnie długo męczył, że w końcu przyrzekłam mu zapytać cię przy pierwszej sposobności. I cóż ty na to, Aniu?

Czyżby śniła? Nie, to nie była senna mara, bo przecież leżała w swoim łóżku, zdając sobie dokładnie sprawę z tego, co się dokoła niej dzieje. Tuż obok leżała Janka i oświadczała się jej teraz w imieniu swego brata. Ania nie wiedziała zupełnie, czy ma się śmiać, czy płakać, ale przecież nie chciała urazić przyjaciółki.

- Nie... nie zostanę żoną Billy'ego - wyszeptła po chwili - po prostu nigdy mi to na myśl nie przyszło.

- Zupełnie zrozumiałe - odparła Janka. - Brat mój jest taki nieśmiały, że trudno posądzić go o jakiegokolwiek zaloty. Ale przemyśl to sobie, Aniu. Billy jest bardzo poczciwym chłopcem. Nie twierdzą tak dlatego, że jest moim bratem. Sama wiesz dobrze, że jest pracowity i nierozkapryszony. Będzie bardzo dobrym mężem. Znasz przysłowie, że lepszy wróbel w garści niż kanarek na dachu. Billy poczeka nawet na ciebie, aż skończysz uniwersytet, chociaż zasadniczo postanowił się ożenić na wiosnę, bo latem zawsze jest mało czasu. Jestem pewna, że byłabyś z nim szczęśliwa, a i ja bardzo bym się cieszyła mając taką bratową.

- Nigdy nie zostanę żoną Billy'ego - rzekła Ania stanowczo. Odzyskała już utraconą równowagę i gniewały ją teraz bezmyślne słowa Janki. W ogóle to wszystko wydało jej się dziwnie niesmaczne. - Naprawdę, Janko, nie ma sensu o tym myśleć. Powiedz swemu bratu, że nie istnieje on dla mnie jako mężczyzna.

- Byłam pewna, że otrzymam od ciebie taką odpowiedź - rzekła Janka z głębokim westchnieniem, pocieszając się w duszy, że uczyniła wszystko, co było w jej mocy. - Od razu mówiłam Billy'emu, że lepiej cię o to wcale nie pytać, ale on się uparł. Więc odpowiedź twoja nie ulegnie nigdy zmianie, Aniu? Żebyś potem nie żałowała!

Głos Janki był teraz chłodniejszy, bo chociaż zdawała sobie dokładnie sprawę, że Ania nie zgodzi się nigdy zostać żoną Billy'ego, to jednak - mimo koleżeńskiej sympatii - Ania Shirley była dla niej tylko Przygarniętą sierotą. Jakże więc śmiała odtrącić bogatego potomka rodziny Andrewsów? Janka pocieszała się tylko tym, że Ania będzie kiedyś żałować tego postanowienia.

- Mam nadzieję, że Billy nie bardzo się zmartwi moją odmową - odezwała się Ania pojednawczo po chwili.

Janka wykonała taki ruch na poduszce, jakby odrzuciła dumnie w tył głowę.

- O, serca mu na pewno nie złamałaś, bo Billy jest za mądry na to, żeby się miał przejmować takimi błahostkami. Zresztą bardzo polubił Nancy Blewett i matce ona się najbardziej podoba. Wiesz przecież, jaka Nancy jest gospodarna i oszczędna. Mam nadzieję, że Billy, dowiedziawszy się twojej odmowie, zwróci się teraz do Nancy. Aniu, bardzo cię proszę, ni powtarzaj nikomu tej naszej dzisiejszej rozmowy, dobrze?

- Ależ oczywiście że nie - uśmiechnęła się Ania, bo sama wolała nie rozgłaszać tej dziwnej propozycji i tego, że została na chwilę mimowolną rywalką Nancy Blewett.

- A teraz postarajmy się zasnąć - oświadczyła Janka.

Istotnie, Janka po niedługiej chwili usnęła, nie bacząc na to, że swym niemądrym paplaniem wybiła zupełnie ze snu przyjaciółkę. Ania leżała z otwartymi oczami, lecz myśli jej dalekie były od romantyzmu. Dopiero nazajutrz rano przezwyciężyła się do tego stopnia, że na wspomnienie dziwnych nocnych oświadczeń zdobyła się na wesoły uśmiech.

Po odejściu Janki - która zachowała w stosunku do przyjaciółki dziwny chłód, urażona, że ta tak zdecydowanie odmówiła zaszczytu połączenia się z rodziną Andrewsów - Ania zamknęła się w swoim pokoju i wybuchnęła szczerym śmiechem.

- Żeby chociaż mogła komuś o tym opowiedzieć! - wzdychała. - Niestety, nie wolno mi. Nawet Diane nie mogę powiedzieć, bo przyrzekłam Jance dyskrecję, a Diana opowiada o wszystkim Alfredowi. Czyli tej nocy oświadczone mi się po raz pierwszy. Byłam przygotowana, że prędzej czy później musi to nastąpić, ale nie miałam pojęcia, że tego rodzaju sprawy załatwia się przez pośredników. Należałoby patrzeć na to ze śmiesznej strony, a jednak wspomnienie rozmowy z Janką sprawia mi dziwną przykrość.

W głębi duszy doskonale zdawała sobie sprawę, co ją raziło w tych dziwnych oświadczeniach. W swych dziecięcych marzeniach widziała już niejednokrotnie tego wyśnionego, który zwróci się do niej prosząc, by została jego żoną. Ale ów książę z marzeń czynił to w inny, bardziej romantyczny sposób, był przy tym bardzo piękny i wymowny, chociaż ona sama jeszcze nie była zdecydowana, czy odpowie mu cichutkim: „tak”, czy też będzie musiała dać mu odprawę. A gdyby nawet odmówiła - oczywiście, najbardziej delikatnie - on ucałowałby jej dłoń i odszedł zapewniając o niezmienności swego uczucia. W każdym razie nawet w takim wypadku na pewno

pozostaliby nadal serdecznymi przyjaciółmi, a na przyszłość przeżycie to pozostałoby w duszy dziewczyny pięknym, choć owianym mgiełką smutku wspomnieniem z lat młodości.

Tymczasem oświadczyły Billy'ego Andrews były raczej śmieszne i niesmaczne. Wysłał siostrę, by się oświadczyła za niego i oznajmiła, że otrzymał już swoją część majątku, a jeśli Ania nie zechce go, to zwróci się do Nancy Blewett! Oto twój romans, oto ukarana twoja duma, Aniu! Ania mimo woli westchnęła, lecz zaraz po chwili roześmiała się. Jakaś Nielitościwa dłoń zerwała biały kwiatek z ogródka dziewczęcej naiwności. Czy to przykre uczucie pozostanie w sercu aż do chwili, kiedy Ania zacznie patrzeć na życie bardziej bezpośrednio i mniej poetycznie?

## LEPSZY PRZYJACIEL NIŻ KONKURENT

Następny semestr redmondzki minął tak samo szybko jak pierwszy. Nawet zdaniem Izabeli „przeleciał, jak z bicia trzasnął”. Ania pamiętała jednak dokładnie wszystkie zdarzenia tego okresu - współzawodnictwo przy egzaminach, zawieranie nowych znajomości i przyjaźni, udział w rozmaitych towarzystwach, do których należała, nowe cele i nowe zainteresowania. Pracowała pilnie, pragnąc uzyskać stypendium Thorburna. Gdyby jej się to udało, mogłaby na przyszły rok nie korzystać już z pomocy Maryli, co sprawiłoby jej niezwykłą satysfakcję.

Również Gilbert ubiegał się o otrzymanie tego stypendium, znajdował jednak zawsze wolny czas na odwiedziny w pensjonacie przy ulicy Św. Jana. Pomocny był też Ani we wszystkich sprawach na uniwersytecie. Ania uświadamiała sobie, że plotkarze uniwersyteccy od pewnego już czasu kojarzą jej nazwisko z nazwiskiem Gilberta. Niestety, nie mogła temu zaradzić. Przecież trudno było wyzbyć się takiego przyjaciela jak Gilbert! Szczególnie że Gilbert postępował ostatnio rozumnie i oględnie, pomimo że musiał zwalczać liczne współzawodnictwa - niejednen ze studentów redmondzkich chętnie zająłby jego miejsce u boku czerwonołosej koleżanki z oczami jak gwiazdy. W duszy Ani nie było jednak tego pragnienia sukcesów, jakie zazwyczaj cechowało Izabelę, która najlepiej się czuła w otoczeniu licznych i łatwych zdobyczy. Poza nowicjuszami zdarzali się i starsi studenci, a nawet jeden prawie absolwent, którzy chętnie odwiedzali pensjonatowy pokój Ani i prowadzili z nią długie dysputy na wszelkie interesujące ich tematy. Gilbert nie lubił tych swoich rywali, ale mimo wszystko starał się postępować oględnie, aby nie naderwać znowu swych przyjacielskich stosunków z Anią. Postanowił być teraz tylko dawnym towarzyszem szkolnym z Avonlea, bo wiedział, że w tej roli zwycięży każdego romantycznego rywala. Ania przyznawała w duchu, że nie można było znaleźć miłszego towarzysza od Gilberta. Radowała się - tak przynajmniej sama sobie mówiła - że dawny stosunek Gilberta do niej uległ pewnej zmianie, że Gilbert porzucił swoje nonsensowne pragnienia, tylko... w chwilach samotności niejednokrotnie myślała o tym, co było właściwie przyczyną tej zmiany.

Miłą atmosferę pierwszego roku w Redmondzie popsuło jedno niemądre zdarzenie. Oto pewnego razu Karol Sloane, rozsiadłszy się na najulubieńszej poduszce panny Ady, zagadnął Anię, czy zechciałaby mu obiecać, że zostanie w przyszłości jego żoną. Dzięki temu, że wyznanie Karola poprzedziły dziwne oświadczenia Janki Andrews w imieniu jej brata, Ania tę drugą propozycję przyjęła już spokojnie i bez

specjalnego niesmaku. Uważała jednak, że wystąpienie Karola Sloane'a było zupełnie nie na miejscu, bo mimo długich lat znajomości postępowaniem swym nigdy, nawet mimo woli, nie dała mu ani cienia nadziei. Ale czego można było żądać od Sloane'a? Na pewno takie pytanie zadałaby pani Małgorzata, uśmiechając się przy tym ze złośliwą ironią. Najprawdopodobniej Karol był przeświadczony, że Ania powinna go przyjąć z otwartymi ramionami i że propozycją swą wyświadczył jej wielki zaszczyt. Wrodzona natura Sloane'ów wzięła i tym razem górę, bo gdy Ania na propozycję tę odpowiedziała całkiem kategorię odmową, Karol nie postąpił tak szlachetnie, jak to czynili owi konkurenci, wyśnieni w dziewczęcych marzeniach Ani. Rzucił kilka niemiłych słów, na których brzmienie iskierka buntu zatliła się w duszy dziewczyny, chwycił kapelusz i z posiniałą twarzą wybiegł bez pożegnania. Ania rzuciła się na łóżko i z gniewu poczęła płakać. Czymże zasłużyła na takie postępowanie jakiegoś tam Sloane'a? Czy Karol miał prawo uczynić jej taką przykrość? Z dwojga złego, przyjemniej już było być rywalką takiej Nancy Blewett!

- Pragnęłabym nie widzieć więcej tej wstrętnej kreatury - szlochała z twarzą ukrytą w poduszkach.

Niestety, trudno było nie ujrzyć więcej Karola, chociaż on ostentacyjnie unikał wszelkiego zbliżenia. Tylko poduszki panny Ady odpoczęły nieco, bo odtąd Ania spotykała Karola jedynie przypadkowo w wykładowych salach uniwersytetu i bardzo chłodno odpowiadała na jego oficjalny ukłon. Stosunki takie trwały przez całą zimę. W końcu Karol zapłonął żywszym uczuciem do jakiejś młodziutkiej, jasnowłosej studentki, która zapal jego przyjęła z ochotą. Jednocześnie z tym nowym porywem w duszy Jego zrodziło się przebaczenie dla Ani i stał się w stosunku do dawnej przyjaciółki nieco mniej chłodny, jakby chciał jej wynagrodzić to, co - według niego - straciła.

Pewnego dnia Ania wbiegła podniecona do pokoju Priscilli.

- Czytaj! - zawołała podsuwając jej trzymany w rękę list. - Od Stelli! Zamierza w przyszłym roku przyjechać na uniwersytet! Cóż ty na to? Sądzę, że pomysł wspaniały! Abyśmy tylko mogły go urzeczywistnić. Jak ci się zdaje, Prissy?

- Muszę się przedtem dowiedzieć, o co chodzi - odparła Priscilla ze spokojem, odkładając grecką książkę i sięgając po list. Stella Maynard była koleżanką Ani i Priscilli z czasów seminaryjnych, a ostatnio uczyła jednej ze szkół wiejskich.

Pragnę na pewien czas porzucić swoje zajęcie - pisała - i chcę przyszłym roku przyjechać do Redmondu. Ponieważ ukończyłam trzeci kurs seminaryjny, przysługuje

mi prawo wstąpienia od razu na drugi km uniwersytecki. Na teraz mam już dość tego nauczania w zapadłej wiosce. Mogłabym nawet napisać powieść o życiu wiejskiej nauczycielki, powieści tej nie byłoby odrobiny przesady. Zdaniem opinii ogółu, życie nauczycieli wiejskich płynie beztrąsko, a obowiązki ich ograniczają się jedynie do pobierania pensji. W książce mojej zamierzam przedstawić to wszystko prawdziwie. Nie ma tygodnia, w którym nie słyszę, jak łatwa jest moja praca i jak dużo za nią dostaję pieniędzy. „Praca nauczycielki to siedzenie i słuchanie wyuczonej lekcji” - oto słowa, które wciąż do mnie docierają. Z początku usiłowałam protestować przeciw temu, ale fakty wprawdzie są mocne - powiedział ktoś mądry - lecz nie tak mocne jak fałszywe mniemanie”. Więc tylko milczę wymownie i uśmiecham się... W szkole, którą prowadzę, jest dziewięć oddziałów i wszędzie ja sama muszę wykładać. Mój najmłodszy uczeń ma dopiero cztery lata i przysyłają go do szkoły, żeby w domu był spokojny. Najstarszy ma już lat dwadzieścia i uważa, że odrabianie lekcji jest o wiele przyjemniejszym zajęciem niż uprawa roli.

*Powinnaś, Aniu, widzieć te listy, które otrzymuję! Matka Tomka, jednego z uczniów, czyni mi wymówki, że jej syn nie robi żadnych postępów w arytmetyce. Zaledwie umie dodawać, gdy tymczasem Jane i Jackson rozwiązują już zadania na ułamki, a przecież jej syn jest o wiele zdolniejszy od Janka! Ojciec jednej z uczennic zapytuje mnie, dlaczego jego córka pisze nieortograficznie listy. Ciotka Zyzia prosi, abym go przesadziła na inną ławkę, bo jego dotychczasowy sąsiad, mały Brown, uczy go bardzo brzydkich słów.*

*Strona materialna... o tym lepiej nie mówić. Bogowie karzą ludzi w ten sposób, że robią ich nauczycielami wiejskimi!*

*Czuję się jakoś lepiej, gdy się przed Tobą wygadałam. W każdym razie te dwa lata pracy jakoś się przeżyło. Jednakże za wszelką cenę muszę przyjechać do Redmondu.*

*Ułożyłam sobie maleńki plan. Wiesz, jak nie lubię pensjonatów. Przez cztery lata mieszkałam w pensjonacie i mam już dosyć takiego życia. Więcej bym na to nie przystała. Czy nie mogłybyśmy razem z Tobą i z Priscilla wynająć jakiegoś domku w Kingsporcie, żeby mieć własne gospodarstwo? Uważam, że i oszczędność byłaby wielka. Oczywiście, musimy mieć kogoś do prowadzenia gospodarstwa; lecz i o tym już pomyślałam. Mówiłam Ci kiedyś o ciotce Jakubinie, prawda? Jest to najmilsza z ciotek na świecie, chociaż ma takie potworne imię. Ale to nie jej wina. Ojciec jej nazywał się Jakub, a ponieważ zginął jeszcze przed jej urodzeniem, ona otrzymała*

*to imię w spadku. Nazywamy ją wszyscy ciotką Kubcią. Biedaczka została zupełnie sama, bo jedyna jej córka wyszła niedawno za mąż i wyjechała za granicę. Ciotka Kubcia z wielką ochotą zostanie naszą gospodynią, a jestem pewna, że od pierwszego wejrzenia przypadnie Warn do gustu. W takich warunkach żyłoby się o wiele spokojniej i wszystkie trzy mogłybyśmy korzystać ze swobody.*

*Jeżeli więc obydwie z Priscilla przyjmujecie moją propozycję, zajmijcie się zaraz wyszukaniem jakiegoś odpowiedniego mieszkania. Uważam, że lepiej rozejrzeć się teraz, bo jesienią może być wszystko zajęte. Jeśli znajdziecie mieszkanie już umeblowane, tym lepiej, a jeśli nie, to sobie wyszukamy jakieś niepotrzebne meble u naszych znajomych. Prosiłabym Was o szybką decyzję i odpowiedź, chociażby ze względu na ciotkę Jakubińę, żeby wiedziała, jak sobie ułożyć plany na przyszły rok.*

- Doskonały pomysł - zauważyła Priscilla.

- I ja tak myślę - uśmiechnęła się Ania uradowana. - Wprawdzie Pensjonat nasz jest całkiem miły, ale zawsze to nie własny dom. Dobrze by było jeszcze przed egzaminami zająć się poszukiwaniem jakiegoś mieszkania.

- Wątpię jednak, czy to się nam uda. Wszystkie eleganckie domy będą dla nas za drogie. Chyba że wynajmiemy jakiś domek na jednej z dalszych uliczek.

Nie zwlekając dłużej, wybrały się na poszukiwania, lecz rychło doszły do wniosku, że w rzeczywistości jest jeszcze gorzej, niż przypuszczała Priscilla. Wprawdzie wolnych mieszkań umeblowanych i nie umeblowanych było pod dostatkiem, jednak albo były za duże, albo za małe, albo za drogie, albo też położone za daleko od Redmondu. Wreszcie nadszedł czas egzaminów, a potem ostatni tydzień semestru. Jednakże ów „Dom Marzeń”, jak go Ania nazwała, był ciągle jeszcze tylko abstrakcją.

- Trzeba będzie poczekać do jesieni - oznajmiła Priscilla spacerując z Anią po parku podczas kwietniowej słonecznej pogody. - W najgorszym razie zawsze się będzie można zatrzymać w pensjonacie.

- Słońce tak ładnie świeci, że nie chce mi się myśleć o smutnych rzeczach - szepnęła Ania rozglądając się dokoła z zachwytem. Orzeźwiający powietrze przepelnione było zapachem żywicy, w górze rozciągał się czysty lazur nieba, niczym ogromna czara błogosławieństwa. - Wiosna rozbrzmiewa pieśnią, kwieciami, rozsiewa dokoła swą woń. Przed oczyma snują mi się najrozmaitsze wizje i sny, bo wiatr wieje z zachodu. Kocham zachodni wiatr! W melodii jego brzmi nadzieja i radość. Gdy wieje



wschodni wiatr, widzę wtedy smutne krople deszczowe i ponure fale przybrzeżne. Myślę, że jak się zestarzeję, to zawsze, kiedy będzie wiał wschodni wiatr, będę odczuwała reumatyzm.

- Ach, powiedz, jak cudownie jest zrzucić zimowe okrycie i po raz pierwszy wybrać się na taką wycieczkę w wiosennym stroju! - zawołała Priscilla z uśmiechem na twarzy. - Czy nie czujesz się jak nowo narodzona?

- Na wiosnę wszystko rodzi się na nowo - odpowiedzi Ania. - Każda wiosna technie świeżością nowo narodzonej pory i przy tym każda wnosi z sobą coś innego. Popatrz, jaka piękna jest zieleń i trawy dokoła sadzawki! I pąki na wierzbach zaczynają już pękać.

- Dzięki Bogu, że jesteśmy już po egzaminach - wtrąciła Priscilla. - Za tydzień będziemy w domu.

- Ogromnie się cieszę na myśl o tym - szepnęła Ania drżącym głosem. - Chciałabym teraz siedzieć na stopniach naszego ganku i rozkoszować się powiewem wiosennego wietrzyka, płynącym z pól pana Harrisona. Chciałabym pobiec do Lasu Duchów i zbierać fiołki w zapadłej dolince. Pamiętasz nasz wspaniały piknik, Prissy? Jakże przyjemnie w wiosenne wieczory wsłuchiwać się w szum topoli i rechot żab nad stawem. Ale jednocześnie muszę przyznać, że bardzo polubiłam Kingsport i jestem zadowolona, że na jesieni znów tu powrócę. Gdyby nie stypendium, prawdopodobnie nie mogłabym sobie na to pozwolić, bo przecież trudno byłoby korzystać bez końca z dobroci Maryli.

- Żeby tylko znaleźć jakieś mieszkanie! - westchnęła Priscilla - Kingsport jest taki rozległy, a dla nas, biednych studentek, nie ma żadnego kąta.

- Zaczekaj, Prissy. To „lepsze” nastąpi. Kierujmy się zasadą starożytnych Rzymian i jeśli nie znajdziemy odpowiedniego schroniska, to je sobie wybudujemy. W taką piękną pogodę trudno wierzyć w niepowodzenia.

Aż do zachodu słońca chodziły po parku, zachwycając się cudem rozbudzonej przyrody. Oczywiście, jak zwykle, w powrotnej drodze do domu postanowiły pójść Aleją Spofforda, aby spojrzeć raz jeszcze na „Ustronie Patty”.

- Mam przeczucie, że za chwilę stanie się coś miłego - rzekła Ania wchodząc w aleję. - Ogarnia mnie dziwne podniecenie. Prissy, spójrz tam, czy mi się w głowie mąci?

Wzrok Priscilli podążył za spojrzeniem Ani. Przeczucia Ani i tym razem jej nie zawiodły, bo oto na bramie „Ustronia Patty” widniał następujący napis: *Do*

*wynajęcia, z umeblowaniem. Wiadomość na miejscu.*

- Prissy - szepnęła Ania - czy sądzisz, że to by było dla nas możliwe?

- Bardzo wątpię - westchnęła Priscilla. - Jest to nazbyt wspaniałe, aby mogło się urzeczywistnić. W obecnych czasach nie istnieją cuda, o których się czyta w książkach. Wolę nie mieć nadziei, Aniu, bo później rozczarowanie byłoby zbyt bolesne. Na pewno czynsz będzie dla nas za wysoki. Nie zapomnij, że to Aleja Spofforda.

- Ale musimy się dowiedzieć - postanowiła Ania z powagą. - Dzisiaj jest już trochę za późno, więc przyjdziemy jutro. Och, Prissy, żeby to się ziściło! Kiedy pierwszy raz ujrzałam „Ustronie Patty”, od razu nabrałam przekonania, że przyszłość moja wiąże się z tym miejscem.

## „USTRONIE PATTY”

Nazajutrz wieczorem Ania i Priscilla zdecydowanym krokiem weszły do małego ogródka, okalającego upragniony domek. W wysokich sosnach, tuż przy domku, lekki wietrzyk kwietniowy zdawał się wyśpiewywać jaką zawodzącą melodię. Dziewczęta pociągnęły za dzwonek wiszący u drzwi wejściowych i po chwili zetknęły się ze starą, mrukliwą pokojówką. Drzwi naprzeciw prowadziły do obszernej bawialni, gdzie przy wesołym ogniu, płonącym na kominku, siedziały dwie starsze damy o niemiłym wyrazie twarzy. Jedna z nich mogła mieć lat siedemdziesiąt, druga pięćdziesiąt, poza tym nie było między nimi żadnej widocznej różnicy. Obydwie miały na nosie okulary w stalowej oprawie, przez które widać było wyblakłe niebieskie oczy. Na głowach nosiły staroświeckie czepki, a ich chude szyje okalały ciepłe szaliki. Każda z nich zajęta była ręczną robotą, którą wykonywała bez specjalnego pośpiechu, lecz i bez chwili odpoczynku.

Damy, kołysząc się w głębokich fotelach, spojrzały w milczeniu na zalęknione dziewczęta. Tuż poza nimi siedziały dwa duże psy z chińskiej porcelany, z pomalowanymi na zielono uszami i nosami. Psy te z miejsca zainteresowały Anię, bo wyglądały jak dwa bożki sprawujące opiekę nad „Ustroniem Patty”.

Przez kilka chwil panowała martwa cisza. Dziewczęta były tak zmieszane, że nie zdołały wydobyć ani słowa, a porcelanowe psy i obydwie damy były widocznie z natury milczące. Ania rozejrzała się po pokoju, który wydał jej się bardzo miły. Oszklone drzwi w głębi wychodziły na aleję sosen, a tuż obok wielki, staroświecki zegar wybijał uroczyście kwadranse i godziny. Na podłodze leżały okrągłe, plecione maty, takie same, jakie wyrabiała Maryla, ale już bardzo stare. Na gzymsie kominka stały ozdobne figurki i wysokie kilkuramienne świeczniki. Na ścianach wisiała niezliczona ilość obrazów.

Po przeciwległej stronie pokoju wąskie schody prowadziły na górę, gdzie na pierwszym podeście stała mała, wyściełana kanapka. Wszystko wyglądało kubek w kubek tak, jak sobie Ania wyobraziła.

Ponieważ cisza zdawała się nieco przeciągać, Priscilla trąciła Anię wymownie, dając jej tym samym znak, że należałoby wreszcie coś powiedzieć.

- Z ogłoszenia nad bramą dowiedziałyśmy się, że panie pragną wynająć ten dom - odezwała się Ania nieśmiało.

- Owszem - rzekła starsza pani, która z pewnością była panią Patty Spofford. - Właściwie miałyśmy zamiar zdjąć to ogłoszenie.

- Czyli że spóźniłyśmy się - rzekła Ania ze smutkiem w głosie - i dom ten został już wynajęty komuś innemu?

- Nie, ale zmieniłyśmy zamiar i postanowiłyśmy nie wynajmować domu.

- O, jakże mi przykro! - wybuchnęła Ania z żalem. - Szalenie lubię ten zakątek. Tak marzyłam, żeby tu zamieszkać.

Panna Patty zdjęła okulary, przetarła je dużą kraciastą chustką, włożyła znowu i spojrzała uważniej na Anię. Druga dama uczyniła identycznie to samo, tak że na chwilę zdawać się mogło, iż obiema właścicielkami „Ustronia Patty” rządzi jakiś ukryty mechanizm.

- Lubi pani ten zakątek? - odezwała się starsza dama. - Naprawdę go pani lubi? Dzisiejsze dziewczęta są takie ekscentryczne, że właściwie nie bardzo można wierzyć ich słowom. Za moich czasów tak nie bywało.

Ania poczuła nagłą pewność siebie.

- Naprawdę lubię ten domek - rzekła łagodnie. - Polubiłam go od pierwszego wejrzenia. Chciałam na przyszły rok razem z dwiema koleżankami założyć wspólne gospodarstwo i właśnie szukamy odpowiedniego mieszkania. Ucieszyłam się bardzo ujrawszy wczoraj to ogłoszenie.

- Wobec tego chętnie go pani wynajmę - oznajmiła panna Patty - chociaż obydwie z Marią zaniechałyśmy tego zamiaru, bo nie podobali nam się dotychczasowi kandydaci. Zresztą właściwie nie wynajmujemy go z musu, bo i tak mogłybyśmy sobie pozwolić na wyjazd do Europy. Pieniądzy mamy dosyć, a przecież nie mogę pozwolić, żeby ktoś niesympatyczny objął rządy nad moim „Ustroniem”. Panie są zupełnie inne. Jestem pewna, że nie będę miała z wami kłopotu.

- Ale czy żądana zapłata nie będzie dla nas zbyt wysoka? - szepnęła po chwili.

Panna Patty wymieniła jakąś sumę.

Ania spojrzała na przyjaciółkę, lecz Priscilla potrząsnęła przecząco głową.

- To dla nas trochę za drogo - rzekła Ania usiłując ukryć bolesne rozczarowanie. - Jesteśmy tylko biednymi studentkami.

- A ile możecie zapłacić? - spytała panna Patty nie przerywając roboty.

Ania wymieniła możliwą do zapłacenia kwotę.

- Niech będzie i tak - zgodziła się panna Patty. - Powiedziałam już, że nie wynajmujemy tego domu z musu. Bogate nie jesteśmy, ale na wyjazd do Europy nam starczy. Nigdy tam jeszcze nie byłam i nie przypuszczałam, że na starość będę musiała udać się w taką daleką podróż. Ale moja bratanica uparła się, żeby tam pojechać, a

przecież takiej młodej osoby jak Maria nie mogę puścić w świat samopas.

- Zupełnie słusznie - przytaknęła Ania dostrzegając, że panna Patty traktuje tę rzecz poważnie.

- Zrozumiałe, prawda? Otóż muszę, rada nierada, z nią jechać. Zresztą taka podróż i mnie rozerwie, bo mimo siedemdziesiątki jestem jeszcze bardzo żwawa i posiadam wielki temperament. Żałuję tylko, że na tę myśl nie wpadłam wcześniej, bo na pewno od dawna byłabym w Europie. Zamierzamy z bratanicą wyjechać na dwa, trzy lata. Wybieramy się czerwcu, przed wyjazdem przyślemy wam klucze, abyście mogły na jesieni się tu sprowadzić. Niektóre pamiątki zabieramy za sobą, resztę zostawiamy w mieszkaniu.

- A porcelanowe psy? - zagadnęła Ania nieśmiało.

- Chciałyby panie, aby je zostawić?

- Szalenie mi się podobają!

Na pomarszczonej twarzy panny Patty ukazało się coś w rodzaju sympatycznego uśmiechu.

- Ja także jestem do nich bardzo przywiązana - odparła z dumą. - Są to zabytki dawnej przeszłości, bo jeszcze brat mój przywiózł je z Londynu przed pięćdziesięciu laty. Właśnie od nazwiska brata pochodzi nazwa Alei Spofforda.

- Ach, jakież to był człowiek! - odezwała się po raz pierwszy panna Maria. - Dzisiaj takich już nie ma.

- I stryjem był wyjątkowym, moja Mario - rzekła panna Patty macierzyńskim tonem. - Powinnaś zawsze o tym pamiętać.

- Toteż pamiętam - szepnęła panna Maria lękliwie.

Obydwie jednocześnie otarły łzy kraciastymi chustkami, lecz panna Patty szybko odzyskała równowagę i zaczęła znowu mówić z powagą:

- Więc psy mogą zostać, ale tylko pod warunkiem, że im się nic złego nie stanie. Nazywają się Gog i Magog. Gog patrzy na prawo, a Magog na lewo. Jeszcze jedno chciałam zaznaczyć. Przypuszczam, że paniom to nie przeszkadza, iż domek ten nosi nazwę „Ustronie Patty”?

- Ależ skądże! Ta nazwa nam się bardzo podoba.

- Od razu wiedziałam, że macie dużo zdrowego rozsądku - rzekła panna Patty tonem pochwały. - Wyobraźcie sobie, że wszyscy dotychczasowi kandydaci pytali, czy na czas naszej nieobecności będą mogli zmienić napis nad bramą. Ja oczywiście wynajmuję dom tylko pod tym warunkiem, że nie zajdą tu żadne zmiany. „Ustronie

Patty”, które otrzymałam w spadku po bracie, powinno zostać „Ustroniem Patty” aż do mojej i Marii śmierci. Późniejsi właściciele mogą nadać mu nazwę, jaka im się będzie podobała - dodała panna Patty, jakby pragnęła podkreślić: „Po mojej śmierci może być potop”. - Może byście panie chciały obejrzeć dom?

Z dalszych oględzin dziewczęta wyniosły jeszcze lepsze wrażenie. Na parterze oprócz bawialni znajdowała się kuchnia i dwa małe pokoje sypialne. Na piętrze były trzy pokoje, dwa małe i jeden duży. Ani specjalnie przypadł do serca najmniejszy pokój, z którego roztaczał się widok na wielką kępę sosen. Postanowiła urządzić sobie w tym pokoju sypialnię. Pokój miał ściany niebieskie, małą staroświecką toaletkę i wygodny fotel, jakby umyślnie ustawiony tak, aby spędzać w nim dług godziny nauki i marzeń.

- Wydaje mi się to wszystko snem i lękam się przykrego przebudzenia - rzekła Priscilla, gdy znalazły się na ulicy.

- Chociaż panna Patty i panna Maria nie są odpowiednimi kandydatkami na bohaterki pięknych, tęczyowych baśni - odparła Ania ze śmiechem. - Wyobrażam je sobie w podróży w czepkach i w szalach okręconych dookoła szyi.

- Może wówczas rozstaną się z szalami - zauważyła Priscilla - ale robótki na pewno z sobą zabiorą. Już je widzę spacerujące po Londynie i w przerwach zajęte swymi robótkami. Ale, Aniu, czy możesz w to uwierzyć, że my, dwie biedaczki, będziemy mieszkały w Alei Spofforda? Od dzisiaj powinnyśmy się czuć milionerkami!

Tego samego wieczoru na ulicę Św. Jana zawitała Iza Gordon i zaraz po przywitaniu ulokowała się na łóżku Ani.

- Jestem szalenie zmęczona. Przez cały dzień się pakowałam.

- Ej, czy aby nie jesteś zmęczona dlatego, że nie mogłaś się zdecydować, co masz naprzód zapakować? - śmiała się Priscilla.

- Słusznie, bo jak już wszystko było zapakowane i moja gospodyni i jej służąca usiadły na kufrze, żeby mi pomóc zamknąć, dostrzegłam, że na samo dno kufra włożyłam te rzeczy, które mi będą jeszcze potrzebne Oczywiście, musiałam na nowo otwierać kufer i przerzucać wszystko, zanim wreszcie tamto znalazłam. Ale wyobraź sobie, Aniu, że ani razu nie zakląłam.

- Czy ja ci robiłam na ten temat jakieś wymówki?

- Miałam wrażenie, żeś mnie o to w myśli posądzała. Przepraszam cię bardzo! Mam szalony katar! Królowo Aniu, może mi powiesz wesołego?

- Powiem ci, że na przyszły tydzień będziesz już razem z Alkiem i Alonzem -

uśmiechnęła się Ania.

Iza z niechęcią potrząsnęła głową.

- Nie, nie chcę o nich myśleć, kiedy mam katar. Ale co się z wami dzieje? Jesteście jakieś takie uradowane, rozpromienione. Czy zaszło coś nowego?

- W przyszłym roku będziemy mieszkać w „Ustroniu Patty”! - zawołała Ania z triumfem. - Mamy już dosyć tego pensjonatu. Stella Maynard przyjeżdża i będzie mieszkała razem z nami. Ciotka Stelli ma zostać naszą gospodynią.

Iza zerwała się z łóżka, wytarła zamasyżycie nos i nagle padła przed Anią na kolana.

- Moje złote, przyjmijcie i mnie także! Będę taka spokojna. Zgodzę się mieszkać nawet w psiej budzie, byle z wami.

- Wstań, głuptasie.

- Nie wstanę, dopóki mi nie obiecacie, że weźmiecie mnie do siebie. Ania i Priscilla zamieniły ze sobą spojrzenia, po czym Ania odezwała się z powagą:

- Widzisz, Izo, bardzo chętnie byśmy to uczyniły, ale zrozum, że wszystkie trzy jesteśmy biedne i gospodarstwo nasze musi być bardzo skromnie prowadzone. Wątpię, czy ty potrafiłabyś się tym zadowolić. Przecież teraz mieszkasz w eleganckim pensjonacie i na niczym ci nie zbywa.

- Och, mniejsza o to! - zawołała Iza z rozpaczą. - Wolę zjeść z wami talerz zupy niż w pensjonacie pieczone kurczęta. Dobre potrawy nie dają ludziom szczęścia. Potrafię przeżyć całą zimę o wodzie i chlebie... z odrobiną dżemu. Tylko mnie do siebie weźcie.

- Poza tym - ciągnęła Ania dalej - będziemy musiały pomagać naszej gospodyni, bo ona przecież sama nie da sobie rady. Wszak ty...

- ...uważasz, że nie nadaję się do tej pracy - podchwyciła Izabela. - Będę robić to, co mi każecie. Umiem nawet bardzo przyzwoicie słać łóżko. Pod względem jedzenia także nie jestem wybredna, a to jest bardzo ważne. Pragnę tylko mieszkać razem z wami. A zważcie, że to jest moje pierwsze stanowcze pragnienie.

- Jeszcze jedno trzeba wziąć pod uwagę - odezwała się Priscilla. - Wiadomo przecież w całym Redmondzie, że u ciebie co wieczór roi się od gości. Tam trudno ci będzie przyjmować wizyty, bo myśmy postanowiły urządzać przyjęcia tylko w piątki. Czy i pod tym względem będziesz się mogła do nas przystosować?

- Ależ na wszystko chętnie się zgadzam. Już nawet myślałam, żeby to Oprowadzić i u siebie, ale nie mogłam się zdecydować. Zresztą będąc przy was, na

pewno wyrobię w sobie siłę woli. Jeżeli się nie zgodzicie na zamieszkanie ze mną, gotowam umrzeć ze zmartwienia, a potem duch mój będzie was straszyć po nocy. Połóż się na progu „Ustronia Patty” i nie będziecie mogły ani wyjść, ani wejść bez potknięcia się o niego.

Ania i Priscilla znowu spojrzały na siebie z uśmiechem.

- Właściwie obietnica nasza na nic się nie zda - rzekła Ania - dopóki nie pomówimy o tym ze Stellą. Jestem jednak pewna, że ona chętnie na to przystanie, a wówczas nie widzę już żadnych przeszkód.

- Uprzedzam cię jednak, Izo - dorzuciła Priscilla - że zawsze będziesz się mogła od nas wyprowadzić, gdy tylko zechcesz.

Iza zerwała się z podłogi, ucałowała serdecznie przyjaciółki i pożegnała się z nimi, aby wrócić do dalszego pakowania swych rzeczy.

- Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży - zauważyła Priscilla.

- Musi się ułożyć - odparła Ania z uśmiechem. - Zresztą Iza na pewno przystosuje się do naszego życia w „Ustroniu Patty”.

- Miła z niej dziewczyna i bardzo dobra. Przy tym wspólnymi siłami łatwiej jakoś wybrniemy z kłopotów finansowych. Ale czy się z sobą pogodzimy? Bo przecież poznaje się człowieka dopiero wtedy, gdy się z nim mieszka razem pod jednym dachem.

- Wszystkie będziemy wystawione na próbę. Przypuszczam, że się pogodzimy, bo jednak każda z nas ma odrobinę rozumu. Iza nie jest samolubna, jest tylko trochę roztrzepana. Jestem pewna, że dobrze na będzie razem w naszym „Ustroniu Patty”.



## ŚCIEŻKA ŻYCIA

Ania powróciła do Avonlea w doskonałym humorze po otrzymaniu upragnionego stypendium. Obywatele avonlejscy zdawali się być rozczarowani tym, że wychowanka Maryli, mimo całej zimy spędzonej w mieście, wcale się nie zmieniła. Zdaniem Ani, Avonlea również nie uległo żadnej zmianie, ale było to wrażenie raczej powierzchowne, bo gdy pierwszej niedzieli znalazła się w kościele, dostrzegła liczne zmiany i teraz dopiero uświadomiła sobie, że czas się nie zatrzymuje, nawet w Avonlea. Przede wszystkim na ambonę wszedł nowy kaznodzieja, a w ławkach brakowało kilku znajomych, którzy ostatniej zimy przenieśli się do wieczności. Nie było już w kościele starego wuja Andrews, sławnego ze swych przepowiedni, nie było pani Piotrowej Sloane, zabrakło Tymoteusza Cottona, który zdaniem pani Linde „umarł wreszcie po dwudziestoletnich przygotowaniach”, i nie było sympatycznego Józefa Sloane’a, którego nikt nie poznał w trumnie, bo po śmierci ogolono mu bokobrody. Wszyscy oni teraz znajdowali się na małym wiejskim cmentarzyku. Billy Andrews istotnie ożenił się z Nancy Blewett i właśnie tej niedzieli przyszli obydwój do kościoła, odświętnie ubrani. Ania mimo woli odwróciła głowę, aby Billy nie zauważył jej drwiącego uśmiechu. Pamiętała jeszcze owe dziwne oświadczenia Janki wśród nocy i zastanawiała się nad tym, czy i o rękę Nancy także Janka prosiła w imieniu brata. A może w tym wypadku sam się zdobył na odwagę i osobiście zadał to doniosłe pytanie swej wybrance? Janka zrezygnowała ze szkoły w Avonlea i jesienią zamierzała wyjechać na Zachód.

- Wyjeżdża, bo nie może tu znaleźć męża - mówiła pogardliwie pani Linde. - Wymyśliła świetny pretekst twierdząc, że tutejszy klimat jej nie służy.

- Przecież ładna z niej dziewczyna - próbowała Ania tłumaczyć swą Przyjaciółkę. - Nigdy specjalnie nie ubiegała się o względy chłopców.

- To prawda - przyznała pani Małgorzata - ale na pewno, jak wszystkie dziewczęta, chciałyby wyjść za mąż. Czemuż by miała wyjeżdżać na Zachód do zapadłej dziury? Na pewno jej ktoś powiedział, że jest tam dużo mężczyzn i niejeden z nich chętnie się z nią ożeni.

Tej niedzieli Ania nie zwracała zbytniej uwagi na Jankę, bo wszystkie jej j myśli zwrócone były w stronę Ruby Gillis, siedzącej pod chórem. Co się z j tą dziewczyną stało? Była co prawda piękniejsza jeszcze niż zwykle, lecz oczy miała błyszczące i na twarzy jej kraśniały jakieś niezdrowe rumieńce. Jednocześnie Ania zauważyła, że Ruby zeszcupiała ogromnie, a smukłe j jej ręce, w których trzymała mszalik, były

teraz prawie przezroczyste.

- Czy Ruby jest chora? - zwróciła się Ania do pani Linde, z którą wracała z kościoła.

- Ruby umiera na galopujące suchoty - odparła pani Małgorzata głucho. - Całe Avonlea o tym mówi, tylko ona i jej rodzina chcą wszystkich przekonać, że tak nie jest. Gdybyś ją o to zapytała, z pewnością powiedziała ci, że doskonale się czuje. Nawet pracować nie może od ostatniego krwotoku, chociaż codziennie rozgłasza, że na jesieni znów powróci do szkoły, i stara się nawet o posadę w Białych Piaskach. Jestem pewna, że do jesieni już nie pociągnie...

Ania nie wierzyła własnym uszom. Więc Ruby Gillis była aż tak ciężko chora? Czyż to możliwe? Aczkolwiek podczas ostatnich kilku lat ich zażyłe stosunki rozluźniły się nieco, to jednak dawne wspomnienia przyjaźni łączyły Anię z Ruby bardzo mocno. Ruby Gillis od dzieciństwa uważana była za jedną z najładniejszych dziewcząt w Avonlea i powodzenie miała istotnie ogromne. Trudno było tę żywą, pełną temperamentu istotę nawet w wyobraźni ujrzyć na łożu śmierci.

Przed kościołem Ruby podeszła do Ani i poczęła ją serdecznie do siebie zapraszać.

- We wtorek i w środę jestem zajęta - mówiła wesoło. - We wtorek ma się odbyć koncert w Carmody, a w środę zabawa taneczna w Białych Piaskach. Wybieram się tu i tam z młodym Spencerem, on właśnie jest moją ostatnią ofiarą. Może byś jutro przyszła, Aniu? Chciałabym z tobą trochę pogadać i dowiedzieć się coś niecoś o waszym życiu uniwersyteckim.

Ania domyślała się, że główną przyczyną zaproszenia było to, że Ruby pragnęła nade wszystko opowiedzieć jej o swych ostatnich sukcesach. Przyrzekła jej jednak swe odwiedziny i postanowiła pójść tam w towarzystwie Diany.

- Właściwie już dawno powinnam była odwiedzić Ruby - mówiła Diana nazajutrz wieczorem, gdy obydwie z Anią schodziły wąską ścieżką z Zielonego Wzgórza. - Ale wierz mi, że sama nie miałam odwagi. Przykro mi się robi, jak Ruby zaczyna dowodzić, że doskonale się czuje, a po chwili dostaje ataku kaszlu. Biedaczka tak by chciała żyć i może istotnie nie zdaje sobie sprawy, że jest nieuleczalnie chora.

Dziewczęta szły dłuższą chwilę w milczeniu.

W górze wśród wierzchołków drzew rozbrzmiewał śpiew raszek, z bagien i sadzawek dobiegał rechot żab unosząc się nad polami, na których zboża zaczynały kielkować, uśmiechając się radośnie do ciepłych promieni słonecznych i wiosennego

deszczu. Powietrze było przesycone słodkim zapachem świeżych malin. Białe opary mgły unosiły się nad cichymi dolinkami i coraz więcej niebieskich gwiazd świeciło nad potokiem.

- Jakiż piękny zachód słońca! - zawołała nagle Diana. - Spójrz, Aniu, tak wygląda, jakby na niebie było odbicie ziemi. Ta podłużna, purpurowa chmura - to wybrzeże, a jaśniejsze niebo poza nią - to złote morze.

- Jakżeby to było wspaniałe, gdybyśmy mogły tam popłynąć na łodzi zbudowanej z blasku księżycowego, jak ją sobie wyobrażał Jaś Irving - odezwała się Ania budząc się z marzeń. - Jak sądzisz, Diano, czy odnalazłybyśmy tam wszystkie nasze dawne dni? I wszystkie wiosny, i kwiaty, które kiedyś dla nas kwitły?

- Och, Aniu - rzekła Diana. - Mówisz tak, jakbyśmy były już staruszkami i miały poza sobą całe życie.

- Prawie tak się czuję, odkąd dowiedziałam się o biednej Ruby - szepnęła Ania w zamyśleniu. - Jeśli naprawdę Ruby jest umierająca, to wszystko, co smutne, może okazać się prawdziwe.

- Pozwolisz, że wpadnę na minutkę do państwa Wright? - zagadnęła Diana. - Matka prosiła, żebym zostawiła ciotce Atossie słoiczek powidel.

- Któż to jest ciotka Atossa?

- Nic o niej nie wiesz? Jest ona żoną Szymona Coatesa ze Spencervale. To krewna mego ojca. Po śmierci męża bardzo zbiedniała, więc państwo Wright wzięli ją do siebie. Nawet moja matka pragnęła, aby zamieszkała u nas, ale ojciec stanowczo nie chciał się na to zgodzić. Powiada, że wolałby raczej umrzeć niż mieszkać z ciotką Atosą.

- Czy to taka straszna kobieta?

- Zaraz się sama przekonasz - uśmiechnęła się Diana. - Ojciec mówi, że twarz jej przypomina mu topór - zdaje się przecinać nawet powietrze. A język ma jeszcze bardziej ostry.

Gdy weszły do kuchni Wrightów, zastały ciotkę Atosę zajęłą skrobaniem kartofli. Patrząc na jej siwe włosy w nieładzie i na ponurą twarz doszły do wniosku, że ciotka Atossa jest nie w humorze.

- Więc to ty jesteś tą Anią Shirley?! - zawołała, gdy Diana przedstawiła jej swą przyjaciółkę. - Słyszałam już o tobie niejedno - dodała chcąc zaakcentować, że to wszystko, co słyszała, nie było specjalnie dobre. - Pani Andrews mówiła mi, że wróciłaś na Zielone Wzgórze i że szalenie zmądrzałaś.

Ciotka Atossa mówiąc to nie przestawała skrobać kartofli.

- Wolę was nie prosić, żebyście usiadły - rzekła po chwili ze złośliwym uśmiechem - bo przecież właściwie ja nie jestem dla was odpowiednim towarzystwem, a oprócz mnie nikogo nie ma w domu.

- Mama przysłała cioci słoik powideł, które sama dzisiaj usmażyła - odezwała się Diana nieśmiało.

- O, uprzejmie dziękuję! - rzekła ciotka Atossa z przekąsem. - Nie zachwycom się powidłami twojej matki, bo przeważnie są bardzo słodkie. Ale jeszcze tym razem spróbuję. W ogóle ostatnio nie mam jakoś apetytu. Źle się czuję. Cóż robić, pracować trzeba. Chorych nikt by tutaj nie trzymał. Moja droga, postaw te powidła na półce. Ja nie mam czasu, bo muszę zaraz wstawić kartofle. Wy na pewno takich rzeczy nie robicie, bo co by się stało z waszymi białymi rączkami?!

- Przed wyjazdem bardzo często obierałam kartofle - wtrąciła Ania.

- A ja i teraz często to robię - dorzuciła Diana. - W zeszłym tygodniu trzy razy obierałam. Oczywiście, potem wyszorowałam porządnie ręce i natarłam je cytryną.

Ciotka Atossa parsknęła śmiechem.

- Radę tę zaczerpnęłaś na pewno z jakiegoś głupiego pisma, bo przecież całymi dniami czytasz te brednie. Bardzo się dziwię, że matka tak pobłażliwie na to patrzy. Ale trudno, ona zawsze była taka. Jak Jerzy miał się z nią żenić, cała rodzina orzekła, że twoja matka nie jest dla ni odpowiednią żoną.

Ciotka Atossa westchnęła, jakby pragnąc zadokumentować, że wszystkie dawne jej przepowiednie spełniają się powoli.

- Już idziecie? - zapytała, gdy dziewczęta podniosły się z krzeseł. - Pewno, nie macie ze mną o czym mówić. Szkoda, że młodzi wyszli.

- Chcemy jeszcze odwiedzić Ruby Gillis - tłumaczyła Diana.

- No, dajmy na to! - zawołała ciotka Atossa z udaną dobrotliwością. - Radzę ci się nie zbliżać zbyt do Ruby Gillis. Podobno lekarze mówią, że ma suchoty. Przewidywałam to jeszcze na jesieni, jak wróciła z Bostonu. Ci, którzy nie mogą usiedzieć w domu, zawsze muszą złapać jakąś chorobę.

- A czy tacy, co siedzą w domu, nigdy nie chorują i nie umierają? - zapytała Diana przekornie.

- Ale chociaż wtedy nie czynią sobie żadnych wyrzutów - odparła ciotka Atossa z triumfem. - Co to, Diano, podobno w czerwcu wychodzisz za mąż?

- Te wszystkie pogłoski są nieprawdziwe - rzekła Diana.

- Lepiej, żebyś tego nie odkładała - radziła ciotka Atossa z przekąsem. - Zestarzejesz się i co wtedy będzie? Wrightowie są zmienni. Aniu Shirley, czemu nie nosisz kapelusza, masz straszne piegi na nosie. Nie miałam pojęcia, że jesteś ruda! Ale cóż robić! Jesteśmy wszyscy tacy, jakimi nas Pan Bóg stworzył. Pokłoń się Maryli Cuthbert. Mieszkam już tak dawno w Avonlea, a ona jeszcze nie zdążyła mnie odwiedzić. Trudno, trzeba się pogodzić z losem. Cuthbertowie zawsze zadzierali nosa.

- No, czyż ona nie jest straszna? - zapytała Diana znalazłszy się z przyjaciółką na ulicy.

- Z dwojga złego wolę już pannę Elizę Andrews - odparła Ania. - Inna sprawa, że nie należy jej się dziwić, bo wyobraź sobie, jak to przyjemnie mieć na imię Atossa! Z takim imieniem można naprawdę zgorzknąć. Ja na jej miejscu usiłowałabym sobie wmówić, że mi na przykład na imię Kordelia. Jestem pewna, że zaraz czułaby się lepiej. Mówię z doświadczenia, bo czyniłam to niegdyś, gdy mi się moje imię nie podobało.

- Ręczę ci, że Józia Pye na starość będzie taka sama - zauważyła Diana po chwili. - Matka Józi jest kuzynką ciotki Atossy. Dzięki Bogu, że odbyłam już tę nieprzyjemną wizytę. Ta jej złośliwość działa mi na nerwy. Komiczną historię o ciotce Atossie opowiadał kiedyś mój ojciec. Otóż w Spencervale był pastor, człowiek bardzo dobry i rozumny, tylko trochę głuchy. Nigdy nie słyszał, co do niego mówiono. Zazwyczaj w niedzielę Urządzał zebrania, podczas których każdy z parafian wygłaszał kolejno Modlitwę lub mówił kilka słów mających jakiś związek z przypowieściami biblijnymi. W jedną z takich niedziel ciotka Atossa nagle zerwała się ze Swego miejsca i oczywiście swoim zwyczajem poczęła oczerniać sąsiadów, wymieniając nawet ich nazwiska. Na zakończenie zaznaczyła, że ogromnie nie lubi miejscowego kościoła i że postanowiła nigdy już nie przestąpić jego progu. Twierdziła przy tym z przekonaniem, że wkrótce spadnie na kościół w Spencervale jakieś okropne przekleństwo. Po wygłoszeniu tej swojej tyrady usiadła na powrót, zadowolona z tego, co uczyniła. Oczywiście pastor nie dosłyszał jej przemówienia i, jak to było jego zwyczajem, odpowiedział uroczystym głosem: „Amen! Wszechmocny wysłucha modlitwy naszej siostry!” Ojciec mój świetnie opowiada tę historię!

- Diano, przypomniałaś mi coś swoim opowiadaniem - odezwała się Ania cichym, poufnym szeptem. - Zastanawiałam się ostatnio nad tym, czy potrafiłabym napisać jakąś krótką opowiadanie i czy taka opowiadanie nadawałaby się do druku.

- Jestem pewna, że potrafiłabyś - odparła Diana. - Przecież jeszcze przed laty

pisywałaś bardzo ładne rzeczy w naszym Klubie Powieście wym.

- Ale mam na myśli coś zupełnie innego - szepnęła Ania z uśmiechem. - Długo nad tym myślałam, lecz nie mam jakoś odwagi spróbować;; bo gdyby się nie udało, byłabym zdruzgotana.

- Priscilla mówiła mi kiedyś, że pierwsze prace pani Morgan spotkał się także z ostrą krytyką. Ja osobiście jestem pewna, że twoje opowiadania miałyby ogromne powodzenie, a dzisiejsi wydawcy posiadają na pewno więcej rozsądku.

- Pewna studentka z Redmondu, niejaka Małgorzata Burton, napisała zeszłej zimy nowelę, którą wydrukowano w „Kobiecie Kanadyjskiej”. Sądzę, że i ja mogłabym się na coś podobnego zdobyć.

- I chciałabyś swoje prace także drukować w „Kobiecie Kanadyjskiej”?

- Co prawda wolałabym w jakimś większym piśmie. Zresztą zależy to od noweli, którą napiszę.

- A jaki byłby temat tej noweli?

- Jeszcze nie wiem. Musiałabym dopiero o tym pomyśleć. Dla wydawcy treść jest bardzo ważną rzeczą. Obmyśliłam tylko nazwisko bohaterki. Pragnęłabym ją nazwać Awerylą Lester. Jak ci się podoba? Ale, proszę cię, niech to zostanie między nami. Zwierzyłam się z tym tylko tobie i panu Harrisonowi. Przyznam, że pan Harrison nie bardzo mnie do tego zachęcał. Twierdzi, że dzisiaj zbyt wiele ludzi usiłuje pisać i że po całym roku studiów powinnam być nieco mądrzejsza.

- A czy on się na tym zna? - zapytała Diana.

Zbliżywszy się do domu Gillisów, ujrzały wszystkie okna oświetlone, widocznie było dużo gości. W jednym kącie dużego salonu siedział Leonard Kimball ze Spencervale, a w drugim Morgan Bell z Carmody i obydwaj spoglądali na siebie niezbyt przyjaźnie. Poza tym po salonie kręciło się kilka rozbawionych młodych dziewcząt. Ruby, w białej sukni, z zarumienioną twarzą, śmiała się i mówiła głośno, a gdy nareszcie część gości już wyszła, Ruby zaciągnęła Anię do swego pokoju, pragnąc jej pokazać świeżo sprawione suknie.

- Mam nową niebieską jedwabną, ale uważam, że na lato jest trochę za ciężka. Niech sobie wisi do jesieni. Słyszałaś już na pewno, że na jesieni obejmę szkołę w Białych Piaskach. Czy ci się podoba ten kapelusz? Twój wczorajszy był naprawdę bardzo ładny, tylko że ja wolę nieco jaśniejsze. Widziałaś tych moich dwóch konkurentów na dole? Obydwaj są ogromnie uparci i każdy z nich ubiega się o zwycięstwo. Mnie osobiście ani jeden, ani drugi nic nie obchodzi. Ostatnio podoba mi

się tylko Herbert Spencer, nawet chwilami zastanawiam się nad tym, czy nie - jestem w nim zakochana. Chociaż jeszcze w zimie miałam wrażenie, że Kocham się w nauczycielu ze Spencervale, ale szybko mi się znudził. Chciał sobie życie odebrać, jak z nim zerwałam. Żeby już tamci dwaj poszli nareszcie do domu, bo pragnę z tobą pogadać, mam ci moc do opowiedzenia. Przecież zawsze byliśmy przyjaciółkami, prawda?

Ruby objęła Anię za szyję i roześmiała się głośno. W tej chwili oczy ich się spotkały i nagle poza blaskami źrenic Ania ujrzała coś, od czego serce jej ścisnęło się boleśnie.

- Aniu, przychodź do mnie częściej - wyszeptała Ruby. - Pragnę być z tobą sama. Muszę się wygadać.

- Czujesz się dobrze, Ruby?

- Doskonale! Jeszcze nigdy się tak nie czułam. Wyczerpał mnie tylko trochę ten ostatni krwotok. Ale widzisz, jaką mam cerę i kolory. Jestem pewna, że nie wyglądam na chorą.

Ruby mówiła to prawie szorstko. Wypuściła Anię z objęć i po chwili, znalazłszy się znów na dole, była jeszcze bardziej rozbawiona i tak zajęta swymi dwoma konkurentami, że Ania i Diana, urażone nieco, szybko się pożegnały i wyszły.

## „POKUTA AWERYLI”

- O czym tak dumasz, Aniu?

Obydwie przyjaciółki spacerowały pewnego wieczoru nad brzegiem strumyka, nad którym wśród soczystej zieleni trawy falowały paprocie i unosiła się woń dzikich gruszek, spowitych już wieczorną białą mgłą.

Ania zbudziła się z zadumy z westchnieniem pełnym radości.

- Diano, mam już temat do mojej noweli!

- Czy ją już rozpoczęłaś? - zawołała Diana z wzrastającą ciekawością.

- Tak, mam wprawdzie dopiero kilka stron, ale już obmyśliłam całą treść. Straciłam na to dość dużo czasu, bo wszystkie tematy, które mi przychodziły na myśl, nie pasowały jakoś do mojej bohaterki, której dałam imię Aweryla.

- A imienia nie mogłaś zmienić?

- Skądże? To tak samo, jakbym miała zmienić twoje imię. Aweryla stała się dla mnie istotą żyjącą i chociaż usiłowałam jej nadać inne imię, to jednak ciągle szumiało mi w głowie, że przecież nazywa się Aweryla. Po długich rozmyślaniach znalazłam wreszcie treść, która zresztą bardzo do mnie pasuje. Później musiałam wymyślać imiona dla innych bohaterów. Nie masz pojęcia, jaką mi to sprawiało przyjemność. Nawet wśród nocy leżałam z otwartymi oczami i myślałam o tym. Otóż główny bohater nazywa się Perceval Dalrymple.

- Czy wszyscy już mają swoje imiona? - zapytała Diana z zaciekawieniem. - Może i mnie pozwoliłabyś nazwać któregoś z nich? Niechaj to będzie nawet nic nie znacząca osoba. Chciałabym mieć wrażenie, że i ja chociaż w części przyczyniłam się do napisania tej noweli.

- To może znajdziesz imię dla małego chłopca, pastuszka Lesterów - uśmiechnęła się Ania. - Nie odgrywa on wielkiej roli, ale przecież musi się jakoś nazywać.

- Niech się nazywa Raymond Fitzosborne - podchwyciła Diana, która pamiętała jeszcze z dawnych lat rozmaite imiona i nazwiska, wymyślane niegdyś wspólnie z Anią, Janką Andrews i Ruby Gillis.

Ale Ania potrząsnęła przecząco głową.

- Dla pastuszka byłoby to zbyt arystokratyczne nazwisko, bo przecież trudno sobie wyobrazić, że jakiś Fitzosborne pasie świnię i zbiera gałązki na opał.

Diana nie bardzo rozumiała, dlaczego to nazwisko wydawało się Ani nieodpowiednie, lecz po chwili doszła do wniosku, że przyjaciółka prawdopodobnie



zna się na tym lepiej, i koniec końcem mały pastuszek został nazwany Robertem Ray, a zdrobniale Bobbym.

- Jak myślisz, ile za to dostaniesz? - zapytała Diana po chwili.

Anię jednak w tym momencie zupełnie to nie obchodziło. Marzyła tylko o sławie, z którą pieniądze, według niej, nie miały nic wspólnego.

- Pokażesz mi tę nowelę, prawda? - szepnęła błagalnie Diana.

- Przeczytam ją tylko tobie i panu Harrisonowi, ale musisz powiedzieć szczerze, co o niej myślisz. Wszyscy inni zobaczą ją dopiero po wydrukowaniu.

- A jaki będzie koniec, wesoły czy smutny?

- Tymczasem sama jeszcze nie wiem. Uważam, że lepszy byłby smutny koniec, bo jednocześnie zawierałby więcej romantyzmu, lecz wydawcy wolą na ogół wesołe zakończenie. Podobno profesor Hamilton utrzymuje, że tylko geniusze mogą sobie pozwolić na smutne zakończenie swych dzieł. A ja przecież - dodała Ania skromnie - kimkolwiek bym była, to w każdym razie nie jestem geniuszem.

- Ja osobiście także wolę wesołe zakończenie - rzekła Diana. - Najprzyjemniej jest, jak książka kończy się ślubem. - Diana od chwili swych zaręczyn z Alfredem uważała, że ślub przynosi ludziom najwyższe szczęście na ziemi.

- Ale czasami lubisz wypłakać się nad książką?

- Tak, lecz tylko w samym środku akcji. Za to koniec powinien być zawsze wesoły.

- W mojej noweli musi być choć jedna scena tragiczna - szepnęła Ania w zamyśleniu. - Może poprowadzę akcję w ten sposób, że Robert Ray zostanie ranny w jakimś wypadku i umrze.

- Nie, na to nie pozwolę! - zawołała Diana ze śmiechem. - Bobby należy do mnie i musi żyć, aby stać się dzielnym człowiekiem. Możesz przecież uśmiercić kogoś innego.

Podczas następnych dwóch tygodni Ania co dnia wpadała w inny nastrój, widocznie uzależniony od tego, jaki obrót przybierała akcja jej noweli. Chwilami była szalenie rozbawiona, chwilami znów pogrążała się w beznadziejnej rozpacz. Diana nic z tego nie rozumiała.

- Przecież postępowanie twych bohaterów zależy od ciebie - usiłowała przekonać przyjaciółkę.

- Co też ty mówisz! - oburzyła się Ania. - Moja Aweryla jest typem stanowczym i trudno rozciągnąć nad nią kuratelę. Chwilami czyni coś zupełnie nieoczekiwanego, a

mnie takie rzeczy narażają na przepisywanie całej noweli na nowo.

Wreszcie nowela została skończona i Ania po kryjomu przeczytała ją Dianie. Scena tragiczna została wprowadzona do akcji, chociaż, mały Bobby Ray został przy życiu. Czytając tę scenę, Ania obserwowała spod oka przyjaciółkę. Oczywiście Diana rozplakała się rzewnie, ale przy samym końcu noweli wyglądała tak, jakby była trochę rozczarowana.

- Dlaczego zabiłaś Maurycego Lennoxę? - wyszeptowała z wyrzutem.

- Bo to był zły człowiek, więc musiałam go ukarać - odparła Ania.

- A mnie się on najwięcej podobał - szepnęła Diana mimo woli.

- Jednakże musiał umrzeć - odrzekła Ania, zagniewana nieco - bo w przeciwnym razie nie dawałby spokoju Aweryli i Percevalowi.

- Mogłaś go stworzyć innym człowiekiem.

- To, cała nowela przestałaby być romantyczna i stałaby się nudna.

- Niech i tak będzie. W każdym razie nowela jest nadzwyczajna i jestem pewna, że sława twoja wkrótce zabłyśnie. A jaki będzie tytuł?

- Tytuł już mam od dawna! Nowela ta nazywa się „Pokuta Aweryli”. Prawda, że ładnie brzmi? Diano, mów ze mną szczerze, czy znalazłaś w tej noweli jakieś błędy?

- Niewielki - odparła Diana po chwili namysłu. - Scena, w której Aweryla piecze ciasto, jest nieromantyczna, nie pasuje według mnie do reszty. Przecież Aweryli nie wypada się zajmować taką prozaiczną pracą. W ogóle bohaterki romantycznych nowel nie powinny umieć gotować.

- Dlaczego? Przecież to właśnie zabarwia całą nowelę humorem, to najlepsza część! - zawołała Ania z zapałem.

Diana postanowiła zaniechać dalszej krytyki, jednakże Ania miała jeszcze cięższe zadanie z panem Harrisonem, którego trudniej było przekonać. Na samym początku stwierdził, że w noweli jest stanowczo za dużo opisów.

- Wyrzuć te wszystkie kwieciste ustępy - rzekł stanowczo.

Ania doszła do niemiłego przekonania, że pan Harrison jednak ma słuszość, i aczkolwiek musiała jeszcze trzykrotnie przepisywać całą nowelę, to, choć z żalem, wyzbyła się pięknych opisów, aby tylko zadowolić surowego krytyka.

- Zostawiłam tylko opis zachodu słońca, bo ten według mnie był najlepszy - szepnęła nieśmiało.

- Ale cóż on ma wspólnego z treścią noweli? - zagadnął pan Harrison. - W ogóle cała akcja nie powinna się rozgrywać w wielkim mieście, bo ty przecież zasadniczo

życia miejskiego zupełnie nie znasz. Powinno się to dziać chociażby w Avonlea. Mogłaś zmienić nazwę miejscowości, żeby uniknąć podejrzeń pani Linde, iż to ona właśnie jest główną bohaterką.

- Tego uczynić nie mogłam - broniła się Ania. - Avonlea jest dla mnie najdroższym zakątkiem na świecie, ale zbyt mało posiada romantyzmu, aby być tłem dla noweli.

- Moja droga, ileż to tragedii życiowych rozegrało się właśnie tutaj! - zawołał szorstko pan Harrison. - Twoi bohaterowie nie sprawiają wrażenia ludzi żyjących. Przede wszystkim zbyt dużo mówią i wyrażają się trochę za górnolotnie. Na przykład w tym miejscu, gdzie Dalrymple gada przez dwie stronicie, a ta biedaczka nie może w ogóle dojść do słowa. Gdyby się to działo naprawdę, jestem pewien, iż taka panna gotowa byłaby go obić.

- Bardzo wątpię - odparła Ania oburzona.

W głębi duszy była przekonana, że poetyczne przemówienie bohatera mogłoby podbić serce każdej niemal dziewczyny. Wyrażenie pana Harrisona, że Aweryla powinna „obić” swego partnera, było według niej również zupełnie nie na miejscu.

- Poza tym - ciągnął dalej pan Harrison - nie rozumiem, dlaczego! Maurycy Lennox został przez Awerylę odtracony. Przecież on posiada o wiele więcej męskości niż jego rywal. Co prawda, popełniał złe uczynki, ale w każdym razie coś robił, gdy tymczasem Perceval przez całe życie i leniuchował.

To ostatnie wyrażenie pana Harrisona wydało się Ani jeszcze gorsze od „obicia”.

- Maurycy Lennox jest złym człowiekiem! - zawołała w podnieceniu. - Nie pojmuję, jak może się podobać bardziej od Percevala.

- Perceval jest za dobry i dlatego staje się nudny. Na przyszły raz musisz bardziej ożywiać swoich bohaterów.

- Aweryla nie powinna była zostać żoną takiego złego człowieka jak Maurycy.

- Mogła na niego wpłynąć. Każdy mężczyzna łatwo poddaje się rozsądnym wpływom. Oczywiście, trudno z ryby w galarecie zrobić rybę smażoną. Przyznaję, że twoja nowela nie jest taka zła, nawet czyta się ją z zainteresowaniem, ale uważam, że jesteś jeszcze za młoda, żeby pisać tego rodzaju rzeczy. Musisz z dziesięć lat poczekać.

W duszy Ani zapadło postanowienie, że na przyszłość nie będzie już nikogo pytać o zdanie. Taka surowa krytyka stanowczo ją zniechęciła Gilbertowi co prawda również wspomniała o swej noweli, ale postanowił jej już nikomu więcej nie czytać.

- Jak się spodoba, Gilbertcie, ujrzysz ją w druku, w przeciwnym razie nikt tej noweli więcej nie zobaczy.

Tylko Maryla nie miała o niczym pojęcia. Ania oczami wyobraźni widziała siebie, trzymającą w drżących rękach egzemplarz jakiegoś tygodnika i czytającą Maryli swój utwór. Maryla nie szczędzi pochwał, chociaż dopiero potem dowiaduje się, że to Ania jest autorką tego arcydzieła... Ale wszystko to istnieć mogło tylko w wyobraźni.

Wreszcie pewnego dnia Ania zdecydowała się zanieść na pocztę dużą, wypchaną kopertę, którą w swej dziewczęcej naiwności zaadresowała do redakcji jednego z najpoczytniejszych amerykańskich tygodników. Jediną istotą, która przeżywała wraz z nią wszystkie radości i zmartwienia z tym związane, była oczywiście Diana.

- Kiedy masz nadzieję otrzymać odpowiedź? - pytała Diana niespokojnie.

- Przypuszczam, że powinna nadejść w ciągu dwóch tygodni. O, jakże będę dumna i szczęśliwa, gdy moja nowela zostanie przyjęta!

- Jestem pewna, że rezultat będzie jak najlepszy, i jeszcze gotowi cię poprosić o napisanie innych rzeczy. Osiągniesz kiedyś taką sławę jak pani Morgan, a wtedy ja urosnę w dumę, że jestem twoją przyjaciółką - powiedziała Diana, która posiadała tę miłą cechę, że z całkowitą szczerością podziwiała zalety i zdolności swoich przyjaciół.

Następny tydzień przeszedł wśród długich marzeń pełnych nadziei, lecz, niestety, zaraz potem miało nastąpić przykre przebudzenie. Gdy Diana pewnego dnia wstąpiła na Zielone Wzgórze, zastała Anię zapłakaną w pokoju na facjacie. Na stoliku pod oknem leżała duża koperta i wyjęty z niej rękopis.

- Więc twoja nowela wróciła, Aniu? - zapytała Diana z zatamowanym oddechem.

- Tak, moja droga - odparła Ania niechętnie.

- Ten wydawca chyba oszalał! Czym się tłumaczy?

- Niczym! Załączył tylko liścik, że nowela moja nie nadaje się do druku.

- Mówiłam ci, że to jakieś głupie wydawnictwo - pocieszała Diana przyjaciółkę.

- Wszystkie nowele, które tam zamieszczają, są o wiele mniej ciekawe niż nowele w „Kobiecie Kanadyjskiej”. Może wydawca darzy specjalną antypatią tych, którzy nie mieszkają w Stanach Zjednoczonych. Aniu, nie martw się. Pamiętaj, że pierwsze utwory pani Morgan także wracały do niej. Spróbuj posłać nowelę do „Kobiety Kanadyjskiej”.

- Trzeba będzie tak zrobić - zgodziła się Ania, trochę podniesiona na duchu. - A potem, jak już zostanie wydrukowana, wytnę ją i pošlę temu amerykańskiemu wydawcy. Sądzę jednak, że pan Harrison miał słuszość, trzeba opuścić opis zachodu słońca.

Nieszczęsny opis został wycięty, lecz niestety z wydawcą „Kobiety Kanadyjskiej” sprawa została załatwiona jeszcze szybciej, bo rękopis wrócił już po kilku dniach. Pragnąc pocieszyć przyjaciółkę, Diana utrzymywała, że ten głupi wydawca nie zdążył nawet przeczytać noweli, i postanowiła natychmiast przestać abonować to wstrętne pismo.

Następne niepowodzenie przyjęła Ania już z większym spokojem. W końcu nowela podzieliła los dawnych opowiadań, napisanych za czasów Klubu Powieściowego, i znalazła się na dnie kufra stojącego na strychu. Tylko Diana po długich błagalnych prośbach otrzymała kopię „Pokuty Aweryli”.

- Tak się zakończyła moja kariera literacka - uśmiechała się Ania z goryczą.

Pan Harrison nie miał pojęcia o tym wszystkim, a gdy pewnego dnia zapytał, co się stało z nowelą, Ania odpowiedziała krótko:

- Wydawca nie chciał jej przyjąć.

Pan Harrison spojrzał na nią z ukosa i dostrzegł purpurowy rumieniec na jej twarzy.

- Przypuszczam, że mimo wszystko będziesz pisała dalej - usiłował ją zachęcić.

- Nie, mam już tego dosyć - odparła Ania stanowczo, lecz z taką beznadziejnością, jaką może odczuwać tylko dziewiętnastoletnia osoba, przed którą nagle zatrzaśnięto jakieś drzwi.

- Ja bym tak szybko nie rezygnował - odezwał się pan Harrison w zamyśleniu. - W wolnych chwilach pisywałbym dalej nowele, tylko oczywiście nie zwracałbym się z nimi do wydawców. Pisałbym w każdym razie o ludziach i miejscowościach dobrze mi znanych i starałbym się wyzbyć tego górnolotnego stylu. Niech sobie słońce wschodzi i zachodzi zupełnie zwyczajnie i niech się tym nikt specjalnie nie przejmuje. Ludziom złym dawałbym zawsze szansę poprawy, chociaż, co prawda, bywają na świecie i tacy ludzie, którzy są źli nieuleczalnie, ale tych musiałabyś daleko szukać - pomimo iż pani Linde twierdzi, że wszyscy jesteśmy źli. Ja jednak uważam, że każdy z nas jest choć trochę przyzwoitym człowiekiem. Radzę ci, Aniu, pisać dalej.

- Uważam, że postąpiłam bardzo niemądrze pisząc tę pierwszą nowelę. Po ukończeniu uniwersytetu zostanę nauczycielką, bo wiem, że to umiem, a do literatury

widocznie się nie nadają.

- Po skończeniu uniwersytetu trzeba będzie obejrzeć się za mężem - uśmiechnął się pan Harrison. - Nie wzoruj się na mnie i nie odkładaj małżeństwa na starość.

Anię zniecierpliwiła ta rozmowa, więc pożegnała się szybko i wróciła do domu. Naprawdę ten pan Harrison był chwilami niemożliwy! Te jego dosadne wyrażenia jak na przykład: „obić”, „leniuchować”, „obejrzeć się za mężem”! Och!

## NA DRODZE GRZECHU

Tadzio i Tola byli już ubrani do szkoły niedzielnej. Przeważnie odprowadzała ich tam pani Linde, bo sama także co niedzielę chodziła na nabożeństwo. Tego jednak dnia pani Linde zwichnęła nogę i musiała pozostać w domu. Bliźnięta miały więc dzisiaj reprezentować w kościele całą rodzinę, bo Ania poprzedniego wieczora wyjechała do Carmody, aby spędzić święto w towarzystwie tamtejszych przyjaciół. Na domiar wszystkiego Maryla znowu dostała migreny.

Tadzio wolnym krokiem schodził po schodach. Tola oczekiwała go na ganku, ubrana już odświętnie przez panią Linde. Tadzio przy ubieraniu nie potrzebował niczyjej pomocy. Miał teraz w kieszeni centa na kwotę w szkole niedzielnej i pięć centów na tacę w kościele. Pod pachą trzymał Biblię i kwartalnik kościelny dla dzieci. Umiał dzisiaj doskonale lekcje, a nawet treść katechizmu szumiała mu jeszcze w głowie. Czyż zeszłej niedzieli nie spędził całego popołudnia w kuchni z panią Linde na uciążliwym wkuwaniu katechizmu? Dzięki temu powinien być dzisiaj w doskonałym humorze, a jednak - zły był jak wilk.

Gdy podszedł do Toli, na progu kuchni ukazała się pani Małgorzata.

- Umyłeś się? - spytała ostro.

- Chyba to po mnie widać - odparł Tadzio trochę niegrzecznie. Pani Małgorzata westchnęła. Miała pewne podejrzenia co do czystości szyi i uszu Tadzia, ale patrzyła na wszystko przez palce, wiedziała bowiem, że gdyby nawet chciała się o tym przekonać osobiście, Tadzio uciekłby tak szybko, że w żaden sposób nie mogłaby go dogonić.

- Tylko zachowujcie się przyzwoicie - ostrzegła raz jeszcze obydwójce. - Żebyście się przypadkiem nie zabrudzili. Nie rozmawiajcie z innymi dziećmi i siedźcie spokojnie na swoich miejscach. Podczas lekcji katechizmu słuchajcie uważnie pytań pastora. Żebyście pieniędzy nie zgubili. Podczas nabożeństwa siedźcie cicho i słuchajcie pilnie kazania.

Tadzio nic nie odpowiedział, bo był już na ulicy, a Tola z trudem usiłowała za nim nadążyć. W duszy chłopca rodził się bunt. Zdawało się Tadziowi, że bardzo cierpi, a powodem tego oczywiście była, jak zwykle, pani Linde. Cierpienie Tadzia powstało od chwili, gdy pani Linde zamieszkała na Zielonym Wzgórzu, gdyż - jego zdaniem - była ona osobą bardzo niezgodną i każdego człowieka, czy miał lat dziesięć, czy dziewięćdziesiąt, usiłowała wychowywać na swój sposób. Nie dalej jak wczoraj przekonywała Marylę, żeby nie pozwoliła Tadziowi iść na połów ryb z dziećmi

Tymoteusza Cottona. Bunt w serduszkach Tadzia palił się coraz jaśniejszym płomieniem.

Zaraz na zakręcie uliczki Tadzio przystanął na chwilę i skrzywił się nieładnie, co wywołało przerażenie w duszy wrażliwej Toli.

- Stłuc ją na kwaśne jabłko! - wybuchnął Tadzio.

- Tadziu, mój drogi, nie klnij - mówiła Tola błagalnie.

- Przecież słowo „stłuc” nie jest przekleństwem, a choćby nawet było, to nic mnie to nie obchodzi - odparł Tadzio ze spokojem.

- Mógłbyś chociaż w niedzielę nie mówić takich brzydkich słów. Tadzio nie miał zamiaru przyznawać słuszności Toli, chociaż sam się zorientował, że może zbyt brzydki się wyraził.

- Już ja sobie wymyślę jakieś własne przekleństwo - rzekł.

- Kara boża cię nie minie - szepnęła Tola uroczyście.

- Wobec tego Pan Bóg jest zły - odparł Tadzio - bo powinien wiedzieć, że każdy człowiek musi jakoś wyrażać swoje uczucia.

- Tadziu! - zawołała Tola przerażona, że Tadzio za chwilę padnie nieżywy po tak strasznym bluźnierstwie. Ale jakoś nic się nie stało.

- W każdym razie nie mam zamiaru znosić dłużej opieki pani Linde! - zawołał Tadzio. - Co innego Ania i Maryla, ale nie ta wariatka. Zobaczysz, że będę jej teraz robił zawsze na przekór.

Podczas gdy Tola patrzyła na niego w najwyższym przerażeniu, Tadzio zszedł z porośniętej trawą dróżki na piaszczysty gościniec, z prawdziwym zadowoleniem zanurzając stopy w unoszącej się kurzawie.

- To tylko początek! - zawołał wyzywająco. - Postaram się przed kościołem rozmawiać jak najgłośniej. Podczas nabożeństwa także nie ucichnę ani na chwilę, a jak mnie ksiądz o coś zapyta, powiem, że nie potrafię opowiedzieć. Te pieniądze także postaram się zgubić.

Zdecydowanym ruchem Tadzio wyjął z kieszeni obydwie monety i cisnął je do ogrodu państwa Barrych.

- Szatan cię chyba opętał! - zawołała Tola bliska płaczu.

- Głupia jesteś - odparł chłopiec. - Robię tylko na przekór. Rozmyśliłem się nawet w tej chwili i nie mam zamiaru iść do kościoła. Wolę pobawić się z Cottonami. Wczoraj mówili mi, że na pewno nie przyjdą do kościoła, bo matki nie ma w domu, więc nie będzie komu ich przygotować. Pójdiesz ze mną, Tolu?



- Ani mi się śni - zaprotestowała Tola.

- Właśnie że pójdziesz - rzekł Tadzio - bo jak nie, to powiem Maryli, że w poniedziałek Franek Bell pocałował cię w szkole.

- Cóż mogłam na to poradzić? Uczynił to przecież zniecka! - zawołała płacząco Tola rumieniąc się ze wstydu.

- Nawet się nie broniłaś i byłaś w doskonałym humorze - szydził Tadzio. - Zobaczysz, że powiem, jak nie pójdziesz. Chodźmy tędy, to będzie najkrótsza droga.

- Ja się boję krów, a one się tam pasą na łące - Tola usiłowała się wykręcić w jakikolwiek sposób.

- Też masz się czego bać! - zaśmiał się Tadzio. - Te krowy są młodsze od ciebie.

- Ale o wiele większe - wyszeptala dziewczynka.

- Krzywdy ci nie zrobią. No, chodź. Świetna historia. Jak dorosnę, nie będę wcale chodził do kościoła. W niebie sam sobie dam radę.

- Po śmierci pójdziesz na pewno gdzie indziej, jeżeli za życia nie umiesz święcić dnia odpoczynku - szepnęła nieszczęśliwa Tola idąc niechętnie za bratem.

Tadzio nie bał się piekła - było ono bardzo daleko, podczas gdy łowienie ryb z dziećmi Cottonów było tuż obok. Tola szła wolno, ciągle się oglądając, i to właśnie najbardziej irytowało Tadzia. „Powiesić te głupie dziewczyny!” Tadzio tym razem nawet w myślach nie wymówił słowa „stłuc”, chociaż nie żałował, że raz użył tego „przekleństwa”; teraz jednak nie należało kusić zbyt nieznanych sił wyższych.

Dzieci Cottonów bawiły się na podwórzu i na widok Tadzia zaczęły wznosić radosne okrzyki. Piotruś, Tomek, Adolf i Mirabela mieli dzisiaj zupełną swobodę, bo matka ich i starsze siostry wyjechały. Tola pocieszyła się trochę ujrzawszy Mirabelę, lękała się bowiem, że znajdzie się sama w tej gromadzie nieznośnych chłopców. Mirabela była takim samym urwisem jak chłopcy, ale w każdym razie nosiła chociaż sukienkę.

- Pójdziemy na ryby! - oznajmił Tadzio z triumfem.

- Hura! - zawołali mali Cottonowie.

Wszyscy udali się na poszukiwanie glist, a na czele szła Mirabela z małą blaszaną miseczką. Toli zbierało się na płacz. Och, po cóż ten paskudny Franek Bell pocałował ją wtedy? Gdyby nie to, z pewnością sprzeciwiłaby się Tadziewi i poszła do szkoły niedzielnej.

Nad staw woleli nie chodzić, bo mogli ich zobaczyć ludzie idący do kościoła. Postanowili więc pójść nad brzeg strumyka, tuż za domem Cottonów. Zabawa była

wspaniała, bo nałowili mnóstwo pstrągów. Tadzio przezornie zdjął buciki i pończochy i od Tomka Cottona pożyczył palto, aby nie pobrudzić swego ubrania. Tak wyekwipowany nie potrzebował się już obawiać błota, bagna ani krzaków. Tole ogarniała coraz większa rozpacz. Szła za nimi jak automat, ściskając w rękę Biblię i kwartalnik kościelny, i cały czas myślała o kościele, o tym, że powinna siedzieć teraz w klasie przed ulubionym nauczycielem - i siłą tylko Powstrzymywała łzy. Zamiast tego musiała się przedzierać przez krzaki z tymi półdzikimi Cottonami, starając się nie zabrudzić bucików i ładnej białej sukienki. Mirabela chciała jej pożyczyć swego fartuszka, lecz Tola odmówiła z pogardą.

Wreszcie po godzinie dzieci nałowiły już mnóstwo ryb i ku wielkiej radości Toli postanowiły wrócić do domu. Gdy wszyscy zaczęli się bawić Wesoło w berka, Tola usiadła cichutko na kurniku, zatopiona w swych niewesołych rozmyślaniach. Wreszcie chłopcom i to się znudziło, więc postanowili wdrapać się na dach obory. Nagle Tadzio wpadł na pomysł, żeby zeskakiwać z dachu obory na wielką stertę słomy, co przez pół godziny ogromnie wszystkich bawiło.

Ale przecież każda zabawa ma swój koniec. Z daleka, od strony mostu doszedł ich odgłos kroków i przejeżdżających wozów - widocznie ludzie wracali już z kościoła. Tadzio doszedł do wniosku, że należałoby tak wrócić do domu. Oddał Tomkowi palto i z żalem spojrzął na złowione pstrągi, bo przecież nie mógł ich zabrać ze sobą.

- Świetnieśmy się bawili, prawda? - rzekł, gdy obydwójce z Tolą wychodzili już z ogrodu Cottonów.

- Ja tam nie - odparła Tola. - Wątpię, czy i tobie ta zabawa sprawiała przyjemność.

- Ogromną! - zawołał Tadzio niezupełnie szczerze. - Pewnie, żeś ty się nie bawiła, bo siedziałaś w kącie, jak... jak wół.

- Nie lubię się bawić z Cottonami - szepnęła Tola z powagą.

- Bardzo są mili - odparł Tadzio - i umieją się bawić lepiej od nas. Przynajmniej mogą korzystać ze swobody: robią, co chcą, i mówią, co chcą. Ja także teraz tak będę robił.

- Ale przy ludziach nie będziesz tak mówić jak oni - wtrąciła Tola.

- Właśnie że będę - upierał się Tadzio.

- No, zobaczymy. Ciekawa jestem, czy będziesz tak mówił wszystko przy pastarze? - szepnęła Tola już nieco śmieiej.

Tadzio nie był tego pewny, ale przecież nie mógł przyznać słuszności

dziewczynie. Teraz, gdy zabawa już minęła, w duszyczce jego zrodził się niepokój. Może jednak lepiej by uczynił idąc do kościoła? Pani Linde była wprawdzie niemożliwa, ale jednak od czasu do czasu dawała mu czekoladkę czy cukierek; miała jedną ważną zaletę, że nie była skąpa. Tadzio pamiętał, że jak w zeszłym tygodniu podarł spodnie w szkole, pani Linde zacerowała je natychmiast i nic nie powiedziała o tym Maryli.

Uważał jednak, że nie zemścił się jeszcze dostatecznie. Przecież jeden grzech pociąga za sobą drugi, więc należałoby jeszcze coś uczynić, zasiedli do obiadu, Gdy pani Linde zapytała Tadzia:

- Czy cała klasa była w kościele?

- Prawie wszyscy prócz jednego - odparł Tadzio, zająknąwszy się nieco.

- A jak tam było z katechizmem?

- Dobrze.

- Pieniądze wrzuciłeś do puszek?

- Tak.

- A pani MacPherson także była na nabożeństwie?

- Nie mam pojęcia. - „Raz przynajmniej powiedziałem prawdę” - pomyślał Tadzio.

- Czy wyszły dzisiaj jakieś zapowiedzi?

- Taak... - głos Tadzia zadrżał nagle.

- Czy było zebranie kościelne?

- Ja... nie wiem...

- Jak to: nie wiesz? Przecież byłeś w kościele. Powinieneś słuchać uważnie. O czym pastor dzisiaj mówił?

Tadzio napił się wody i bezczelnie wyrecytował treść kazania, które pastor mówił przed kilku dniami. Wreszcie pani Linde przestała zadawać pytania, ale apetyt Tadziovi dzisiaj jakoś nie dopisywał. Zjadł tylko trochę budyniu. Zwróciło to uwagę pani Linde.

- Co ci się stało? - zapytała. - Chory jesteś?

- Nie - wymamrotał Tadzio.

- Jesteś dziwnie blady. Może byś nie wychodził na słońce?

- Wiesz, ile kłamstw dzisiaj powiedziałeś? - zagadnęła Tola z wyrzutem, gdy nareszcie po skończonym obiedzie zostali sami.

Tadzia ogarnęła pasja.

- Nie wiem i wcale mnie to nie wzrusza! - zawołał. - Siedz lepiej cicho, Teodoro Keith!

Wyszedł z domu i usadowiwszy się za stosem drzewa na podwórzu zaczął markotnie rozmyślać nad tym, jaki los czeka przestępców.

Mrok i cisza spowiły Zielone Wzgórze, gdy Ania powracała do domu. Ogromnie zmęczona i senna, natychmiast udała się na spoczynek. W ubiegłym tygodniu była na kilku spotkaniach towarzyskich, które kończyły się zawsze późno. Zasypiała już prawie, gdy nagle drzwi się otworzyły i tuż przy łóżku usłyszała nieśmiały szept:

- Aniu...

Ania usiadła półsenna.

- To ty, Tadziu? Co się stało?

Biała, drobna postać podbiegła do jej łóżka.

- Aniu - wyjąknął Tadzio zarzucając jej ramiona na szyję. - Ogromnie się cieszę, że wróciłaś do domu. Nie mogłem zasnąć, bo musiałem komuś o powiedzieć.

- Co powiedzieć?

- Jaki jestem nieszczęśliwy.

- Dlaczego, Tadziu?

- Bo byłem dzisiaj niegrzeczny, bardziej niegrzeczny niż zawsze.

- Cóż takiego zrobiłeś?

- Boję ci się powiedzieć, bo na pewno przestaniesz mnie lubić. Znowu nie mogłem się dzisiaj modlić. Nie śmiałem zwierzyć się Panu Bogu z tego co uczyniłem.

- On i tak wie o tym, Tadziu.

- Tola też mi to mówiła, ale myślałem, że może Pan Bóg tego właśnie nie zauważył. Postanowiłem przedtem tobie powiedzieć.

- Cóż ty takiego zrobiłeś?

Tadzio zaczął mówić szybko, bez chwili wytchnienia:

- Zamiast pójść do kościoła, łowiłem ryby z dziećmi Cottonów. Później skłamałem pani Linde i... strasznie kłamałem, nawet bluźniłem przeciw Bogu.

Nastąpiła cisza. Tadzio umilkł także i nie wiedział, co dalej robić. Więc Ania była na niego aż taka zła, że już nigdy nie będzie z nim rozmawiać?

- Aniu, jak mnie ukarzesz? - zapytał po chwili.

- Uważam, mój drogi, że i tak już jesteś ukarany.

- Nie, nikt mnie nie karał.

- Nie czułeś się dobrze, jak popełniałeś te brzydkie czyny, prawda?

- Prawda - odparł Tadzio stanowczo.

- To sumienie cię ukarało.

- A co to jest sumienie? Chciałbym wiedzieć.

- To jest coś takiego w tobie samym, co ci zawsze mówi, czy robisz źle czy dobrze, a jeśli robisz źle, to czyni cię nieszczęśliwym. Nie słyszałeś nigdy jego głosu?

- Owszem, ale nie wiedziałem, co to jest. Może byłoby lepiej, gdybym wcale nie miał sumienia, Aniu? A gdzie jest to sumienie? Chciałbym to wiedzieć. Może w brzuchu?

- Sumienie jest w duszy - odparła Ania zadowolona, że dookoła panowały ciemności, bo przecież w takim wypadku należy zachować powagę.

- Wątpię, czy potrafię go się pozbyć - szepnął Tadzio z westchnieniem. - Aniu, czy powiesz o tym Maryli i pani Linde?

- Nie, mój drogi, nikomu nie powiem. Prawda, że żałujesz tych wszystkich brzydkich czynów?

- Naturalnie!

- I nigdy już nie będziesz tak postępować?

- Nie, ale - Tadzio zamyślił się nagle - mogę postąpić znowu źle, tylko w inny sposób.

- Prawda, że nigdy nie będziesz mówił brzydkich słów, zawsze będziesz chodził do kościoła i nie będziesz kłamał, aby ukryć swoje grzechy?

- Nie, bo to się wcale nie opłaci - rzekł Tadzio z przeświadczeniem.

- Dobrze, kochanie. Powiedz teraz Panu Bogu, że żałujesz swego postępku, i poproś Go o przebaczenie.

- A czy ty, Aniu, przebaczyłaś mi?

- Tak, kochanie.

- W takim razie - zawołał Tadzio z radością - wcale mi nie zależy na przebaczeniu Pana Boga!

- Tadzio, co ty mówisz?!

- Będę Go prosił! - zawołał Tadzio pośpiesznie, domyślając się z tonu Ani, że powiedział znowu coś bardzo brzydkiego. - Oczywiście, będę Go prosił. Panie Boże, bardzo mi przykro, że byłem dzisiaj niegrzeczny, i odtąd zawsze w niedzielę będę spełniał tylko dobre uczynki. Przebac mi, Panie Boże! Aniu, czy jesteś zadowolona?

- Tak, idź teraz do łóżka i bądź grzeczny.

- Dobrze. Już teraz czuję się lepiej. Dobranoc!

- Dobranoc! - odrzekła Ania, kładąc się znowu z westchnieniem ulgi. Była ogromnie senna, ale po chwili znowu usłyszała przyciszony szept Tadzia:

- Aniu...

Chłopiec stał jeszcze przy jej łóżku. Ania z niechęcią otworzyła oczy.

- Cóż to znowu, Tadziu? - zapytała tłumiąc zniecierpliwienie.

- Czy widziałas, jak pan Harrison pluje? Jak myślisz, czy długo musiałbym ćwiczyć, żeby się tak nauczyć?

Ania usiadła na łóżku.

- Tadziu - rzekła surowo - ruszaj natychmiast do swego pokoju i staraj się zasnąć.

Tadzio, onieśmielony, wysunął się cichutko z sypialni swej opiekunki.

## ZEW ŚMIERCI

Zapał już gęsty zmrok, gdy Ania w towarzystwie Ruby Gillis siedziała w ogrodzie jej rodziców. Popołudnie było gorące i parne. Cały świat zdawał się być w pełni rozkwitu. Ciche dolinki wypełniły przejrzyste opary. Drogi leśne ustroiły się cieniami sosen, a pola purpurą dzikich astrów. Proponowano dzisiaj Ani przejażdżkę do Białych Piasków przy świetle księżyca, odmówiła jednak, pragnąc ten wieczór spędzić towarzystwie Ruby. Ostatnio dużo czasu poświęcała dawnej swej przyjaciółce, chociaż często zastanawiała się nad tym, po co to właściwie robi, i wracając do domu niejednokrotnie postanawiała, że więcej już Ruby nie odwiedzi.

Ruby z każdym dniem wyglądała gorzej. Nawet przyznała się, zrezygnowała z posady w Białych Piaskach, lecz uczyniła to jakoby tylko na żądanie ojca, który twierdził, że lepiej będzie, gdy obejmie posadę dopiero od Nowego Roku. Czuła się już tak źle, że koronki, które tak bardzo lubiła robić, wypadały z jej osłabionych, przezroczywych rąk. Wesołość jednak nie opuszczała jej ani na chwilę i zawsze z humorem opowiadała o swych konkurentach, którzy, jak zwykle, prowadzili między sobą zacieklą walkę. Opowiadania te były przyczyną, dla której Ania postanowiła Ruby więcej nie odwiedzać. To, co niegdyś wydawało jej się naiwne i zabawne, stało się okrutne; śmierć przeglądała przez uporczywą maskę życia. Ruby jednak przywykła widocznie do częstych odwiedzin przyjaciółki i Ania za każdym razem musiała jej przyrzec, że nazajutrz odwiedzi ją znowu. Pani Linde niechętnie spoglądała na te ciągłe wizyty Ani u Gillisów i usiłowała wytłumaczyć jej, że gotowa jeszcze sama wpaść w suchoty. Maryla także okazywała ostatnio swe niezadowolenie.

- Po każdej takiej wizycie wracasz do domu znużona - twierdziła.

- Bo to wszystko ogromnie - mnie smuci - tłumaczyła Ania łagodnie. - Ruby zupełnie sobie z tego nie zdaje sprawy. Wiem jednak, że potrzebny jest jej teraz jakiś życzliwy człowiek, nie mogę więc odmówić. Ruby zdaje się walczyć wszystkimi siłami z jakimś niedostrzegalnym wrogiem. Patrząc na to wszystko, odczuwam po każdej wizycie szalone znużenie.

Ale tego wieczora, gdy Ania siedziała z Ruby w ogrodzie, atmosfera wydała jej się inna. Ruby była dziwnie spokojna, nie mówiła nawet o strojach ani o swoich miłosnych sukcesach. Otulona ciepłym wełnianym szalem leżała w hamaku, a obok niej tkwiła nie tknięta robótka. Długie jasne warkocze - na które Ania w szkole zawsze spoglądała z zazdrością - spoczywały teraz na ramionach dziewczyny. Ruby wyjęła spinki z włosów mówiąc, że boli ją od nich głowa. Znikły z jej twarzy gorączkowe

rumieńce, była blada i wyglądała prawie jak dziecko.

Na niebie pojawił się księżyc rozciągając srebrzyste blaski wśród chmur i spowijając świetlistą mgłą widoczne poniżej jeziora. Tuż za domem Gillisów wznosił się kościół parafialny, okolony starym cmentarzyskiem. Jasne promienie księżycy odbijały się zimnym blaskiem na gładkim kamieniu płyt mogilnych.

- Jak poważnie wygląda cmentarz w poświacie księżycy - odezwała się nagle Ruby. - Jak upiornie! - wzdrygnęła się. - Aniu, ja niedługo będę tam leżała? Ty i Diana, i wszyscy inni będą żyli dalej, a mnie pogrzebią tam... na starym cmentarzu...

Anię zaskoczyły te słowa. Nie potrafiła znaleźć na nie żadnej odpowiedzi.

- Ty zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? - szepnęła Ruby po chwili.

- Tak. Wiem, droga Ruby - odparła Ania cicho.

- Wszyscy o tym wiedzą - powiedziała Ruby z goryczą. - I ja wiedziałam, tylko nie chciałam się do tego przyznać, bo... - wyciągnęła ręce błagalnie. - Ja nie chcę umrzeć! Lękam się śmierci.

- Dlaczego? - zapytała Ania ze spokojem.

- Bo... bo... boję się, że nie pójdę do nieba, Aniu... Jestem członkiem Kościoła, tak, ale tam musi być zupełnie inaczej niż tu. Myślę o tym i myślę - i ogarnia mnie dziwny lęk i... i poczucie osamotnienia. Biblia mówi, że w niebie jest bardzo pięknie, ale przecież tam nie może być tego Wszystkiego, do czego przywykłam tutaj.

Ani przyszła teraz na myśl pewna historia opowiadana kiedyś przez Izabelę Gordon; była to historia jakiegoś starca, który w ten sam sposób wyrażał się o przyszłym życiu. Dawniej historia ta wydawała się Ani ogromnie zabawna, pamiętała nawet, że obydwie z Priscillą śmiały się do łez. Teraz słysząc to z bladych, drżących ust Ruby wcale nie miała ochoty do śmiechu. Wydawało jej się to bardzo tragiczne i bardzo prawdziwe. Tak, w niebie musiało być inaczej niż tutaj, na ziemi. Ruby do innego życia była przyzwyczajona. Wesołość jej i beztroska, ideały i aspiracje nie mogły jej w niczym przygotować do tej wielkiej zmiany, nie nadawały się zupełnie do atmosfery niebiańskiej, do tego czegoś, co nadchodziło - obce i nierealne. Żeby też móc jej teraz powiedzieć coś takiego, co by jej przyniosło ulgę!...

- Mam wrażenie... - szepnęła po chwili wahania. Niełatwo jej było dzielić się swymi najgłębszymi myślami i tymi mglistymi pojęciami, które teraz cisnęły jej się do głowy, kiedy myślała o życiu ziemskim i przyszłym, przekreślając swoją dziecięcą wyobraźnię. Niełatwo jej było o tym mówić zwłaszcza z Ruby Gillis. - Mam wrażenie, że nie zdajemy sobie dokładnie sprawy, czym jest właściwie niebo i jakie posiada ono



znaczenie. Wątpię, czy jest tak inne niż życie na ziemi. Przypuszczam, że i tam człowiek nadal żyje, podobnie jak tutaj, z tym, że jest mu łatwiej być dobrym i naśladować Boga. Nie ma tam już żadnych kłopotów ani cierpień. Nie powinnaś się lękać, Ruby.

- Nie mogę - szepnęła Ruby z rozpaczą. - Nawet gdyby tak było, jak mówisz - a przecież nie ma żadnej pewności, bo może to być tylko twoje wyobrażenie - to i tak niebo nie jest ziemią. Nie mogę. Ja pragnę nade wszystko pozostać tutaj. Aniu, przecież jestem jeszcze taka młoda. Prawie wcale nie żyłam i prawie niczego nie doznałam. Tak ciężko walczyłam, żeby żyć - i nic mi to nie pomogło - muszę umrzeć, muszę porzucić wszystko, co mi jest bliskie.

Anię ogarnęło głębokie przygnębienie. Rozumiała, że każda pociecha byłaby teraz kłamstwem, a to, co mówiła Ruby, było istotną, straszliwą prawdą. Musiała porzucić to wszystko, co kochała. Cel jej życia skupiał się tylko wokół życia ziemskiego, wokół drobnych, przemijających spraw. Nie pamiętała o rzeczach wielkich, które tworzą most nad przepaścią dzielącą dwa życia. Przez ten most człowiek umierając przechodzi tylko z jednego świata do drugiego - z brzasku poranka w bezchmurny dzień. Tak sądziła Ania. Wierzyła także, że Bóg jednak weźmie Ruby pod swoją opiekę. Ale nic dziwnego, że jej dusza, oślepiąca beznadziejnością, garnie się do rzeczy, które zna i kocha.

Ruby wsparła się na łokciu i spojrzała swymi lśniącymi, błękitnymi oczyma na czyste, wieczorne niebo.

- Chcę żyć - szepnęła drżącym głosem - chcę żyć, jak żyją wszystkie dziewczęta. Pragnę wyjść za mąż, Aniu, i mieć dzieci. Wiesz, jak zawsze kochałam dzieci, Aniu. Tylko tobie to mówię szczerze, bo wiem, że ty jedna mnie zrozumiesz. Biedny Herbert. Bardzo mnie kocha i ja go także kocham. Tamci wszyscy byli właściwie niczym. On jeden... Gdybym mogła żyć, zostałabym jego żoną i byłabym taka szczęśliwa. Och, Aniu, jak mi ciężko!

Głowa jej opadła znowu, a z piersi dobyło się gorzkie łkanie. Ania ujęła delikatnie jej rękę. Zdawało się, że ta niema pieszczota sprawiła Ruby większą ulgę, niżby to uczyniły jakiegokolwiek słowa. Uspokoila się nieco i przestała szlochać.

- Bardzo się cieszę, że ci to powiedziałam, Aniu - szepnęła znowu - już teraz czuję się lepiej. Właściwie już dawno miałam ci o tym powiedzieć, ale jakoś nie mogłam się na to zdobyć. Zdawało mi się zawsze, że gdybym zaczęła mówić z kimś o tym, śmierć zjawiłaby się natychmiast. Wolałam więc o niej nie myśleć. W dzień,

będąc wśród ludzi, otoczona wesołością, mogłam o tym zapomnieć. Najgorzej było w nocy, gdy zostawałam sama. Straszne to, Aniu. Zdawało mi się, że przychodzi do mnie śmierć i wpatruje się we mnie. Siłą powstrzymywałam się, aby nie krzyknąć.

- Ale teraz już się nie lękasz, prawda? Musisz być dzielna i wierzyć, że wszystko będzie dobrze.

- Spróbuję... postaram się w to uwierzyć. Ale ty musisz do mnie jeszcze częściej przychodzić, Aniu.

- Dobrze, kochanie.

- Bo przecież, Aniu, to i tak niedługo potrwa. Jestem najzupełniej przekonana. Najlepiej się czuję, gdy ty jesteś przy mnie. Zawsze cię najbardziej lubiłam ze wszystkich koleżanek, bo ty nigdy nie byłaś zazdrosna jak tamte. Wczoraj była u mnie Emilka White. Pamiętasz, jak kiedyś przyjaźniłyśmy się przez całe trzy lata? Potem pokłóciłyśmy się na koncercie szkolnym i odtąd więcej jej nie widziałam. Czyż to nie było głupie? Wiele rzeczy wydaje się głupich - teraz. Dopiero wczoraj do mnie Przyszła. Mówiła nawet, że już dawno chciała mnie odwiedzić, ale lękała się, że swą wizytą sprawi mi przykrość. Ja znowu ze swej strony byłam pewna, że ona ciągle się jeszcze na mnie gniewa. Prawda, Aniu, jakie to dziwne, że ludzie nie mogą się nigdy zrozumieć?

- Większość przykrości powstaje z tego powodu - odparła Ania. - Ale teraz, Ruby, muszę już iść, zresztą i ty nie powinnaś już siedzieć na dworze. Jest wilgotno.

- Ale przyjdiesz do mnie znowu?

- Przyjdę wkrótce i uczynię wszystko, by ci pomóc.

- Już mi pomogłaś, Aniu. Teraz nie wydaje mi się to takie straszliwe... Dobrej nocy, Aniu!

- Dobrej nocy, kochanie!

Wolnym krokiem szła Ania do domu. Ten ostatni wieczór zdawał się zmieniać coś w jej duszy. Życie zaczęło nabierać innego znaczenia. Miała wrażenie, że ostatnia rozmowa z Ruby wtargnęła do świątyni najgłębszych jej uczuć. Zdawało jej się, że gdy i po nią śmierć wyciągnie swą nieubłaganą rękę, ona sama nigdy nie poczuje lęku przed tym, co miało być tak różne od tego, co jest. Przecież drobne sprawy i przyjemności codziennego życia nie powinny być jego celem. Należało szukać celów wyższych; życie w niebie powinno się zaczynać tu na ziemi.

Dopiero drugiego dnia rano Ania dowiedziała się, że ostatnia jej rozmowa z przyjaciółką była jednocześnie pożegnaniem. Nigdy już więcej nie ujrzała Ruby.

Następnego wieczora K.M.A. wydało pożegnalne przyjęcie na cześć Janki Andrews, która za dwa dni miała wyjechać na Zachód. Właśnie w chwili gdy zabawa dosięgła kulminacyjnego punktu, gdy wszyscy tańczyli ochoczo i patrzyli na świat z radością, duszyczka Ruby przenosiła się do wieczności. Rano od domu do domu poczęła krążyć wieść, że Ruby Gillis umarła. Na szczęście śmierć nastąpiła w nocy podczas snu i widocznie bez cierpień, bo na twarzączce niegdyś wesołej Ruby pozostał łagodny uśmiech - jakby śmierć przyszła do niej jako serdeczny przyjaciel, a nie jako straszna zjawia, przed którą drżała. Nawet pani Linde, wróciwszy z pogrzebu, przyznała, że jeszcze nigdy w życiu nie widziała, żeby ktoś tak pięknie wyglądał po śmierci. Nie mogąc nic już uczynić dla przyjaciółki, Ania przyniosła tylko pęk białego kwiecica i posypała nim zmarłą leżącą w śnieżnobiałej sukni na wysokim katafalku. Długo w Avonlea wspomniano śmierć Ruby. Ruby była piękna, lecz jej piękność była najzupełniej ziemską, może nawet zuchwałą - jakby pragnęła chełpić się nią przed każdym widzem. Nie malowały się w niej nigdy dusza ani intelekt. Teraz śmierć zawładnęła urodą dziewczyny, podkreślając delikatne jej kształty i nie widzianą dotychczas anielskość rysów twarzy. Śmierć uczyniła to, co mogłoby dla Ruby uczynić życie, miłość, głęboki smutek i prawdziwa radość.

Ania patrząc przez łyzy na twarzączkę dziecięcych zabaw myślała, że taką twarz Ruby chciał ujrzeć Bóg - i taka twarz pozostała Ani w pamięci.

Przed wyruszeniem na cmentarz pani Gillis przywołała Anię do siebie i w milczeniu podała jej małe zawiniątko.

- Chciałabym ci podarować tę robótkę - wyszeptła przez łyzy. - Ruby na pewno by sobie tego życzyła. Niestety, jest nie skończona. Nawet igła tkwi w tym miejscu, gdzie palce Ruby zatknęły ją przed śmiercią.

- Zawsze jakaś robota zostanie nie wykończona - szepnęła pani Linde, tłumiąc łyzy, gdy Ania opowiadała jej o tym. - Ale pocieszmy się, że na świecie zawsze zostanie ktoś, kto tę robotę wykończy.

- Nie mogę się jeszcze przyzwyczaić do myśli, że Ruby nie żyje - mówiła Ania, gdy obydwie z Dianą wracały do domu. - Jest to pierwsza nasza koleżanka, którą utraciliśmy na zawsze. I na nas kiedyś przyjdzie kolej.

- To prawda - odparła Diana szeptem. Nie miała ochoty rozmawiać na ten temat, wołała wspominać szczegóły pogrzebu, wspaniałą białą trumnę, ostatni podarunek Gillisów, który ofiarowali córce. Myślała o smutnej twarzy Herberta Spencera i o historycznym płaczu starszej Gillisówny. Jana wiedziała jednak, że z Anią

w tej chwili o tym mówić nie należy.

- Ruby Gillis strasznie się lubiła śmiać - wtrącił nagle Tadzio, który przez cały czas dreptał w milczeniu przy boku dziewcząt. - Aniu, czy w niebie też się będzie mogła śmiać? Chciałbym to wiedzieć.

- Sądzę, że tam też się będzie śmiała - odparła Ania.

- Aniu, co ty mówisz? - zawołała Diana z wymuszonym uśmiechem.

- Dlaczego nie, Dianu? - zapytała Ania z powagą. - Czy sądzisz, że w że niebie nigdy się nie będziemy śmiały?

- Nie... nie wiem - wyjąkała Diana. - Ale tak mi się wydaje. Przecież nawet w kościele nie wolno się śmiać.

- Niebo wszakże nie jest kościołem - odparła Ania.

- Gdyby tam było tak jak w kościele, wolałbym już dostać się do piekła, bo kościół jest strasznie nudny! - zawołał Tadzio. - Chociaż zawsze pocieszam się nadzieją, że będę żył sto lat jak pan Tomasz Blewett w Białych Piaskach. Pan Tomasz mówi, że żyje dlatego tak długo, bo pali dużo papierosów, a dym podobno zabija wszelkie bakterie. Aniu, czy ja też niedługo zacznę palić papierosy?

- Ja sądzę, Tadzio, że nigdy nie będziesz palił - odpowiedziała Ania automatycznie, zatopiona w swoich myślach.

- A co byś ty czuła, gdyby mnie bakterie zabiły? - dopytywał Tadzio.

## MARZENIE PRYSKA

- Za tydzień będziemy już w Redmondzie - orzekła pewnego dnia Ania. Ogarnęła ją radość na myśl o powrocie do pracy i o spotkaniu uniwersyteckich przyjaciół. Poza tym nachodziły ją od czasu do czasu marzenia o upragnionym „Ustroniu Patty”. Widziała w nich dom - ciepły, przytulny dom, jakkolwiek nie mieszkała tam jeszcze nigdy.

Lato spędziła bardzo mile - radując się gorącym słońcem, czystym niebem i wszystkim dookoła, odnawiając i pogłębiając stare przyjaźnie. Ten czas, który upłynął, nauczył ją żyć szlachetnie, pracować cierpliwie i bawić się szczerze.

„Nawet na zabawach można nauczyć się życia - myślała. - Nie tylko uniwersytet uczy nas żyć”.

Niestety, jedno drobne wydarzenie zepsuło Ani ostatni tydzień pobytu w domu.

- Czy napisałaś jakieś nowe opowiadanie? - zapytał pewnego wieczora pan Harrison, goszcząc Anię u siebie na herbacie.

- Nie - odparła dziewczyna szorstko.

- Nie gniewaj się, że cię pytam o to. Otóż pani Sloane mówiła mi któregoś dnia, że do skrzynki pocztowej została wrzucona duża koperta, zaadresowana do Fabryki Proszku do Pieczenia Ciast. Fabryka ta znajduje się podobno w Montrealu. Pani Sloane podejrzewa, że ktoś z Avonlea ubiega się o nagrodę, którą wyznaczono za reklamowanie tego nadzwyczajnego proszku. Podobno ogłoszono konkurs na nowelę reklamową. Pani Sloane powiada, że na kopercie nie było twego pisma, ale tak sobie Pomyślałem, że może to jednak twoje.

- Nie, ja tego nie pisałam. Zauważyłam wprawdzie ogłoszenie o konkursie, ale nie mam zamiaru brać w nim udziału. Nigdy nie zdobyłabym się na napisanie noweli, która by miała reklamować jakiś proszek do ciasta.

Ania wypowiedziała te słowa wyniośle, nie podejrzewając, że oczekuje ją głębia poniżenia.

W kilka godzin potem do drzwi pokoiku Ani zapukano niecierpliwie. Na progu ukazała się zadyszana i rozpromieniona Diana, trzymając rękę jakiś list.

- Aniu, mam list do ciebie. Byłam na poczcie, więc pomyślałam sobie, że ci go doręcę. Otwieraj prędko. Zwariuję chyba z radości, jeżeli to będzie wiadomość, której tak niecierpliwie oczekiwałam.

Nie rozumiejąc ani słowa z tej całej tyrady, Ania rozerwała kopertę i przebiegła wzrokiem następującą treść:

*Pani Anna Shirley  
Zielone Wzgórze,  
Avonlea  
Wyspa Ks. Edwarda  
Szanowna Pani.*

*Komunikujemy, że Jej prześliczna nowela „Pokuta Aweryli” otrzymała nagrodę w wysokości 25 dolarów, która wyznaczona została w naszym konkursie. Załączamy przy niniejszym czek i jednocześnie zawiadamiamy, że postaramy się o umieszczenie tej noweli na łamach kilku poczytnych pism kanadyjskich, po czym wydamy ją w formie broszurowej dla rozesłania naszym licznym klientom.*

*Dziękujemy serdecznie za łaskawe zainteresowanie się naszym konkursem i kreślimy się*

*z głębokim szacunkiem  
Fabryka Proszku do Pieczenia Ciast  
w Montrealu*

- Ani słowa z tego nie rozumiem - szepnęła Ania zmieszana.

Diana klasnęła w dłonie.

- Byłam pewna, że dostaniesz nagrodę. To ja posłałam twoją nowelę na ten konkurs.

- Ty - Diano?

- Tak, ja to uczyniłam! - zawołała Diana rozpromieniona, padając na łóżko. - Czytając to ogłoszenie pomyślałam zaraz o twojej noweli i nawet zamierzałam poradzić ci, żebyś ją sama posłała. Ale potem przypomniałam łam sobie, że jesteś ogromnie skromna i posiadasz zbyt mało pewności siebie. Posłałam więc tę kopię, którą mi ofiarowałaś. Byłam pewna, że jeżeli nawet nowela nie zostanie przyjęta, to wówczas ty się o tym nie dowiesz, bo w ogłoszeniu zaznaczono, że nie przyjęte rękopisy nie będą zwracane. A jeżeli zostanie nagrodzona, będzie to dla ciebie radosna niespodzianka.

Diana Barry patrzyła teraz na Anię i nie pojmowała, dlaczego twarz przyjaciółki nie wyraża wielkiej radości. Malowało się na niej ogromne zdziwienie, ale - gdzie radość?

- Aniu, widzę, że ci to wcale nie sprawia przyjemności - szepnęła po chwili nieśmiało.

- Naturalnie, cieszę się tym twoim bezinteresownym pragnieniem zgotowania

mi radości - odparła Ania wolno, siląc się na uśmiech. - Tylko widzisz, jestem taka zdumiona, że nie potrafię tego wyrazić, i jednego nie mogę zrozumieć. Przecież w mojej noweli nie było ani słowa o... o... - tu Ania zakrztusiła się lekko - o proszku do pieczenia ciast.

- O to ja już się postarałam - rzekła Diana odzyskując utraconą równowagę. - Przydała mi się w tym wypadku praca w Klubie Powieściowym. Przypominasz sobie, że w tej noweli Aweryła piecze ciasto? Właśnie tam, w tej scenie, dodałam, że Aweryła używa tylko proszku Fabryki w Montrealu. Potem, przy samym końcu, gdy Perceval chwyta Awerylę w objęcia i mówi: „Ukochana, przyszłe nasze wspólne życie przyniesie nam wiele pięknych chwil w naszym Domku Marzeń” - dodałam: „w którym do pieczenia ciasta nigdy nie będziemy używali innego proszku, tylko proszek Fabryki w Montrealu”.

- Ach! - jęknęła Ania tracąc zupełnie panowanie nad sobą.

- I dzięki temu otrzymałaś dwadzieścia pięć dolarów - szczebiotała dalej radośnie Diana - gdy tymczasem podobno „Kobieta Kanadyjska” płaci za nowele tylko po pięć dolarów.

Ania zdecydowanym ruchem podała jej nieszczęsny czek.

- Diano, ten czek należy do ciebie, ja go przyjąć nie mogę. Wszak ty wprowadziłaś zmiany do noweli i tyją posłałaś. Ja... ja nigdy bym tego nie uczyniła.

- Jakżeby to wyglądało? - oburzyła się Diana. - Przecież te wszystkie zmiany nie sprawiły mi żadnej trudności. Wystarcza mi najzupełniej, że jestem serdeczną przyjaciółką autorki. Niestety, muszę już wracać, bo mamy gości. Nie mogłam wytrzymać, żeby się nie dowiedzieć treści tego listu. Strasznie się cieszę, ale przede wszystkim ze względu na ciebie.

Ania podeszła nagle do niej i zarzuciła jej rękę na szyję.

- Jesteś naprawdę najdroższą przyjaciółką na świecie, Diano - rzekła nieco drżącym głosem. - Bądź pewna, że oceniam twoje dobre serce.

Diana wybiegła znowu rozpromieniona radośnie, gdy tymczasem Ania, wrzuciwszy nieszczęsny czek do szuflady, padła z rozpaczą na łóżko i wybuchnęła głośnym płaczem. Cóż złego uczyniła, że została tak srodze ukarana?

W godzinę potem złożył Ani wizytę Gilbert, a ponieważ dowiedział się już od Diany o radosnej nowinie, zaczął składać serdeczne powinszowania. Szybko jednak zorientował się w sytuacji, dostrzegłszy na twarzy Ani wyraz wielkiego bólu.

- Cóż ci się stało, Aniu? Byłem pewien, że skaczesz do góry z radości.

- Och, Gilbertcie, więc ty także? - szeptała Ania błagalnie. - Sądziłam, że chociaż ty potrafisz mnie zrozumieć. Czyż nie rozumiesz, że to jest straszne?

- Cóż w tym widzisz straszego?

- Wszystko - szeptała Ania. - Jestem skompromitowana na wieki. Czuję się jak kochająca matka, która nagle ujrzała swe dziecko wytatuowane... reklamą proszku do pieczenia ciasta! Ja tę nowelę kochałam i przelałam w nią wszystko, co miałam najlepszego, tymczasem sprofanowano mi ją, używając jej jako reklamy proszku do ciast. Pamiętasz słowa profesora Hamiltona podczas wykładów z literatury? Twierdził, że powinniśmy zawsze sięgać najszczytniejszych ideałów i że nie wolno nam pisać dla niskich i niegodnych pobudek. Wyobraź sobie, co profesor Hamilton o mnie pomyśli, gdy się dowie o tej nagrodzie? A co powiedzą studenci w Redmondzie? Będą mi dokuczać i śmiać się ze mnie!

- Przesadzasz trochę, Aniu - odparł Gilbert. - Koledzy redmondzcy powiedzą to samo, co ja ci przed chwilą powiedziałem. Każdy z nich dojdzie do wniosku, że ponieważ nie jesteś bogata, chciałaś po prostu podreperować swoje finanse. Uważam, że nic w tym nie ma hańbiące ani śmiesznego. To prawda, że każdy chętnie by pisał same arcydzieła, ale, niestety, warunki życia zmuszają także do myślenia o zarobku.

Dzięki tym zdrowym poglądom Ania uspokoiła się trochę. W każdym razie była już teraz pewna, że nikt jej nie wyśmieje, chociaż na samym dnie jej duszy pozostała jeszcze nie zabliźniona rana.



## NOWA PRZYJAŹŃ

- Jest to chyba najpiękniejszy i najbardziej przytulny zakątek na świecie - szeptała Iza Gordon rozglądając się dokoła zachwyconym wzrokiem. Wszyscy mieszkańcy „Ustronia Party” zebrali się o zmroku w obszernej bawialni, a więc: Ania, Priscilla, Iza, Stella, ciotka Jakubina, Mruczek, Zyzio, Kot Sabiny, Gog i Magog. Czerwone cienie płomieni dobywających się z rozjarzonego kominka tańczyły na ścianach bawialni, koty myły się zawzięcie, a pęk złocistych chryzantem, przysłany Izie przez jednego z ostatnich wielbicieli, w tym miłym półmroku sprawiał wrażenie jaśniejącej tarczy księżyca.

Już trzy tygodnie minęły od chwili przeprowadzki do „Ustronia Patty” i mieszkanki nowej siedziby z dnia na dzień coraz bardziej się przekonywały, że próba udała się wyśmienicie. W ciągu pierwszych dwóch tygodni zajęte były urządzaniem mieszkania, które - zdaniem ich - powinno było wywierać na wszystkich miłe wrażenie.

Tym razem Ania z uczuciem ulgi opuszczała Avonlea i z radością powracała do miasta. Ostatnie dni wakacyjne nie pozostawiły po sobie zbyt miłego wspomnienia. Otrzymana przez nią nagroda ogłoszona została we wszystkich pismach Wyspy Księcia Edwarda, a William Blair, właściciel sklepu korzennego, przechowywał na swym kontuarze cały stos zielonych i żółtych broszurek, które przy każdej okazji rozdawał swym klientom. Oczywiście kilka broszurek przesłał także Ani, lecz ona, opanowana złością, natychmiast wrzuciła je do ognia. Prawdopodobnie przygnębienie Ani wynikało tylko z nadmiernej wrażliwości, bo na ogół mieszkańcy Avonlea byli dumni, że jedna z mieszkanek ich wsi zdobyła ową nagrodę. Liczni przyjaciele nie omieszkali złożyć Ani serdecznych powinszowań, nielicznych wrogów gryzła utajona zazdrość. Józia Pye rozgłaszała dokoła, że Ania na pewno ściągnęła skądś tę nowelę. Ona osobiście przypomina sobie, że czytała ją przed kilku laty w jednym z miejscowych tygodników. Rodzina Sloane'ów, dowiedziawszy się o odtrąceniu przez Anię Karola, twierdziła, że ta nowela na pewno nikomu nie przyniosłaby zaszczytu, a w gruncie rzeczy każdy mieszkaniec Avonlea mógł się ubiegać o tę głupią nagrodę. Ciotka Atossa wyraziła Ani swe wielkie ubolewanie, że wzięła się w tak młodym wieku do pisania nowel, na co by się nie zdobył nikt urodzony w Avonlea. Zdaniem jej był to wynik lekkomyślności, jaką okazali ci, którzy adoptowali pierwszą lepszą przybłądę, nie wiedząc nawet, kim byli jej rodzice. Nawet pani Małgorzata Linde z początku patrzyła na ten wyczyn Ani z niechęcią, potem jednak ujrzawszy czek na dwadzieścia

pięć dolarów, doszła do wniosku, że Ania postąpiła bardzo słusznie.

- Dziwne, że za takie bajdy płacą jeszcze pieniądze - uśmiechała się na pół z gniewem, lecz jednocześnie duszę jej przepelniała ukryta duma.

Wszystkie te okoliczności przyczyniły się do tego, że Ania z radością powracała tym razem do Kingsportu. Pociągało ją dawne życie redmondzkie i myśl o spotkaniu z przyjaciółmi. Zastała już w Kingsporcie Priscillę, Stellę i Gilberta. Karol Sloane nosił w tym roku głowę jeszcze wyżej, a Iza nie mogła się do tej pory zdecydować w kwestii Alka i Alonza. Przybył jeszcze także do Redmondu Moody Spurgeon MacPherson, który po ukończeniu seminarium objął posadę nauczycielską. Jednakże matka Moody'ego doszła do wniosku, że syn jej musi wstąpić na teologię, i rad nierad Moody musiał ulec temu życzeniu. Zaraz na wstępie zaczął biedaka prześladować dziwny pech, bo oto pewnego dnia został napadnięty przez kilku nowicjuszków, którzy mu ogolili jedną połowę głowy. Nieszczęśliwy Moody Spurgeon myślał teraz tylko o tym, kiedy mu wreszcie włosy odrosną. Kiedyś zwierzył się Ani w zaufaniu, że chwilami rozmyśla nad tym głęboko, czy istotnie ma powołanie, aby zostać księdzem.

Ciotka Jakubina zjawiała się dopiero wtedy, gdy w „Ustroniu Patty” panował już zupełny porządek. Panna Patty przesłała Ani klucz z listem, w którym donosiła, że zapakowała Goga i Magoga do tekturowego pudełka i ustawiła je w sypialni pod łóżkiem. Dziewczęta jednak mogą wypakować psy, jeżeli im na tym zależy. W dopisku wyrażała nadzieję, że nowe mieszkanki nie zawieszą zbyt dużo własnych obrazków. Bawialnia była przed pięciu laty świeżo wytapetowana i zarówno panna Patty, jak i panna Maria byłyby bardzo niezadowolone, gdyby ściany uległy podziurawieniu. Co do reszty warunków, to panna Patty ufała bezwzględnie Ani.

Dziewczęta nie posiadały się z radości urządzać swe nowe gniazdko i doprowadzając je do porządku. Iza nawet twierdziła że czuje się tak, jakby wychodziła za mąż. Każda z nich przywiozła z sobą coś, co miało upiększyć któryś z pokoiów w „Ustroniu Patty”. Priscilla, Iza i Stella postanowiły ozdobić ściany niezliczoną ilością obrazków, chociaż panna Patty w swym liście wyraźnie się temu sprzeciwiała.

- Potem dziury się zalepi i nikt nawet nie pozna - tłumaczyły zrozpaczonej Ani.

Panna Ada podarowała Ani i Priscilli dwie obficie haftowane poduszki, przy czym Ania dostała jeszcze jedną od Diany. Maryla przysłała jej pudełko marynat starannie zapakowanych w koszyku, a pani Linde ofiarowała kapę i jeszcze pożyczyła pięć innych na dodatek.

- Proszę, weź je - rzekła poważnie. - Możesz ich śmiało używać, ale równie

dobrze mogą sobie leżeć w kufrze, molom na pożarcie.

Ani jeden mól na pewno nie zbliżyłby się do tych kap. Pani Linde tak zasypała je naftaliną, że przed wniesieniem do domu trzeba je było na dwa tygodnie rozwiesić w ogrodzie.

Sąsiad „Ustronia Patty”, stary milioner, ujrzawszy kiedyś te kapy zapragnął kupić jedną, w czerwone i żółte tulipany, którą pani Linde ofiarowała Ani na własność. Mówił, że matka jego miała taką samą i przez pamięć dla niej chciałby ją teraz posiadać.

Ku wielkiemu rozczarowaniu milionera Ania nie sprzedała mu kapy, ale za to napisała do pani Linde. Czcigodna ta dama odpisała, że ma jeszcze jedną, identyczną, na zbyciu. Tak więc tytoniowy król otrzymał kapę i ku zgorszeniu żony żądał podobno, aby łóżko jego było nią stale przykryte.

Kapy pani Linde bardzo przydały się w zimie. „Ustronie Patty” miało wiele zalet, ale też miało i wady. Było raczej zimne. Toteż kiedy nadeszły mroźne noce, dziewczęta z rozkoszą otulały się kapami, błogosławiąc panią Linde.

Ania urządziła sobie sypialnię w owym błękitnym pokoju, który jej tak od razu przypadł do serca. Priscilla i Stella zajęły większy pokój, a Iza ulokowała się w małym pokoiczku przy kuchni. Dla ciotki Jakubiny pozostała obszerna sypialnia, sąsiadująca z bawialnią na dole. Mruczek z początku sypiał na schodach.

Skąd się wziął Mruczek?

Pewnego dnia, wracając z wykładów, Ania zauważyła, że niektórzy przechodnie uśmiechają się tajemniczo, spoglądając na nią. Zaczęła się zastanawiać, co mogło być powodem tych dziwnych uśmiechów. Może kapelusz jej się przekrzywił, a może pasek rozluźnił? W pewnej chwili obejrzała się za siebie i po raz pierwszy dostrzegła - Mruczka.

Biegł tuż przy niej, ocierając się prawie sierścią o jej nogi, i sprawiał raczej nieprzyjemne wrażenie. Był wychudzony i brudny, miał poucinane kawałki uszu, jedno oko zranione i spuchniętą wargę. Wyglądał też, jakby przed chwilą wyciągnięto go z komina.

Nie pomogły rozpaczliwe ruchy dziewczęcia, kot nie chciał ustąpić i biegł ciągle za nią. Gdy chwilami przystawała, on przystawał także, spoglądając na nią jakby błagalnie swym jednym zdrowym okiem. Wreszcie Ania, rada nierada, musiała się zgodzić na to towarzystwo, lecz, gdy doszli do „Ustronia Patty”, zatrzasnęła kotu furtkę przed nosem w przekonaniu, że widzi go już po raz ostatni.

Jednakże gdy w kwadrans później Iza otworzyła furtkę, ujrzała kota siedzącego na tym samym miejscu. W kilku susach przebiegł przez ogródek, wpadł do mieszkania i jednym susem znalazł się na ramieniu Ani, miaucząc radośnie.

- Aniu - zapytała Stella surowo - czy to twój kot?

- Skądże - zaprotestowała Ania. - Biegł za mną przez całą drogę i w żaden sposób nie mogłam się go pozbyć... Fe, wynoś się! Bardzo lubię miłe kotki, ale nienawidzę takich brudasów jak ty.

Kocisko jednak widocznie nie przejmowało się tą odprawą, bo ułożyło się tylko wygodniej na kolanach Ani i zaczęło rozkosznie mruczeć.

- Zapalał do ciebie specjalną sympatią - śmiała się Priscilla.

- Nie lubię takich sympatii - odparła Ania niechętnie.

- Biedactwo gotowe zdechnąć z głodu - szepnęła Iza z litością. - Wszystkie żebra mu widać, zobacz, jak sterczą przez skórę.

- Nakarmię go i wyrzucę z domu - rzekła Ania po chwili namysłu. Kot zjadł obiad z wielkim apetytem, lecz nazajutrz rano znaleziono go w ogródku. Widocznie niegościnnosc nie sprawiła na nim żadnego wrażenia, lecz zdawał się nie dostrzegać nikogo prócz Ani. Dziewczeta karmiły go przez cały tydzień, po czym wreszcie doszły do wniosku, że trzeba zrobić z intruzem jakiś porządek. Przez ten czas wygląd kota uległ ogromnej zmianie. Oko mu się wygoiło, przytył trochę i od czasu do czasu mył sobie pyszczek.

- Jednakże zatrzymać go nie możemy - upierała się Stella. - W przyszłym tygodniu przyjedzie ciotka Jakubina i przywiezie ze sobą Kota Sabiny. Nie możemy wychowywać dwóch kotów, zresztą na pewno by się z sobą nie zgodziły. Ten przybłęda ma wojowniczą naturę. Wczoraj wieczorem stoczył bitwę z jakimś kotem z sąsiedztwa.

- Musimy się go pozbyć - przyznała Ania, spoglądając ponuro na przedmiot ożywionej dyskusji, który leżał teraz na dywanie mrucząc z zadowoleniem. - Ale w jaki sposób to zrobić? Przecież to stworzenie jest bardzo uparte.

- Trzeba go zachloroformować - wtrąciła Iza, - To jest jeszcze najłagodniejszy sposób.

- Która z was zna się na tym? - zapytała Ania z uśmiechem.

- Ja się podejmuję. Już nieraz usypiałam koty w domu. Rano trzeba mu dać dobre śniadanie, potem włożyć go do worka i przykryć drewnianym pudełkiem. Pod pudełko należy wstawić otwartą buteleczkę z chloroformem. Potem pudełko przyciska się jakimś ciężarem i tak zostaje do wieczora. Kot zdechnie bez żadnych cierpień.

- Łatwo się to mówi - rzekła Ania z powątpiewaniem.

- A przeprowadzić jeszcze łatwiej. Już mnie to pozostaw, ja się tym zajmę - zapewniała Iza z powagą.

Kupiono chloroformu i nazajutrz rano miało się odbyć stracenie Mruczka. Kot zjadł z apetytem śniadanie i nic nie przeczuwając skoczył jak zwykle na kolana Ani. Ania w tej chwili uczuła litość dla biedactwa. Przecież biedne kocisko kochało ją i miało do niej zaufanie. Czyż mogła być świadkiem tej przykrej egzekucji?

- Weź go - rzekła pośpiesznie do Izy. - Już teraz czuję się, jakbym była zbrodniarką.

- Wiesz przecież, że nie będzie cierpiał - tłumaczyła Iza, ale Ania uciekła z pokoju.

Uśpienie odbyło się w małym korytarzyku na samym końcu domu. Tego dnia nikt się nie zbliżał do miejsca egzekucji i dopiero o zmroku Iza oznajmiła, że należałoby Mruczka pochować.

- Niech Prissy i Stella wykopią dół w ogrodzie - zaproponowała - Ania musi pójść ze mną i razem podniesiemy pudełko. Tego momentu najbardziej nie lubię.

Na palcach podeszły do drzwi małego korytarzyka, Iza zdjęła ciężarek, leżący na pudełku, gdy wtem usłyszała cichutkie miauczenie.

- On... on nie zdechł - wyszeptała Ania siadając z przerażenia na progu kuchni.

- To niemożliwe - rzekła Iza z przekonaniem.

Znowu rozległo się cichutkie miauczenie. Tym razem Iza już nie oponowała. Ania miała słuszność. Dziewczęta spojrzały na siebie z lękiem.

- Co teraz zrobimy? - zapytała Ania.

- Czemu nie idziecie? - rozległ się głos Stelli, która właśnie stanęła na progu. - Grób już jest gotowy.

- Ale trupa jeszcze nie mamy - odparła Ania wskazując uroczystym ruchem pudełko.

Mimo woli wszystkie wybuchnęły głośnym śmiechem.

- Trzeba go tak zostawić do jutra - rzekła Iza kładąc z powrotem ciężarek na pudełku. - Jeszcze przed pięcioma minutami nie miauczał. Może to było jego przedśmiertne miauknięcie? A może nam się tylko zdawało?

Lecz gdy nazajutrz rano podniesiono pudełko, Mruczek porwał się z miejsca i radośnie wskoczył na ramię Ani. Jeszcze nigdy nie widziano go tak ożywionym.

- W pudełku była dziura - jęknęła Iza. - Przedtem jej nie dostrzegłam. Właśnie

dlatego kot nie zdechł. Będziemy musiały przeprowadzić operację powtórnie.

- Ani mi się śni - oznajmiła Ania porywczo. - Nie pozwolę zmarnować Mruczka. To jest mój kot i sama się będę nim opiekowała.

- Ciekawam, jak to połączysz z ciotką Jakubina i Kotem Sabiny - rzekła Stella takim tonem, jakby chciała powiedzieć, że ona osobiście umywa od wszystkiego ręce.

Od tego czasu Mruczek należał do rodziny. Sypiał na małej poduszeczce w korytarzu przy kuchni i patrzył na świat radośnie. Gdy ciotka Jakubina przybyła do „Ustronia Patty”, Mruczek był już zupełnie zadomowiony i czuł się panem sytuacji. Mimo to jednak, podobnie jak kot Kiplinga, chadzał zazwyczaj własnymi drogami. Z wszystkimi kotami w sąsiedztwie staczał zawzięte walki, nie zważając na to, że tamte koty zaliczały się do arystokracji Alei Spofforda. Z ludzi uznawał tylko Anię i ją jedynie darzył prawdziwym przywiązaniem. Nikomu innemu nie pozwalał zbliżyć się do siebie.

- Ta wojowniczość jego jest nie do wytrzymania - narzekała Stella.

- Musi się przecież bronić - tłumaczyła ulubienca Ania, głaszcząc jego lśniąca sierść.

- Cieką wam, jak to będzie z Kotem Sabiny - rzekła Stella z odcieniem pesymizmu. - Walki kotów w ogrodzie są jeszcze do zniesienia, ale nie wyobrażam sobie kotów wojujących ustawicznie w pokoju.

Wreszcie nadszedł dzień przyjazdu ciotki Jakubiny. Ania, Priscilla i Iza oczekiwały tej chwili z odrobiną obawy, lecz gdy w godzinę po przyjeździe ciotka Jakubina zasiadła w głębokim fotelu przed ogniem, natychmiast nabrały do niej wielkiej sympatii i wręcz ją pokochały.

Była to mała, stara kobietka, o drobnej twarzy i wielkich błękitnych oczach, spoglądających z prawdziwą werwą młodości na wszystko, co ją otaczało. Policzki miała różowe, a włosy białe jak śnieg, ułożone w małe pukle nad uszami.

- O, to bardzo staroświecka robota - tłumaczyła robiąc pończochy i wywijając drutami z zawrotną szybkością. - Ale ja także należę już do staroświeckich ludzi. Noszę staroświeckie suknie i mam staroświeckie poglądy. Co prawda, trudno się przyzwyczaić w moim wieku do czegoś nowego. Na przykład zdaję sobie sprawę, że nowe trzewiki są ładniejsze, ale zawsze wolę stare, bo wydają mi się o wiele wygodniejsze. Sama jestem za stara na to, aby zbyt często zmieniać obuwie i poglądy. Jestem pewna, że lękacie się, by moja opieka nie była zbyt surowa, lecz ja absolutnie nie noszę się z tym zamiarem. Uważam, że jesteście już dość dorosłe, aby odpowiadać

za własne czyny. Czyli, jeśli o mnie chodzi - dodała mrugnawszy filuternie - możecie sobie zejść na złą drogę, o ile wam to odpowiada.

- Ale co będzie z tymi kotami? - jęknęła Stella, drżąc na samą myśl o tym.

Trzeba zaznaczyć, że ciotka Jakubina oprócz Kota Sabiny przywiozła jeszcze... Zyzia. Zyzio, jak wyjaśniła, był własnością jednej z jej przyjaciółek, która obecnie musiała się przenieść do Vancouveru.

- Nie mogła Zyzia z sobą zabrać, więc prosiła, żebym ja się nim zaopiekowała. Nie miałam sumienia odmówić. Zresztą Zyzio jest bardzo piękny, bo ma niezwykle lśniąca sierść, i to w rozmaitych kolorach.

Ciotka Jakubina miała słuszość, bo Zyzio, jak złośliwie utrzymywała Stella, tworzył barwną pstrokaciznę. Trudno było powiedzieć, jakiego właściwie był koloru. Nogi miał białe z czarnymi łatami, grzbiet szary z dużą, żółtą łatą po jednej stronie i z czarną łatą po drugiej. Ogon żółty, a na końcu szary, jedno ucho czarne, a drugie żółte. Czarna łatka nad lewym okiem sprawiała, że robił wrażenie niesamowite. W rzeczywistości jednak był bardzo dobrze wychowany i posiadał wspaniałe maniery. W porównaniu z innymi kotami Zyzio był prawdziwym arystokratą. Nigdy się nie złościł i nigdy nie zmuszał się do łapania myszy. Sypiał tylko na miękkich poduszkach, a apetyt miewał zazwyczaj jedynie na wyszukane potrawy.

Zyzio i Kot Sabiny przyjechały w pociągu w dwóch oddzielnych pudełkach. Gdy już się obydwaj najadły do syta, Zyzio usadowił się na miękkiej poduszce w rogu bawialni, a Kot Sabiny zaczął się myć zawzięcie na dywanie przed kominkiem. Ciotka Jakubina dostała Kota Sabiny od swej praczki.

- Na imię jej było Sabina i dlatego mąż mój przezwał kociaka Kotem Sabiny - wyjaśniała miła staruszka. - Ma już osiem lat i doskonale łapie myszy. Bądź spokojna, Stello. Kot Sabiny nigdy nie walczy, a Zyzio czyni to bardzo rzadko.

- Ale będą musiały walczyć we własnej obronie - odparła Stella cichutko.

W tej samej chwili pojawił się w pokoju Mruczek. Dopiero gdy przystanął przed kominkiem, ujrzał dwóch nowych gości. Zatrzymał się nagle, wyciągnął ogon, najeżył sierść, pochylił do ziemi głowę i parsknąwszy złowrogo i z nienawiścią, rzucił się na Kota Sabiny.

Kot Sabiny przerwał na chwilę swe mycie, spojrzał zdziwiony i zdecydowanym ruchem zamachnął się łapą na Mruczka. Biedny Mruczek bezsilnie potoczył się po dywanie. Po chwili podniósł się niechętnie. Cóż to za stworzenie, które nawet jego się nie ulękło? Zaczął się podejrzliwie przyglądać Kotu Sabiny, lecz tamten z wyraźną

pogardą odwrócił się do niego tyłem i po krótkiej przerwie zaczął się myć na nowo. Widocznie Mruczek doszedł do jakiegoś ważnego wniosku, bo od tej chwili nigdy już Kota Sabiny nie atakował.

Wtem nagle Zyzio usiadł na poduszce i ziewnął szeroko. Gorąca krew zapłonęła w żyłach Mruczka. Posunął się w stronę drugiego intruza. Zyzio, mimo iż z natury usposobiony pokojowo, podjął wyzwanie i walczył doskonale.

Od tego czasu Mruczek i Zyzio staczali codziennie bitwy. Oczywiście, za każdym razem Ania stawiała po stronie Mruczka, Stella rozpaczała, a ciotka Jakubina uśmiechała się pobłażliwie.

- Niech się biją - mówiła z zadowoleniem. - Potem się zaprzyjaźnią. Zyziowi ruch dobrze zrobi, bo jest trochę za gruby, a Mruczek będzie miał naukę, że nie on jeden jest prawdziwym kotem na świecie.

Istotnie, po pewnym czasie oba koty zawarły dozgonną przyjaźń. Sypiały nawet na jednej poduszce, obejmowały się łapkami i myły sobie wzajemnie pyszczki.

- Wszystkim nam jakoś dobrze razem - mówiła Iza z uśmiechem. - Nawet ja nauczyłam się myć naczynia i zamiatać podłogę.

- Ale nie wmówisz nikomu, że umiesz usypiać koty - zaśmiała się Ania.

- Wszystkiemu była winna ta dziura w pudełku - Iza próbowała się bronić.

- Całe szczęście, że pudełko było dziurawe - wtrąciła ciotka Jakubina niemal surowo. - Przyznaję, że kocięta można topić, bo inaczej byłoby ich zbyt dużo. Ale według mnie, dużego kota zabijać się nie godzi.

- Inaczej by ciocia mówiła, gdyby ciocia widziała Mruczka dwa tygodnie temu - rzekła Stella. - Wyglądał jak diabeł.

- Wątpię, czy diabeł jest taki brzydki - rzekła ciotka Jakubina w zamyśleniu - nie mógłby tak szkodzić ludziom. Ja osobiście wyobrażam sobie diabła jako przystojnego, eleganckiego młodzieńca.



## LIST OD TADZIA

- Dziewczęta, śnieg zaczyna padać! - oznajmiła Iza wróciwszy pewnego listopadowego wieczoru do domu. - Wszystkie ścieżki ogrodowe pokryte są już uroczymi, małymi gwiazdkami. Dopiero dzisiaj po raz pierwszy przekonałam się, że płatki śnieżne są naprawdę cudowne. Dotychczas nie miałam nigdy czasu zastanawiać się nad tym. Błogosławię was za to, żeście zechciały wziąć mnie do siebie. Z przyjemnością nawet martwię się, że masło zdrożało o pięć centów na funcie.

- Naprawdę zdrożało? - spytała Stella, która zajmowała się rachunkami gospodarskimi.

- Tak, moja droga. Masz tutaj swoje masło. Wprowadziłam się doskonale w robieniu zakupów. Doszłam do wniosku, że zakupy są o wiele miłą zabawą niż flirt - dodała Iza poważnie.

- Jakże to wszystko szybko drożeje - szepnęła z westchnieniem Stella.

- Nic nie szkodzi. Dzięki Bogu czyste powietrze i radość życia otrzymuje się jeszcze darmo - dorzuciła ciotka Jakubina.

- Śmiać się też można bez pieniędzy - wtrąciła Ania. - Dotychczas na śmiech nie ma jeszcze cennika i całe szczęście, bo za chwilę będziecie się musiały śmiać. Chciałam wam przeczytać list, który otrzymałam od Tadzia. Jego ortografia poprawiła się jakoś ostatnio, chociaż w zupełności jej jeszcze nie opanował. Mój pupilek posiada jednak niezwykle talent do pisania ciekawych listów. Posłuchajcie, a uśmiejecie się.

*Kochana Aniu - pisał Tadzio. - Biorę pióro, ażeby ci donieść, że Wszyscy jesteśmy zdrowi, czego i tobie życzymy. Dzisiaj pada trochę śnieg, Maryla mówi, że to stara Pani Zima wytrząsa w niebie pierzynę. Czy i Zima jest żoną Pana Boga? Muszę to wiedzieć, Aniu.*

*Pani Linde była naprawdę chora, ale teraz już się czuje lepiej. W zeszłym tygodniu spadła ze schodów do piwnicy. Spadając zatrzymała się o deskę, na której stoją garnki na mleko i rondle do duszenia mięsa, ale deska nie wytrzymała jej ciężaru i spadła z nią razem. Maryla sądziła, że to trzęsienie ziemi. Jeden garnek uderzył panią Linde w żebro. Zaraz posłaliśmy po doktora i doktor zapisał jej lekarstwo do smarowania, ale pani Linde nie zrozumiała widocznie, co mówił, bo całe lekarstwo wypiła, Lekarz potem mówił, że chyba cudem nie umarła. Pani Linde zawsze ma szczęście, bo nie tylko nie umarła, ale i wyleczyła sobie żebro. Później powiedziała, że doktorzy nie mają o niczym pojęcia. Tylko jeden garnek się zbił, więc Maryla musiała go wyrzucić. W zeszłym tygodniu było Święto Dziękczynienia,*

więc nie poszliśmy do szkoły i Maryla zrobiła doskonały obiad. Dostaliśmy pasztet, pieczonego indyka, placek z owocami, orzechy, ser, szynkę i tort czekoladowy. Maryla powiedziała, że jak zjem to wszystko, to na pewno umrę. Aleja nie umarłem. Tolę po obiedzie zabolalo ucho, ale przecież obiad nie poszedł do uszu, tylko do brzucha. Mnie tam uszy nie bolały.

Już nie mamy teraz nauczycielki, tylko nauczyciela, który jest bardzo śmieszny i wesoły. W zeszłym tygodniu zadał nam ćwiczenie o tym, jaką chcielibyśmy mieć żonę, a dziewczynkom, jakiego chciałyby mieć męża. Jak potem czytał te ćwiczenia, to mało nie pękł ze śmiechu. Ja napisał takie ćwiczenie:

„Jaką żonę chciałbym mieć.

Musi być dobrze wychowana, dobrze gotować i robić wszystko co ja będę chciał i zawsze być dla mnie uprzejma. Musi mieć piętnaście lat. Musi pomagać biednym i ciągle sprzątać w domu. Musi być dobra i musi chodzić co niedzielę do kościoła. Musi być ładna i mieć kręcone włosy. Jak dostanę żonę, to będę dla niej dobrym mężem. Uważam, że kobieta powinna być dobra dla swego męża. Wiem, że dużo biednych kobiet nie ma wcale mężów.

Koniec”.

W zeszłym tygodniu byłem w Białych Piaskach na pogrzebie pani Wright. Mąż trupa był bardzo zmartwiony. Pani Linde mówi, że dziadek pani Wright kradł owoce, ale Maryla powiada, że nie powinno się źle mówić o umarłych. Aniu, dlaczego się nie powinno? Chciałbym to wiedzieć. Przecież to zupełnie bezpieczne, prawda?

Pani Linde rozzłościła się na mnie, bo raz ją zapytałem, czy pamięta czasy Noego. Myślałem, że mi opowie, jak to wtedy było. Aniu, czy ona wtedy żyła?

Pan Harrison chciał się pozbyć swego psa, więc go raz powiesił, ale pies odżył i schował się w stodole, gdy pan Harrison kopał mu już dół w ogrodzie. Więc pan Harrison jeszcze go raz powiesił i tym razem już na śmierć. Pan Harrison ma nowego pastucha, który jest strasznie pokraczny. Pan Harrison uważa, że ten pastuch jest mańkutem na obydwie nogi. Pastuch pana Barry jest strasznie leniwy, tak mówi pani Barry, chociaż pan Barry mówi, że on wcale nie jest leniwy, tylko nie chce mu się pracować.

Świnia pani Andrews otrzymała nagrodę, ale nazajutrz zdechła. Pani Linde powiada, że to kara Boża spadła na panią Andrews za jej pychę. Ja jednak myślę, że tym razem Pan Bóg ukarał tylko świnię. Emilek Boutler był niedawno chory i

*doktor zapisał mu bardzo niesmaczne lekarstwo. Powiedziałem, że wezmę to lekarstwo za niego, jak mi da pięć centów, ale wiesz, jacy Boutlerowie są skąpi. Emilek powiedział, że woli sam wziąć lekarstwo i nie wydawać pieniędzy. Zapytałem panią Boutler, jak to się łapie męża. Strasznie się rozgniewała i powiedziała, że nie ma pojęcia, bo ona nigdy męża nie łapała.*

*K.M.A. znowu zaczęło malować Dom Ludowy. Widocznie znudził im się już ten niebieski.*

*Wczoraj wieczorem był u nas nowy pastor na herbacie. Połknął od razu aż trzy kawałki pasztetu. Gdybym ja tak zrobił, pani Linde powiedziałaby, że jestem żarłok, a on jadł bardzo prędko i prawie wcale nie mówił. Dlaczego Maryla zawsze się gniewa na mnie za to, że jem prędko? Dlaczego księżom wolno robić to, czego dzieciom nie wolno? Muszę to wiedzieć.*

*Poza tym nic nowego nie ma. Posyłam ci w tym liście sześć całusów.*

*Tola dołącza jednego.*

*Twój kochający Cię*

*Tadeusz Keith*

*P S. Aniu, kto był ojcem diabła? Muszę to wiedzieć.*

## PANNA JÓZEFINA PRZYPOMINA SOBIE ANIĘ

Nadeszły święta Bożego Narodzenia i dziewczęta rozjechały się do swych domów. W „Ustroniu Patty” została tylko ciotka Jakubina.

- Nie mogę przyjąć żadnego zaproszenia na święta, bo przecież nie zabiorę ze sobą aż trzech kotów - tłumaczyła. - Trudno zostawić biedne stworzenia na długie trzy tygodnie. Nawet porządnych sąsiadów nie ma w pobliżu, tylko sami milionerzy, a oni nie będą się chcieli zaopiekować kotami. Zostanę więc tutaj i będę pilnować waszego „Ustronia Patty”.

Ania wyjeżdżała z radosną nadzieją w duszy, lecz nadzieja ta niezupełnie się urzeczywistniła. W Avonlea panowała taka zima, jakiej najstarsi nawet mieszkańcy nie pamiętali. Zielone Wzgórze odcięte było od świata wysokimi zaspami śnieżnymi. Przez całe wakacje świąteczne trwały zawieje i nawet kilka ładnych dni słonecznych zepsuł wyjący ustawicznie wicher. Nie można było nadążyć z oczyszczaniem drogi, bo po godzinie śnieg zaczynał padać na nowo. Po prostu trudno było wydostać się z domu. K.M.A. trzy razy próbowało urządzić wieczornicę na cześć studentów redmondzkich, ale za każdym razem zrywała się taka straszna zawieja, że nikt nie mógł wyjść z domu, i wreszcie wieczornica się nie odbyła. Mimo całego przywiązania do Zielonego Wzgórza Ania często z tęsknotą wspominała „Ustronie Patty”, wesół ogień na kominku, dobrotliwe oczy ciotki Jakubiny, trzy ustawicznie walczące koty, wesołe śmiechy przyjaciółek i miłe wieczory piątkowe, które wypełniały już tradycyjne odwiedziny kolegów redmondzkich.

Na Zielonym Wzgórzu najbardziej dokuczała Ani samotność, bo Diana z powodu bronchitu przez całe święta nie opuszczała łóżka.

Ania także rzadko ją odwiedzała, gdyż zarówno dawna droga prowadząca przez Las Duchów, jak i druga biegnąca obok Jeziora Lśniących Wód były zupełnie nie do przebycia.

Ruby Gillis spała spokojnie na małym wiejskim cmentarzyku; Janka Andrews otrzymała posadę nauczycielki gdzieś w Zachodnich Preriach. Tylko Gilbert pozostał nadal wierny i co wieczór odwiedzał Zielone Wzgórze. Lecz obecnie wizyty Gilberta nie sprawiały Ani takiej przyjemności jak dawniej, a nawet rodziły w jej duszy jakiś lęk. Obawiała się czasem patrzeć Gilbertowi w oczy, bo dostrzegała w nich jakiś nieznany wyraz, który ją coraz bardziej mieszał. Poza tym, nie wiadomo dlaczego, rumieniła się ostatnio pod wpływem jego spojrzenia, zupełnie jakby... jakby spojrzenie jego odbierało jej równowagę. W „Ustroniu Patty” Ania nie była nigdy z

Gilbertem sama i łatwiej jej było zapanować nad tą trudną sytuacją, gdy tymczasem na Zielonym Wzgórzu Maryla starała się im nigdy nie przeszkadzać, a nawet zabierała zazwyczaj bliźnięta. Ania domyślała się, dlaczego Maryla podczas wizyt Gilberta wychodzi z pokoju, i to ją jeszcze bardziej gniewało.

Tylko Tadzio czuł się zupełnie szczęśliwy i co rano wybierał się z łopata na drogę, aby odgarnąć śnieg ze ścieżki wiodącej do studni i kurnika. W wolnych chwilach opychał się Przymakami, przygotowanymi na Boże Narodzenie, i czytał książkę wypożyczoną ze szkolnej biblioteki o jakimś wielkim bohaterze, który coraz to wpadał w jakieś straszne tarapaty, ale za każdym razem zwałło go albo trzęsienie ziemi, albo wybuch wulkanu. A ile razy w związku z tym wleciał w górę, tylekroć spadał w najbardziej niefortunnym miejscu: słowem - z każdej opresji wychodził cało.

- Mówię ci, Aniu, to bajeczna powieść! - wołał Tadzio z zapalem. - Lepsza nawet niż Biblia.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się Ania.

Tadzio spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Jak to, Aniu, ty się wcale nie oburzasz? Bo pani Linde bardzo się gniewała, gdy jej to powiedziałem.

- Wcale mnie to nie dziwi, Tadzio. Zupełnie zrozumiałe, że dziewięcioletni chłopiec woli czytać zajmujące historie niż Biblię. Jestem pewna, że jak dorośniesz, sam stwierdzisz, że Biblia jest cudowną książką.

- Pewnie, że niektóre miejsca są bardzo ładne. Chociażby to opowiadanie o Józefie. Wiesz, Aniu, że gdybym ja był Józefem, na pewno nie przebaczyłbym braciom. O, nie, moi państwo! Wszystkim bym poucinał głowy. Pani Linde i za to się na mnie gniewała. Zamknęła Biblię i powiedziała, że za karę nigdy mi już jej nie będzie czytać. Od tego czasu, jak pani Linde czyta w niedzielę Biblię, siedzę cichutko i tylko myślę sobie o rozmaitych rzeczach, a potem w poniedziałek opowiadam w szkole Emilowi Boutlerowi. Opowiadałem mu też o Elizie i niedźwiedziach, ale tak się przeraził, że już się nigdy nie śmieje z łysiny pana Harrisona. Aniu, czy są jakieś niedźwiedzie na Wyspie Księcia Edwarda? Chciałbym to wiedzieć.

- Teraz już nie ma - odpowiedziała Ania w zamyśleniu, bo wicher właśnie uderzył w szyby okienne nową lawiną śniegu. - Czyż ta zawieja nigdy nie ustanie?

- Bóg raczy wiedzieć - odparł Tadzio z powagą, zabierając się znowu do czytania.

Tym razem Ania się oburzyła.

- Tadziu! - zawołała surowo.

- Pani Linde zawsze tak mówi! - bronił się chłopiec. - Gdy Maryla w zeszłym tygodniu zapytała, czy Ludwik Speed i Teodora Dix zostaną mężem i żoną, pani Linde odpowiedziała: „Bóg raczy wiedzieć!” I ja tak samo powtórzyłem.

- Bardzo źle, że tak powiedziała - rzekła Ania. - Imienia boskiego nie powinno się wymieniać przy każdej błahostce. Ty, Tadziu, nigdy tego nie rób.

- A jak ja będę mówił wolno i uroczyście jak pastor? - zapytał Tadzio lekko.

- Nawet tak nie wolno ci go wymieniać.

- Dobrze, będę o tym pamiętał. Ludwik Speed i Teodora Dix mieszkają w Grafionie, a pani Linde mówi, że on się do niej zaleca już od stu lat. Aniu, czy oni przypadkiem nie będą za starzy do małżeństwa? Jestem pewien, że Gilbert nie będzie się tak długo do ciebie zalecał. Aniu, kiedy weźmiecie ślub ze sobą? Pani Linde mówi, że to na pewno nastąpi.

- Pani Linde jest... - zaczęła Ania porywczo, ale nagle umilkła.

- ...wstrętna, stara plotkarka - dokończył Tadzio spokojnie. - Wszyscy tak o niej mówią. Ale, Aniu, czy to wasze małżeństwo jest pewne? Chciałbym to wiedzieć.

- Głupi z ciebie chłopiec, Tadziu! - zawołała Ania i natychmiast wyszła z pokoju.

W kuchni panował już prawie zupełny mrok i nikogo w niej nie było, więc Ania usiadła w zacisznym kąciaku pod oknem. Słońce dawno już zaszło, a wiatr przestał dąć z taką siłą. Błada tarcza księżyca wynurzała się spoza ciężkich, ołowianych chmur wiszących na horyzoncie. Niebo już ciemniało, ale na zachodzie przeświecała złotawa wstęga, która coraz bardziej promieniała, jakby wszystkie zagubione blaski skupiały się w tym jednym miejscu. Widoczne w dali wzgórza porośnięte jodłami stały wyniosłe wśród ogarniającego świat zmroku. Ania zapatrzyła się w dal poprzez ciche, martwe pole i westchnęła. Poczula się dziwnie samotna, ogarnął ją smutek. Zastanawiała się, czy na przyszły rok będzie mogła jeszcze jechać do Redmondu. Stypendium było zbyt małe, aby mogło wystarczyć na utrzymanie przez całą zimę. Od Maryli także nie chciała brać pieniędzy, a trudno, aby podczas wakacji zdołała zarobić na wszystkie zimowe wydatki.

„Będę musiała na przyszły rok zrezygnować z dalszych studiów i znowu zostać nauczycielką, aż zarobię tyle, by móc skończyć uniwersytet - myślała ze smutkiem. - Tymczasem wszyscy moi koledzy dostaną dyplomy i »Ustronie Patty« będzie się musiało obyć beze mnie. Trudno, trzeba się pogodzić z losem. Powinnam dziękować Bogu, że zawsze potrafię zarobić na to, co mi potrzeba”.

- Pan Harrison idzie - usłyszała nagle głos Tadzia, który wsunął się niepostrzeżenie do kuchni. - Zdaje się, że niesie pocztę. Już od trzech dni nie dostaliśmy żadnego listu.

Istotnie, w poczcie, przyniesionej przez pana Harrisona, znajdowały się listy od Stelli, Priscilli i Izy, których wesoła treść poprawiła szybko humor Ani. Ciotka Jakubina pisała także, komunikując, że stale opala mieszkanie, że koty są zdrowe i że kwiaty w doniczkach doskonale się rozwijają.

*Zrobiło się tak mroźno - pisała - że pozwoliłam kotom sypiać w mieszkaniu. Mruczek i Zyzio śpią na kanapie w bawialni, a Kot Sabiny śpi ze mną w łóżku. Często w nocy budzę się i słuchając jego mruczenia, myślę o mojej biednej córce w dalekich, nieznanym krajach. Gdyby ona była w innym kraju, a nie w Indiach, nie martwiłabym się tak, ale powiadają, że w Indiach są straszne węże. Mruczenie Kota Sabiny odpędza ode mnie myśli o wężach. Bardzo lubię zwierzęta, ale wężów nienawidzę. Nie wiem w ogóle, po co je Pan Bóg stworzył. Często wątpię, czy to w ogóle Pan Bóg uczynił, i zdaje mi się, że to diabeł maczał w tym ręce.*

Na samym końcu Ania wzięła do ręki mały arkusik papieru zapis maszynowym pismem. Gdy go przeczytała, łzy zakręciły jej się oczach.

- Aniu, co się stało? - zawołała Maryla.

- Panna Józefina Barry nie żyje - odparła Ania cichutko.

- Więc jednak umarła - szepnęła Maryla. - Od roku chorowała i codziennie spodziewano się wiadomości o jej śmierci. Dzięki Bogu, że przestała nareszcie cierpieć. Do ciebie była bardzo przywiązana.

- Do ostatniej chwili, Marylo. Właśnie ten list jest od jej adwokata. Panna Józefina zapisała mi w testamencie tysiąc dolarów.

- Boże święty! - zawołał Tadzio. - To przecież strasznie dużo pieniędzy. To pewnie ta sama pani, na którą oboydwie z Dianą wskoczyłyście, gdy leżała w łóżku w gościnnym pokoju. Diana kiedyś mi opowiadała tę historię. Czy dlatego zapisała ci tyle pieniędzy?

- Tadziu, cicho bądź - szepnęła Ania łagodnie.

Z prawdziwym smutkiem poszła do swego pokoju, gdy tymczasem Maryla i pani Linde poczęły obszernie omawiać tę niewesołą nowinę.

- Czy Ania teraz wyjdzie za mąż? - zapytał w pewnej chwili Tadzio. - Bo jak Dora Sloane wychodziła w zeszłym roku za mąż, to mówiła, że gdyby miała dużo pieniędzy, wolałaby nigdy za mąż nie wychodzić. Ale znowu, skoro była biedną, lepiej

już było wyjść za wdowca z ośmiorgiem dzieci niż przez całe życie kłócić się z bratową.

- Tadek, uspokój się! - zawołała surowo pani Małgorzata. - Taki mały chłopiec jak ty nie powinien wyrażać się w tak skandaliczny sposób!



## PRZYGRYWKA

- I pomyśleć tylko, że dzisiaj przypada dwudziesta rocznica moich urodzin i że zaczynam już dźwigać na barkach trzeci krzyżyk - rzekła Ania siedząc na dywanie przed kominkiem i trzymając Mruczka na kolanach.

W bawialni była oprócz Ani tylko ciotka Jakubina, bo Stella z Priscillą poszły na jakieś zebranie, a Iza ubierała się w swoim pokoju.

- Widzę, że żałujesz minionych lat - uśmiechnęła się ciotka Jakubina. - Dwudziestka to taki piękny wiek. Na szczęście, ja ze swym usposobieniem nigdy jej nie przekroczyłam.

Ania zaśmiała się głośno.

- I na pewno nigdy jej ciocia nie przekroczy. Nawet jak skończy ciocia sto lat, to zawsze będzie się czuła młodo. Tak, słusznie, żal mi minionych lat. Panna Stacy mówiła mi kiedyś, że gdy dojdę do dwudziestki, charakter „mój” będzie już zupełnie ukształtowany. Jednakże ja osobiście zupełnie tego nie czuję, bo mam wrażenie, że jestem jeszcze ogromnie chwiejna.

- To tak zawsze bywa! - zawołała ciotka Jakubina wesoło. - I mój charakter nie był w młodości całkowicie ukształtowany. Widocznie ta Panna Stacy chciała powiedzieć, że gdy skończysz dwadzieścia lat, będziesz już umiała wytknąć sobie jakąś linię życia, po której będziesz szła nadal. Ale ty się tym nie przejmuj. Powinnaś tylko spełnić swój obowiązek wobec Boga, siebie i bliźnich i jak najwięcej używać życia. Ta moja filozofia zawsze mi wychodziła na dobre. A dokąd to Iza idzie dzisiaj wieczorem?

- Na zabawę taneczną. Postanowiła włożyć najpiękniejszą swą suknię - kremową jedwabną, z pajęczymi koronkami. Ten kolor ogromnie podkreśla jej śniadą cerę.

- Coś dziwnie miłego zawierają słowa „jedwab” i „koronki”, prawda? - zapytała ciotka Jakubina. - Gdy ktoś mówi o jedwabiu, czuję, że nogi mimo woli poruszają mi się do tańca. A do tego jeszcze jedwab kremowy! Zaraz przychodzi mi na myśl wspaniała suknia, utkana ze słonecznych promieni. Zawsze marzyłam o kremowej jedwabnej sukni, ale ani moja matka, ani mój mąż nawet słyszeć o tym nie chcieli. Jak się dostanę do nieba, to muszę sobie sprawić suknię z kremowego jedwabiu.

Ania wybuchnęła głośnym śmiechem, lecz w tej samej chwili do bawialni wbiegła Iza w swym cudownym stroju i poczęła przeglądać się w dużym lustrze wiszącym na ścianie.

- W tym lustrze wyglądam przynajmniej jako tako! - zawołała. - Nie tak jak w

lusterku w moim pokoju, w którym jestem zupełnie zielona. Aniu, ładnie wyglądam?

- Czy ty sobie w ogóle zdajesz sprawę z tego, jak piękna jesteś, Izo?! - zawołała Ania ze szczerym podziwem.

- Owszem. Od czegoś są lustra i mężczyźni? Ale co innego chciałam powiedzieć. Czy suknia dobrze leży? Czy nie lepiej byłoby przypiąć tę trochę niżej? Chciałam ją przypiąć na ramieniu, ale nie lubię, jak mnie coś łechce w ucho.

- Wyglądasz cudownie, a ten twój dołeczek na policzku dodaje ci jeszcze więcej uroku.

- Aniu, jeszcze bardziej kocham cię za to, że nie masz w sobie ani cienia zazdrości.

- Dlaczego miałyby być zazdrosna? - zapytała ciotka Jakubina. - Może nie jest taka piękna jak ty, ale za to ma o wiele piękniejszy nos.

- To prawda - przyznała Iza.

- Ten nos był dla mnie zawsze wielką pociechą - uśmiechnęła się Ania.

- Bardzo lubię twoje włosy, a zwłaszcza ten mały loczek nad czołem, wyglądający na to, że lada chwila spadnie, ale jakoś nie spada. Mój nos był zawsze powodem mego wielkiego zmartwienia. Jestem pewna, że w czterdziestym roku życia będę zupełnie podobna do rodziny Byrne'ów. Wyobrażasz sobie, Aniu, jak ja wtedy będę wyglądać?

- Jak stara, zamężna matrona - odparła Ania z przekorą.

- Nieprawda - oburzyła się Iza siadając wygodnie na fotelu w oczekiwaniu na swoje towarzystwo. - Zyziu, potworze jeden, nie wezmę cię dzisiaj na kolana! Cała suknia oblezie mi kocią sierścią. Nie, Aniu, nie chcę wyglądać jak stara matrona, chociaż bardzo pragnę wyjść za mąż.

- Za Alka czy za Alonza? - uśmiechnęła się Ania.

- W każdym razie za któregoś z nich, jeżeli kiedykolwiek wreszcie się zdecyduję - westchnęła Iza.

- Czy to tak trudno się zdecydować? - zapytała ciotka Jakubina.

- Już taka się urodziłam, ciociu, i nic mnie już chyba od tego niezdecydowania nie uchroni.

- W twoim wieku, Izo, powinnaś być już bardziej zrównoważona.

- Zupełnie słusznie - przyznała Iza - ale równowaga zabija jednocześnie wszelką przyjemność. Gdyby ciocia знаła Alka i Alonza, sama ciocia powiedziałaby, że trudno jest uczynić wybór. Obaj są naprawdę bardzo przystojni.

- Wobec tego powinnaś szukać kogoś trzeciego - uśmiechnęła się ciotka Jakubina. - Chociażby ten student, Will Leslie, on ci jest naprawdę bardzo oddany, a przy tym ma wyjątkowo ładne oczy.

- Trochę za duże i za łagodne! - zawołała Iza kapryśnie.

- A co powiesz o Jerzym Parkerze?

- Wygląda stale, jakby kij połknął.

- Ale Markowi Holworthy nic przecież nie możesz zarzucić!

- Z nim byłoby wszystko w porządku, gdyby był trochę bogatszy. Ciocia wie, że muszę mieć bogatego męża. Uważam, że do małżeństwa potrzebne są dwie rzeczy: majątek i uroda. Na przykład, gdyby Gilbert Blythe był bogaty, na pewno bym się ani chwili nie zastanawiała.

- O, istotnie? - zapytała Ania trochę z przekąsem.

- Wolisz nie słyszeć o tym, chociaż Gilbert nic cię nie obchodzi - żartowała Iza. - Ale nie poruszajmy przykrych tematów. Prędzej czy później będę musiała wyjść za mąż, wolę jednak tę ewentualność odsunąć jeszcze trochę.

- Nie możesz przecież zostać żoną człowieka, którego nie kochasz - oburzyła się ciotka Jakubina.

- Ach, takie staroświeckie zasady nie są już dziś modne! - rzuciła Iza żartobliwie. - O, powóz właśnie zajechał! Muszę już lecieć. Bądźcie zdrowe, moje przedpotopowe niewiasty!

Po wyjściu Izy ciotka Jakubina spojrzała znacząco na Anię.

- Ładna z niej i miła dziewczyna, a przy tym ma dobre serce, ale w głowie stanowczo coś nie jest w porządku, Aniu.

- Nie, ciociu, jest na pewno w porządku, tylko ona tak sobie plecie - powiedziała Ania usiłując ukryć uśmiech.

Ciotka Jakubina potrząsnęła przecząco głową.

- Chciałabym w to uwierzyć, boją bardzo lubię. Ale zupełnie nie mogę jej zrozumieć - ta jej paplanina działa mi na nerwy. Zupełnie nie jest podobna do tych wszystkich dziewcząt, które znałam, ani też do żadnej z tych, którymi byłam... ja sama we własnej wyobraźni.

- Więc ciocia była aż kilkoma dziewczętami?

- O, prawie tuzinem, kochanie!

## GILBERT ZACZYNA MÓWIĆ

- Jakiż to był długi i nudny dzień - ziewnęła Iza rozciągając się na kozetce i odganiając natarczywe koty.

Ania podniosła głowę znad „Klubu Pickwicka”, którym raczyła się po ukończeniu wiosennych egzaminów.

- Dla nas był nudny, a dla niektórych pewno cudowny - odparła w zadumie. - Niektórzy ludzie dzisiaj właśnie osiągnęli największe szczęście. Gdzieś może został napisany jakiś poemat, gdzie indziej znów urodził się wielki człowiek lub dokonano bohaterskiego czynu. Prawdopodobnie także właśnie dzisiaj niejedno serce zostało złamane.

- Po co tym ostatnim zdaniem psujesz pięknie rozpoczętą myśl? - wyszeptała Iza. - Nie lubię słuchać o takich niemiłych rzeczach jak złamane serca.

- A czy sądzisz, że ciebie właśnie te wszystkie niemiłe rzeczy ominą?

- Oczywiście że nie, bo przecież i teraz ciągle się z nimi stykam. Nawet natarczywość Alka i Alonza dręczy mnie już od dawna.

- Bo ty nie patrzysz na życie poważnie, Izo.

- A po co mam patrzeć poważnie? Niech inni to robią. Tacy ludzie, jak ja, też są na świecie potrzebni, choćby po to, by zabawiali innych. Świat byłby straszny, gdyby się składał tylko z poważnych ludzi. Ja pragnę roztaczać wokół wdzięk i blaski! Przyznaj teraz, czy życie w „Ustroniu Patty” nie było zeszłej zimy jaśniejsze i przyjemniejsze dlatego, że ja tu byłam z wami i rozruszałam was?

- To prawda - przyznała Ania.

- Wszystkie mnie lubicie, polubiła mnie nawet ciotka Jakubina, chociaż zawsze mówi, że jestem niezrównowazona. Więc po co mam się zmieniać? Och, jakże mi się chce spać! Wczoraj do pierwszej w nocy czytałam jakąś fascynującą historię o duchach. Potem bałam się wyjść z łóżka, aby zgasić światło. Gdyby nie Stella, na pewno światło paliłoby się do rana. Dopiero usłyszawszy kroki Stelli na korytarzu, zawołałam ją i poprosiłam, żeby zgasiła światło. Sama za nic w świecie bym nie wstała, bo miałam wrażenie, że mnie coś złapie za nogę. Aniu, czy ciotka Jakubina zdecydowała już wreszcie, co będzie robić latem?

- Tak, chce zostać tutaj. Wiem, że robi to tylko przez te przekłete koty, chociaż usiłuje mi wytłumaczyć, że zbyt kłopotliwe byłoby zakładanie własnego gospodarstwa, a nie lubi siedzieć u nikogo na karku.

- Co czytasz, Aniu?

- „Klub Pickwicka”.

- Zawsze przy tej książce jestem głodna - rzekła Iza. - Ciągłe tam mówią o jedzeniu. Wszyscy bohaterowie zajadają stale szynkę, jajka i popijają ponczem. Zazwyczaj po przeczytaniu jednego rozdziału muszę się trochę posilić. Ale właśnie przypomniało mi się, że jestem w tej chwili śmiertelnie głodna. Znajdzie się coś do zjedzenia w spiżarni, Królowo Aniu?

- Przygotowałam dziś rano doskonały pasztet. Możesz zjeść kawałek.

Iza wybiegła spieszenie z pokoju, a Ania postanowiła przejść się trochę po sadzie w towarzystwie Mruczka. Mimo wczesnej wiosny wieczór był prześliczny. Śnieg jeszcze nie wszędzie znikł, całe jego płaty, gdzieniegdzie pociemniałe, leżały na drodze prowadzącej do parku, pod świerkami chroniącymi je od kwietniowego słońca. W niektórych miejscach jednak zaczynała się już zielenić trawa. Nagle w otwartej furcie ukazał się Gilbert. Trzymał w ręku kilka bladych, wczesnych kwiatów, które znalazł po drodze.

Siedząc na murku okalającym ogród, Ania spoglądała na nagie gałęzie drzew malujące się wyraźnie na tle bladoczerwonego zachodu słońca i na chwilę zatonała w głębokim zamyśleniu. Ujrawszy Gilberta idącego w jej stronę zmarszczyła niechętnie brwi. Ostatnio unikała wszelkiego sam na sam z dawnym swym przyjacielem. Teraz jednak nie mogła temu zapobiec, bo nawet Mruczek zeskoczył z jej kolan i pobiegł szybko do domu.

Gilbert usiadł na murku tuż przy niej i podał jej trzymane w ręku kwiaty.

- Aniu, czy te kwiaty nie przypominają ci naszych dawnych zabaw, gdyśmy jeszcze chodzili do szkoły?

Ania wzięła je w ręce i zanurzyła w nich twarz.

- W tej chwili przenoszę się myślą na ugory pana Sloane'a - odparła z zachwytem.

- Za kilka dni będziesz tam już naprawdę.

- Dopiero za dwa tygodnie, bo najpierw jadę z Izą do Bolingbroke. Ty będziesz w Avonlea przede mną.

- Nie spędzę w tym roku lata w Avonlea. Zaproponowano mi posadę w redakcji „Nowin Codziennych” i mam zamiar ją przyjąć.

- O! - zawołała Ania obojętnie, ale przyszło jej na myśl, że smutno będzie latem bez Gilberta. - Bardzo słusznie - stwierdziła po chwili.

- Umyślnie starałem się o to, bo będę mógł zebrać sobie trochę Pieniędzy na

przyszły rok.

- Nie powinienes się zbytnio przemęczać - szepnęła Ania nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co mówi. Odczuwała w tej chwili desperackie pragnienie, aby Iza jak najprędzej przyszła do ogrodu. - Przez całą zimę i tak dużo się uczyłeś. Jaki dzisiaj śliczny wieczór, prawda? Wyobraź sobie, że rano znalazłam kilka fiołków pod tamtym drzewem. Zdawało mi się, że odkryłam kopalnię złota.

- Ty stale odkrywasz kopalnie złota - szepnął Gilbert, tak jakby i on w tej chwili zajęty był innymi myślami.

- Może poszukamy jeszcze fiołków - zaproponowała Ania porywczo. - Zawołam Izę, żeby nam pomogła.

- Zostaw w spokoju Izę i fiołki - przerwał Gilbert ujmując jej dłoń, która drżała nieco. - Aniu, muszę ci coś powiedzieć.

- O, proszę cię, nie mów! - zawołała Ania błagalnie.

- Muszę. Dłużej nie wytrzymam. Aniu, przecież ja cię kocham! Chyba wiesz o tym. Nie umiem ci nawet powiedzieć, jak bardzo cię kocham. Przyrzeknij mi, że zostaniesz moją żoną.

- Nie mogę... - szepnęła Ania. - Och, Gilbercie, przecież ty - ty sam wszystko popsujesz...

- Czy ja cię w ogóle choć trochę obchodzę? - zapytał Gilbert po długiej chwili przykrego milczenia, podczas której Ania nie śmiała podnieść oczu.

- Tak, ale całkiem inaczej. Obchodzisz mnie jak przyjaciel. Ale ja cię nie kocham, Gilbercie.

- Jednak może się to kiedyś zmieni?

- Nie, nie wiem! - zawołała Ania tłumiąc łzy. - Chyba cię nigdy nie pokocham w ten sposób. Lepiej nie mówmy o tym.

Nastąpiła znowu chwila milczenia i Ania odważyła się wreszcie podnieść w górę głowę. Twarz Gilberta była śmiertelnie blada, a w oczach... Ania zadrżała i odwróciła się w inną stronę. Nigdy chyba nie zdoła zapomnieć wyrazu tych oczu.

- Może kochasz kogoś innego? - rzucił Gilbert przytłumionym szeptem.

- Nie, nie - odparła Ania szybko. - Ciebie lubię najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie, Gilbercie. Ale musimy zostać tylko przyjaciółmi.

Gilbert roześmiał się z goryczą.

- Przyjaciółmi! Niestety, twoja przyjaźń mi nie wystarcza. Ja pragnę twojej miłości, ty jednak twierdzisz, że nigdy jej nie zdobędę.

- Bardzo mi przykro, Gilbertcie. Przebacz mi.

Na więcej Ania nie mogła się zdobyć. Gdzież się podziały te wszystkie wspaniałe przemowy, które stosowała w dawnych swych dziewczęcych marzeniach do odtrąconych konkurentów? Gilbert uwolnił jej dłoń ze swego uścisku.

- Nie ma tu nic do przebaczenia. Widocznie myliłem się sądząc, że masz dla mnie trochę więcej uczucia. Bądź zdrowa, Aniu!

Ania wbiegła do swego pokoju i zaszywszy się w głęboki fotel, wybuchnęła płaczem. Czuła, że w jej życiu zabrakło czegoś bardzo drogiego. To była oczywiście przyjaźń Gilberta. Dlaczego musiała utracić ją w- taki sposób?

- Co ci się stało, Aniu?! - zawołała Iza wbiegając do pokoju.

Ania nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Pragnęła tylko, aby Iza jak najszybciej wyszła i zostawiła ją w zupełnej samotności.

- Zdaje się, że dałaś kosza Gilbertowi.

Muszę ci powiedzieć, że jesteś bardzo głupiutka, moja Królowo Aniu.

- Czyż głupotą jest odrzucić propozycję człowieka, którego się nie kocha? - rzuciła Ania chłodno.

- Bo nie znasz miłości. Wyimaginowałaś sobie coś niezmiernie i jesteś pewna, że właśnie to jest miłość. Po raz pierwszy w życiu wypowiedziałam takie mądre zdanie. Aż mnie to dziwi, że zdołałam się na nie zdobyć.

- Izo - szepnęła Ania - proszę cię, zostaw mnie teraz samą. Całe moje dotychczasowe życie stało się ruiną. Muszę je na nowo odbudować.

- Bez Gilberta? - zapytała Iza wychodząc z pokoju.

„Życie bez Gilberta! - powtarzała Ania z głębokim smutkiem. - Czyż nie będzie ono ponure, monotonne i samotne?” Ale to przecież była tylko jego wina. To on zrujnował ich piękną przyjaźń. Trzeba się teraz nauczyć żyć bez niego.

## WCZORAJSZE RÓŻE

Dwa tygodnie pobytu w Bolingbroke upłynęły jak jedna chwila, jednak od czasu do czasu odczuwała dziwny żal myśląc o Gilbercie. Na szczęście, myśli te nawiedzały ją rzadko, bo po prostu miała na to bardzo niewiele czasu. Rezydencja Gordonów, nosząca nazwę „Mount Holly”, odwiedzana była stale przez grono licznych przyjaciół Izy. Iza organizowała niemal codziennie przejażdżki, tańce, zabawy i wycieczki łódką, w których oczywiście zazwyczaj brali udział Alek i Alonzo, tak że nawet Ania zastanawiała się nad tym, czy ci obydwaj młodzieńcy poświęcili się tylko zawodowi ubiegania się o Izę. Obydwaj byli istotnie przystojni i nawet Ani trudno było powiedzieć, który z nich mógł się lepiej bać.

- A ja byłam pewna, że ty wreszcie zdecydujesz, którego z nich mam wybrać - żaliła się Iza.

- Sama musisz dokonać wyboru. Wiem, że w stosunku do innych dziewcząt doskonale umiesz udzielać tego rodzaju rad - odparła Ania z odrobiną ironii.

- Bo to zupełnie coś innego - przyznała Iza ze szczerością. Podczas swego pobytu w Bolingbroke Ania odwiedziła miejsce swego urodzenia - mały, żółty domek na odległej ulicy, o którym kiedyś często marzyła. Patrzyła nań z zachwytem, gdy obie z Izą weszły do bramy.

- Zupełnie tak samo go sobie wyobrażałam - szepnęła. - Tylko powojów nie ma nad oknem, ale przy furtce rośnie za to cudowny krzak bzu, a okna przysrajają bieluteńkie firanki. Ogromnie się cieszę, że właśnie ten domek pomalowano na żółto.

Otworzyła im drzwi wysoka, szczupła kobieta.

- Tak, dwadzieścia lat temu mieszkali tu Shirleyowie - odparła na zapytanie Ani. - Dom ten wynajęli wówczas od właściciela. Pamiętam ich doskonale. I on, i ona umarli na febrę, osierocając jedyne swoje maleństwo. Przypuszczam, że dziecko także umarło, bo było bardzo chorowite. Po śmierci rodziców zabrali je państwo Thomas, którzy własnych dzieci nie mieli.

- Widzi pani, że żyję jeszcze - uśmiechnęła się Ania - bo to ja właśnie jestem dzieckiem Shirleyów.

- Co pani mówi? Ależ pani wyrosła! - zawołała kobieta, nie wierząc własnym oczom. - Proszę, niech panie wejdą, chciałabym przyjrzeć się pani bliżej. Teraz dopiero widzę szalone podobieństwo. Ma pani cerę ojca, włosy także miał rude. Oczy i usta zupełnie przypominają matkę, zresztą była kiedyś bardzo ładna. Moja córka chodziła do jej szkoły i była w niej po prostu zakochana. Rodzice pani pochowani



zostali w jednej mogile, a okoliczni nauczyciele wystawili im bardzo ładny pomnik. Proszę, niechże panie wejda.

- Czy pani pozwoli mi obejrzeć dom? - zapytała Ania.

- Oczywiście. Jeżeli to pani sprawi przyjemność... Łatwo go można obejrzeć, bo jest bardzo nieduży. Ustawicznie męczę swego męża, żeby wybudował nową kuchnię, lecz on się jakoś nie śpieszy. Tu jest salonik, a tam na górze dwa pokoje. Może pani wszystko dokładnie obejrzeć, ja tymczasem muszę zajrzeć do dziecka. Wiem tylko, że pani się urodziła w pokoju wychodzącym na wschód, bo pamiętam, że matka pani lubiła patrzeć na wschód słońca. Kiedyś nawet mówiła mi, że urodziła się pani o świcie i od razu po pani przyjściu na świat padł na pani twarzyczkę blask pierwszych słonecznych promieni.

Po wąskich schodkach wbiegła Ania do małego pokoiku położonego od wschodu, z sercem przepelnionym uczuciem dziwnego rozrzewnienia. Pokoik ten wydał jej się teraz świątynią. Tutaj jej matka przeżyła pierwsze chwile swego macierzyństwa. Tu w chwili narodzin zajrzało purpurowe światło wschodzącego słońca, tu wreszcie matka umarła. Ania rozejrzała się po pokoju z oczyma pełnymi łez. Była to jedna z tych cudownych chwil, których się nigdy w życiu nie zapomina.

- I pomyśleć tylko, że w dniu moich urodzin matka moja była młodsza, niż ja jestem teraz - wyszeptała.

Schodząc z góry, spotkała w sieni panią domu, która podała jej mały Pakiecik, przewiązany wyblakłą, błękitną wstążeczką.

- To są listy, które znalazłam, gdy się wprowadziłam do tego domu. Treści ich nie znam, ale jeden list jest zaadresowany do panny Berty Willis, a zdaje się, że tak brzmiało panieńskie nazwisko pani matki. Uważam, że Pakiecik ten słusznie należy się pani.

- O, dziękuję pani, dziękuję! - zawołała Ania chwytając pakieciki z radością.

- To było wszystko, co tutaj znalazłam - rzekła po chwili gospodyni. - Meble sprzedano, aby zapłacić lekarzowi, suknie zaś i drobiazgi, należące do pani matki, zabrała pani Thomas. Przypominam sobie, że nie przetrwały długo u Thomasów. Zniszczyli je prędko.

- Nie została mi żadna pamiątka po mojej matce - szepnęła Ania tłumiąc łzy. - Nie wiem, jak się pani odwdzięczę za te listy.

- Powiedziałam już, że słusznie się pani należą. Boże święty, ależ oczy ma pani zupełnie podobne do oczu matki. Ojciec także był bardzo miłym człowiekiem. Kiedy

się pobrali, wszyscy mówili, że to chyba najbardziej zakochana para, jaką kiedykolwiek widziano. Ale niedługo cieszyli się tym szczęściem. W każdym razie życie ich było niby promienna gwiazda, która nagle zgasła.

Ania z niecierpliwością oczekiwała chwili, kiedy będzie mogła nareszcie przeczytać owe stare, pożółkłe listy. Przedtem jednak udała się na stary cmentarz i na grobie swych rodziców złożyła z czcią pęk białego kwiecia.

Znalazszy się wreszcie w Mount Holly, zamknęła się w swoim pokoiku i drżącymi palcami zaczęła przerzucać ukochane pamiątki. Niektóre listy pisane były przez ojca, inne znów przez matkę. Było ich wszystkich niewiele, gdyż Walter i Berta Shirley rzadko się z sobą rozstawali podczas swego krótkiego małżeństwa. Z pożółkłych kartek wiało prawdziwą serdeczną miłością i obopólnym zaufaniem. Matka Ani posiadała widocznie nie dar pisania listów, bo po dwudziestu latach czytało się je jak wzniosły, pełen uroku poemat. Najbardziej podobał się Ani list napisany po jej urodzeniu do ojca, który był chwilowo poza domem. Z listu tego, w którym młoda matka zdawała relację z mądrości i tysiącznych uroków swego dziecka, przebijała prawdziwa macierzyńska duma i radość.

*Jest śliczna, gdy śpi, ale jeszcze ładniejsza, gdy się budzi* - brzmiał dopisek Berty Shirley. Najprawdopodobniej było to ostatnie zdanie, jakie napisała w swym życiu. Jego kres był już tak blisko.

- Dzisiaj przeżyłam najpiękniejszy dzień w moim życiu - rzekła Ania tego wieczoru do Izy - bo odnalazłam moich rodziców. Dzięki tym listom stali się oni dla mnie istotami realnymi. Przestałam być sierotą. Zdaje mi się w tej chwili, że otworzyłam książkę i znalazłam między kartkami wczorajsze róże - pełne słodczy, ukochane.

## **ANIA WRAZ Z WIOSNĄ POWRACA NA ZIELONE WZGÓRZE**

Przez otwarte okno płynęło do kuchni na Zielonym Wzgórzu chłodne jeszcze powietrze wiosennego wieczoru, a na jasnych ścianach odbijał się blask ognia, tworząc jakieś fantastyczne kwiaty. Maryla siedziała przy ogniu zajęta robieniem pończoch dla bliźniąt, lecz myślami była daleko, w krainie marzeń, co jej się teraz coraz częściej zdarzało.

- Widocznie się starzeję - uśmiechała się do samej siebie.

Wygląd i usposobienie Maryli podczas ostatnich dziewięciu lat uległy wielkiej zmianie. Schudła jeszcze bardziej, włosy ciągle tak samo upięte dwiema szpilkami w węzeł prószły się siwizną, ale wyraz twarzy był o wiele młodszy i weselszy. Częściej pojawiał się teraz na jej ustach uśmiech, a w oczach od czasu do czasu zapalał się płomyk łagodnej czułości.

Maryla rozmyślała o minionych latach i o najdawniejszym swym dzieciństwie. Przypomniła sobie okres swych zazdrośnie skrywanych marzeń dziewczęcych, późniejsze lata monotonnego życia, wypełnionego pracą, nagłe przybycie Ani, która wniosła do domu iskierkę wesela i beztroski, swój bogaty świat wyobraźni i atmosferę ciepłego uczucia, promieniującego na wszystkich wokoło. Chwilami Maryla miała wrażenie, że właściwie żyła tylko podczas tych ostatnich dziewięciu lat, to jest od dnia przybycia Ani na Zielone Wzgórze. Siedząc tak przy ogniu cieszyła się myślą, że jutro wieczorem Ania powróci do domu.

Nagle drzwi się otworzyły, Maryla była przekonana, że to pani Linde, a tymczasem stała przed nią Ania z oczyma roziskrzonymi radością i z Pękiem konwalii i fiołków w ręku.

- Ania! - zawołała Maryla uradowana.

Po raz pierwszy w życiu przyłapano ją właśnie w chwili największego rozmarzenia. Nie namyślając się dłużej, chwyciła swoją dziewczynkę w objęcia i przycisnęła mocno do piersi, całując serdecznie jej jasne włosy i zaróżowioną twarzyczkę.

- Byłam pewna, że przyjedziesz dopiero jutro wieczorem. Jakże się dostałaś z Carmody?

- Przyszłam pieszo. Jutro rano pocztylion przywiezie mi rzeczy. Ogarnęła mnie taka tęsknota za domem, że postanowiłam zjawić się o dzień wcześniej. Prześliczny miałam spacer, toteż zatrzymywałam się po drodze i zbierałam konwalie. W Dolinie Fiołków spędziłam także krótką chwilę - pełno już jest fiołków, wiesz? Powąchaj,

Marylo, jak pachną.

Maryla zanurzyła twarz w pęku wonnego kwiecica, lecz wyraźnie bardziej była uradowana widokiem Ani niż zapachem fiołków.

- Siadaj, dziecino, musisz być bardzo zmęczona. Zaraz, ci przygotuję kolację.

- Księżyc cudnie zachodzi za pagórkami, a żaby rechotały mi przez całą drogę. Strasznie lubię melodię żab, bo przypomina mi ona najprzyjemniejsze wieczory wiosenne za czasów dzieciństwa, a i ten wieczór, kiedy tu po raz pierwszy przybyłam. Marylo, czy ty go jeszcze pamiętasz?

- Oczywiście - odparła Maryla cicho - i na pewno nigdy go nie zapomnę.

- Właśnie wtedy żaby rechotały głośno w naszym stawie. Słuchałam ich melodii z okna mego pokoiku i przychodziło mi na myśl, że chwilami melodia ta jest wesoła, chwilami znów przepojona prawdziwym smutkiem. Strasznie się cieszę, że znowu jestem w domu. Wprawdzie bardzo lubię Redmond, a w Bolingbroke było bardzo miło, ale Zielone Wzgórze to - mój dom.

- Podobno Gilbert tego lata nie przyjedzie do Avonlea - rzekła w pewnej chwili Maryla.

- Nie.

W tonie Ani było coś takiego, co Marylę zdziwiło. Spojrzała badawczo na swą wychowanekę, lecz Ania w tej chwili właśnie stała ze spuszczoną głową, zajęta układaniem fiołków w wazonie.

- Zobacz, jakie piękne - rzekła pośpiesznie. - Rok kalendarzowy to jest wielka księga życia. Wiosenne stronice zapisane są konwalia i fiołkami, letnie różami, jesienne czerwonymi liśćmi klonu, a zimowe jodłą świerkiem.

- Jak Gilbertowi poszedł egzamin? - spytała znów Maryla.

- Doskonale! Został prymusem w swojej klasie. A gdzie bliźnięta i pani Linde?

- Małgorzata z Tolą poszły do pana Harrisona. Tadzio jest u Boutlerów. Mam wrażenie, że już idzie.

Istotnie wpadł Tadzio, a ujrzawszy Anię, zatrzymał się jak skamieniały u progu, po czym rzucił się ku niej z okrzykiem radości.

- Aniu, jak to dobrze, żeś przyjechała! Wyobraź sobie, od jesieni urosłem o dwa cale. Pani Linde dzisiaj mnie mierzyła. Poza tym wypadł mi przedni żąb. Właściwie pani Linde go wyrwała, bo przywiązała go nitką, a drugi koniec nitki przytwierdziła do klamki. Oczywiście, jak drzwi zamknęła, żąb wyleciał. Sprzedałem go potem za dwa centy Emilce, bo on zbiera zęby.

- A na co mu to? - spytała Maryla.

- Chce zrobić sobie naszyjnik z zębów, żeby wyglądać jak prawdziwy Indianin - objaśnił Tadzio sadowiac się na kolanach Ani. - Ma już piętnaście zębów. Zawsze mówiłem, że Boutlerowie to doskonali kupcy.

- A czy u pani Boutler byłeś grzeczny? - spytała surowo Maryla.

- Tak, ale mam już dosyć tej grzeczności.

- Myślę, Tadzio, że niegrzeczność prędzej by ci się sprzykrzyła - wtrąciła Ania.

- Ale zawsze potem można żałować, a to sprawia pewną przyjemność - odparł Tadzio.

- Żal nie wystarcza, Tadzio, trzeba potem przyjąć zasłużoną karę. Czy pamiętasz tę niedzielę, kiedy to nie poszedłeś do kościoła? Sam powiedziałeś mi później, że nie opłaca się być niegrzecznym. Coście dzisiaj robili z Emilkiem?

- Łowiliśmy ryby, goniliśmy kota i wybieraliśmy gniazdka ptasie. Potem nasłuchiwaliliśmy echa. Za stodołą Boutlerów jest bajeczne echo. Aniu, co to jest echo? Chciałbym się dowiedzieć.

- Echo to mała boginka mieszkająca daleko w lasach i śmiejąca się ze świata.

- A jak ona wygląda?

- Ma ciemne włosy i oczy, a szyję i ramiona białe jak śnieg. Ludzie nie mogą jej ujrzeć, bo umyka tak szybko jak jelen. Znamy ją tylko z jej złudnego głosu. Głos ten słyszy się w nocy i rano, ale samej boginki nigdy się nie widzi. Gdy ją gonisz, ucieka i jeszcze wyśmiewa się z ciebie.

- Aniu, czy to jest prawda, czy to tylko taka bujda? - zapytał Tadzio i zamyśleniu.

- Przecież jesteś dość rozsądny - odparła Ania łagodnie - by odróżnić bajkę od kłamstwa.

- W takim razie, powiedz mi, co się tak odzywa za stodołą Boutlerów? - nalegał Tadzio.

- Wyjaśnię ci wszystko, jak dorośniesz.

Widocznie słowa te wywarły na Tadziou jakieś specjalne wrażenie, bo po chwili namysłu oznajmił uroczyście:

- Wiesz, Aniu, ja bym się chciał ożenić...

- Kiedy? - zapytała Ania zupełnie poważnie.

- Jak będę dorosły.

- Oczywiście, Tadzio. A kto jest twoją wybranką?

- Stella Fletcher. Jest w tej samej klasie co ja i uważam ją za najładniejszą dziewczynkę w całej Avonlea. Gdybym umarł, nim jeszcze się z nią ożenię, ty musisz się nią zaopiekować, Aniu.

- Tadek, przestań pleść głupstwa! - zawołała Maryla surowo.

- To wcale nie są głupstwa - zaprotestował Tadzio. - Przecież obiecała, że zostanie moją żoną, a jak umrę, będzie wdową. Oprócz starej babki nie ma nikogo na świecie.

- Aniu, siadaj do kolacji - rzekła Maryla. - Lepiej nie słuchać tych wszystkich bredni.

## JAŚ NIE MOŻE ODNALEŹĆ SKALNEGO LUDKU

Lato w Avonlea upływało bardzo przyjemnie, mimo to Ania w chwilach najweselszych zabaw pochmurniała nagle, jak gdyby tęskniąc za czymś, czego nie było, a co być powinno tuż obok, blisko... Jednakże nawet w myślach nie przyznawała się przed sobą, że powodem tego smutku była jedynie nieobecność Gilberta. Tylko gdy samotnie powracała do domu z jakiegoś przyjęcia albo z któregoś z zebrań K.M.A., a inne pary szły szerokim gościńcem wesoło gawędząc - odczuwała dziwny, wewnętrzny ból, którego nawet nie potrafiłaby wytłumaczyć. Zupełnie biernie przyjmowała głuche milczenie Gilberta, była przecież przygotowana na to, że nie będzie do niej pisywał. Wiedziała, że Diana od czasu do czasu otrzymywała od Gilberta listy, ale wolała na ten temat nie zadawać przyjaciółce żadnych pytań. Diana przecież była pewna, że Ania bardzo często koresponduje z przyjacielem. Tylko matka Gilberta, wesoła, szczerą kobietą, nie posiadającą zbyt wiele taktu, często wprawiała Anię w zakłopotanie, pytając ją przy wszystkich, czy miała jakąś wiadomość od Gilberta. W takich wypadkach Ania rumieniła się tylko i odpowiadała cichutko: „Miałam, ale nie ostatnio”; oczywiście odpowiedź tę wszyscy kładli na karb dziewczęcej wstydlivosti.

Mimo wszystko Ania nie mogła tego lata narzekać na brak rozrywek. W czerwcu przyjechała Priscilla, a po jej wyjeździe pojawili się w Avonlea państwo Irving, Jaś i Karolina Czwarta.

W Chatce Ech poczęły rozbrzmiewać znowu wesołe śmiechy, które powtarzało wielokrotnie echo nad rzeką i w ogrodzie.

Panna Lawenda nie zmieniła się prawie zupełnie, może tylko wypiękniała i uśmiech częściej gościł na jej twarzy. Jaś ją ubóstwiał i przyjemnie było patrzeć na ten ich przyjacielski stosunek.

- Ale nie mówię do niej „mamo” - zwierzył się Jaś Ani. - Tak można mówić tylko do własnej mamusi, a do obcych ludzi nie wolno. Pani mnie rozumie, prawda? Nazywam ją „mamą Lawendą” i z wyjątkiem najbardziej kocham na świecie. Nie wiem nawet, czy nie kocham jej więcej od pani.

- Tak właśnie powinno być - odparła Ania poważnie. Jaś miał już trzynaście lat i natura nie poskąpiła mu wzrostu. Odznaczał się wyjątkowo pięknymi oczami i wybujałą wyobraźnią, która poddawała się elastycznie wrażeniu każdego nowego przejawu życia. Często oboje z Anią urządzali dalsze wycieczki do lasu, w pole i na wybrzeże. Byli zawsze - jak mówił Jaś - „bratnimi duszami”.

Karolina Czwarta stała się teraz dorosłą dziewczyną. Włosy upinała w wielki

węzeł, chociaż nie dodawało to uroku jej piegowatej twarzy, spłaszczonemu nosowi i szerokim ustom, które wydawały się jeszcze szersze w wesołym uśmiechu.

- Ale nie nabrałam chyba amerykańskiego akcentu, panno Shirley? - pytała Anię z niepokojem.

- Ja osobiście nie zauważyłam tego, Karolino.

- Strasznie się cieszę. Podobno tam, w Bostonie, mówiłam bardzo dziwnie, ale teraz podejrzewam, że mi tylko chciano tym dokuczyć. Za nic w świecie nie chciałam mieć amerykańskiego akcentu, chociaż jankesi nic mi złego nie zrobili i muszę przyznać, że to naprawdę cywilizowani ludzie. Jednakże Wyspa Księcia Edwarda jest mi zawsze najbardziej droga i bliska.

Podczas pierwszych dwóch tygodni Jaś mieszkał w Avonlea u swej babki, starej pani Irving. Gdy Ania spotkała go, od razu pierwszego wieczora zwierzył jej się, że chciałby się wybrać na wybrzeże i odszukać Norę, Złotą Panią i Braci - Żeglarzy. Po prostu nie mógł się doczekać końca kolacji, bo był pewien, że nimfa Nora czeka go z utęsknieniem na szczycie skały. Lecz gdy po godzinie wrócił z wybrzeża, twarz miał smutną i patrzył na świat realniej.

- No jakże, odnalazłeś swój Skalny Ludek? - zapytała Ania. Jasio potrząsnął przecząco głową.

- Złota Pani i Bracia - Żeglarze wcale już nie przyszli - odparł. - Tylko Nora była, ale jakaś zmieniona...

- Jasiu, to ty się zmieniłeś - rzekła Ania. - Dla Skalnego Ludku jesteś już za dorosły, bo on tylko z dziećmi potrafi się bawić. Lękam się, że Bracia - Żeglarze nie przyplyną już do ciebie w swojej perłowej łodzi, pchanej żaglem utkanym z księżycowych promieni. Złota Pani także nigdy ci już nie zagra na swej złocistej harfie. Wątpię nawet, czy Norę będziesz widywał. Trudno, musisz ponosić konsekwencje tego, że jesteś dorosły, i opuścić raz na zawsze krainę bajek.

- Słyszę, że obydwójce wróciliście do dawnych bredni - wtrąciła babcia Irving pobłażliwie i karcąco zarazem.

- O, nie - odparła Ania potrząsając głową z powagą. - Właśnie staliśmy się zbyt mądrzy i żal nam tego. Jesteśmy nieszczerzy od chwili, gdy nas nauczono, że mowę natura dała człowiekowi po to, aby mógł głębiej ukrywać swe myśli.

- Moim zdaniem, mowa jest właśnie do wyrażania myśli - odparła babcia Irving z dobrotliwym uśmiechem.

Pierwszą połowę sierpnia spędziła Ania w Chatce Ech. Podczas tego pobytu



usiłowała wywrzeć wpływ na Ludwika Speeda, który, zdaniem jej, zbyt długo przewlekał swe zaloty w stosunku do Teodory Dix. W tym samym czasie u państwa Irving gościł Arnold Sherman, stary ich przyjaciel, który jednak nie przyczyniał się zupełnie do ogólnego wesołego nastroju.

- Miłe było lato - rzekła pewnego dnia Ania. - Po pobycie tutaj czuję się naprawdę odświeżona. Za dwa tygodnie będę znowu w Redmondzie i w „Ustroniu Patty”. Nie ma pani pojęcia, pani Lawendo, jaki to bajeczny zakątek. Często myślę o tym, że mam właściwie dwa domy, jednym jest Zielone Wzgórze, a drugim - „Ustronie Patty”. To lato jednak niesłychanie szybko minęło. Wydaje mi się, że to wczoraj zjawiłam się tutaj z pękiem fiołków i konwalii. Tylko w dzieciństwie wszystkie pory roku zdają się ciągnąć w nieskończoność. Potem, gdy człowiek dorasta, okres letni wydaje się króciutką, szybko przeczytaną bajką.

- A czy z Gilbertem Blythe jesteś tak samo zaprzyjaźniona jak dawniej? - zagadnęła panna Lawenda.

- Zawsze zostanę przyjaciółką Gilberta, panno Lawendo - odpowiedziała Ania.

Panna Lawenda potrząsnęła niespokojnie głową.

- Ale, Aniu, tam się coś zepsuło. Wybacz mi, że jestem taka niedyskretna i że cię zapytam o przyczynę. Czyście się posprzecziali?

- Nie, tylko Gilbert żądał ode mnie czegoś więcej niż przyjaźni, a ja, niestety, darzę go uczuciem tylko przyjacielskim.

- Aniu, czy jesteś tego pewna?

- Najzupełniej.

- Ogromnie mi przykro.

- Ciekawa jestem, dlaczego wszyscy uważają, że powinnam zostać żoną Gilberta? - szepnęła Ania w zamyśleniu.

- Bo tworzyście idealną parę. Nie gniewaj się, Aniu, że ja tak myślę. Ale to prawda.

## NA WIDOWNIĘ WSTĘPUJE JERZY

*Prospect Point, 20 sierpnia*

*Droga Aniu - pisała Iza. - Usiłuję szeroko otworzyć oczy, żeby napisać do Ciebie obszerny list. Tego lata zaniedbywałam Cię bardzo, kochanie, ale pociesz się, że wszystkich moich znajomych spotkało to samo. Od dzisiaj postanowiłam odpowiadać na listy, które otrzymałam podczas tego lata. Oczywiście najpierw piszę do Ciebie, chociaż w tej chwili jestem ogromnie senna. Wczoraj wieczorem byłam z kuzynką Emilią u sąsiadów. Gdy wszyscy goście wyszli, gospodyni z trzema córkami poczęły ich strasznie obgadywać. Przyszło mi zaraz na myśl, że po naszym wyjściu i nas spotka ten sam los. Po powrocie do domu dowiedziałyśmy się od pani Liii, że pastuch tej właśnie sąsiadki choruje na szkarlatynę. Pani Liii jest specjalistką od udzielania takich nieprzyjemnych wiadomości. Ogromnie się boję szkarlatyny i naturalnie tej nocy nie mogłam wcale zasnąć. W chwilach krótkiej drzemki nawiedzały mnie przykre sny. O trzeciej w nocy obudziłam się, czując gorączkę i ból gardła. Byłam przekonana, że zaraziłam się szkarlatyną. Natychmiast zajrzałam do książki lekarskiej kuzynki Emilii, aby się dowiedzieć, jakie są objawy tej okropnej choroby. Wszystkie te objawy właśnie miałam. Z rozpaczą wróciłam do łóżka i smacznie zasnęłam. Dziś rano czułam się zupełnie dobrze, więc doszłam do wniosku, że to jednak nie jest szkarlatyna. Wątpię zresztą, czy od wczorajszego wieczoru choroba mogłaby się tak rozwinąć. Teraz, podczas białego dnia, zaczynam już rozumować, ale wśród nocnych ciemności najprzykrzejsze myśli przychodzą człowiekowi do głowy.*

Prawdopodobnie dziwisz się, że jestem w Prospect Point. Otóż ojciec nalega zawsze, abym choć jeden miesiąc podczas lata spędziła nad morzem, i wysłała mnie do pierwszorzędnego pensjonatu swej kuzynki w Prospect Point. Przyjechałam tutaj dwa tygodnie temu. Jak zwykle przywiózł mnie ze stacji wuj Marek Miller swoim staroświeckim powozikiem. Wuj Marek jest szalenie miłym staruszkiem i dał mi podczas drogi garść czerwonych cukierków miętowych. Miętówki sprawiają na mnie wrażenie słodczy mających pewien związek z religią, bo jak byłam jeszcze małą dziewczynką, babcia Gordon częstowała mnie zawsze miętówkami w kościele. Pamiętam, że kiedyś zapytałam nawet, czy miętówki pachną świętością. Miętówek wuja Marka wolałam nie jeść, bo wyjął je przy mnie z kieszeni razem z kilku zardzewiałymi gwoździami. Nie mogłam jednak robić mu przykrości, więc od czasu do czasu wyrzucałam je pojedynczo na drogę. Gdy już nie miałam ani jednej, wuj Marek

zauważył to i rzekł troskliwie: „Panno Izo, nie wolno zjadać od razu wszystkich słodczy, gotowa się pani rozchorować”.

*Oprócz mnie w pensjonacie kuzynki Emilii mieszka jeszcze pięć osób, cztery starsze panie i jeden młodzieniec. Z prawej strony sąsiaduje ze mną pani Lili, która lubuje się w opowiadaniu o swych dolegliwościach i najróżnorodniejszych chorobach. Gdy się tylko wymieni nazwę jakiejś choroby, ona zaraz kiwa głową i mówi z ubolewaniem: „Ach, doskonale to znam”. Potem oczywiście wylicza wszelkie objawy. Jerzy opowiada, że pewnego razu w obecności pani Lili wspomniał o „ataksji ruchowej”, a ot naturalnie orzekła, że i to zna doskonale. Twierdzi, że przez dziesięć lat na to chorowała i że wyleczenie zawdzięcza jakiemuś znachorowi.*

*Któż to jest Jerzy? - zapytasz. Bądź cierpliwa, Aniu. W odpowiedniej chwili i na odpowiednim miejscu dowiesz się o nim wszelkich szczegółów. Bo przecież nie mogę go mieszać ze starszymi paniami.*

*Sąsiadką moją z lewej strony przy stole jest pani Phinney, która mówi zawsze drżącym głosem i ma się wrażenie, że za chwilę łzy popłyną z jej oczu. Zdawać by się mogło, że życie jej jest naprawdę padłem płaczu, a uśmiech to tylko chwilowa lekkomyślność. Ta pani ma o mnie jeszcze gorsze zdanie niż ciotka Jakubina.*

*W rogu stołu, na lewo ode mnie, siedzi panna Maria Grimsby. Gdy pierwszego dnia zwróciłam się do panny Marii z uwagą, że według mnie zbiera się na deszcz, ona roześmiała się głośno bez słowa. Gdy powiedziałam, że droga prowadząca ze stacji jest bardzo ładna, też się roześmiała. Kiedy zauważyłam, że w Prospect Point jest dużo moskitów, znowu się roześmiała. Takim samym śmiechem zareagowała wreszcie, gdy powiedziałam, że w Prospect Point jest ładnie jak zawsze. Jestem pewna, że przyjęłaby również śmiechem wiadomość, że ojciec mój się powiesił, matka otruła, a brat siedzi w więzieniu. Widocznie z tym śmiechem już się urodziła, ale mnie to wyprowadza z równowagi.*

*Trzecią starszą panią jest pani Grant, miła, kochana staruszka. Jest jednak ogromnie nieciekawa w rozmowie, bo o wszystkich wyraża się jak najlepiej.*

*A teraz kolej na Jerzego.*

*Natychmiast po przyjeździe tutaj ujrzałam naprzeciwko przy stole pewnego młodzieńca, który na powitanie uśmiechnął się do mnie tak przyjacielsko, jakby mnie znał od urodzenia. Wuj Marek wyjaśnił mi, że ten młodzieniec nazywa się Jerzy Blake i jest studentem teologii w St. Columbia. W tym roku zaangażowano go*

do kościoła misyjnego w Prospect Point.

Jerzy jest brzydki, po prostu uważam go za najbrzydszego mężczyznę, jakiego widziałam w życiu. Ma szalenie długie nogi i bardzo niezgrabną figurę. Włosy jego przypominają len, oczy ma zielonkawe, usta szerokie, a uszy... wolę o jego uszach nie myśleć.

Jedyną jego zaletą jest miły głos - jak zamknie się oczy, można go uwielbiać - i niezwykle porządny charakter. Bardzo prędko staliśmy się przyjaciółmi, bo on ukończył uniwersytet redmondzki, mamy zatem dużo wspólnych spraw do omówienia. Chodziliśmy razem na ryby, a wieczorem na spacer przy świetle księżyca. W nocy Jerzy jest nawet zupełnie ładny. Oczywiście starsze panie, z wyjątkiem pani Grant, nie lubią Jerzego, bo jest wesoły i zawsze woli być w moim niż w ich towarzystwie.

Aniu, nie wiem dlaczego, ale pragnę, żeby Jerzy nie uważał mnie za trzpiotkę. To bardzo dziwne. Nie rozumiem, dlaczego obchodzi mnie to, co myśli o mnie ten lnianowłosy Jerzy.

Zeszłej niedzieli Jerzy wygłosił kazanie w miejscowym kościele. Oczywiście i ja poszłam do kościoła, ale nie mogło mi się pomieścić w głowie, że Jerzy wkrótce będzie pastorem. Kazanie trwało dziesięć minut, a ja przez ten czas czułam się dziwnie mała i niepozorna. Podczas kazania Jerzy nie mówił nic o kobietach i ani razu nawet na mnie nie spojrzał. Właśnie w owej chwili zdałam sobie sprawę, jaką jestem lekkomyślną i płytką i że nie mam nic wspólnego z kobiecym ideałem Jerzego. Kobieta, którą Jerzy by pokochał, musiałaby być prawdopodobnie bardzo szlachetna i posiadać dużo silnej woli. Jednocześnie pomyślałam o tym, że podczas kazania Jerzy wydał mi się całkiem ładny, a wyraz jego oczu był wyjątkowo natchniony. Wyglądał tak, jak pastor powinien wyglądać. Nie mogłam się sobie nadziwić, dlaczego uważałam go za brzydkiego - a jest brzydki naprawdę! - z tymi oczami, w których maluje się natchnienie, z tymi brwiami, które nadają jego twarzy myślący wyraz. Było to wspaniałe nabożeństwo. Mogłabym go słuchać bez końca. Czułam się jednak strasznie marnym stworzeniem. Zapragnęłam wtedy stać się podobną do Ciebie, Aniu.

W powrotnej drodze do domu Jerzy podszedł do mnie, jak zwykle uśmiechając się wesoło, ale ten jego uśmiech wydał mi się jakoś zupełnie inny. Ujrzałam teraz prawdziwego Jerzego i zaczęłam się zastanawiać, czy on kiedykolwiek ujrzy prawdziwą Izę, której nawet Ty, Aniu, nigdy nie widziałaś.

*„Jerzy - szepnęłam, zapominając nazwać go panem Blake. - Jerzy, jest pan stworzony na duchownego. Nie wyobrażam sobie pana jako kogo innego”.*

*„To prawda - odparł Jerzy z uśmiechem. - Sam długo zastanawiałem się nad tym, bo właściwie nie chciało mi się być pastorem. Ale wreszcie doszedłem do wniosku, że widocznie Pan Bóg przeznaczył mi ten zawód”.*

*Mówił to głosem bardzo cichym i od razu zrozumiałam, że swe obowiązki będzie spełniał należycie. Zaczęłam zazdrościć kobiecie, którą on wybierze sobie na żonę. Na pewno ta kobieta będzie miała silną wolę i zawsze potrafi się zdecydować, który kapelusz ma włożyć, bo będzie miała w ogóle tylko jeden. Pastorowie rzadko bywają bogaci. Ale żona Jerzego będzie tak szczęśliwa, że pieniądze nie będą miały dla niej żadnego znaczenia.*

*Aniu, nie myśl przypadkiem, że się zakochałam w Jerzym Blake. Bo czymże może być dla mnie taki ubogi, brzydki teolog jak Jerzy? Nawet wuj Marek twierdzi, że to by było nieprawdopodobne.*

*A teraz dobranoc.*

*Twoja Iza*

*P.S. Właściwie to jest niemożliwe, ale lękam się, że to prawda. Jestem zarazem szczęśliwa i zrozpaczona. Przeczuję w głębi duszy, że on nigdy nie zwróci na mnie większej uwagi. Jak sądzisz, Aniu, czy mogłabym kiedyś zostać stateczną pastorką?*

*I. G.*

## KSIĄŻĘ Z BAJKI

- Nie wiem, co mam z sobą począć - mówiła Ania spoglądając przez okno „Ustronia Patty” na wierzchołki oddalonych sosen. - Mam zupełnie wolne popołudnie, ciociu Jakubino. Czy mam je spędzić tutaj przy wesołym ogniu na kominku, wśród woni rumianych jabłek, w towarzystwie mruczących kotów i uroczych porcelanowych psów z zadartymi zielonymi noskami, czy wybrać się do parku, dokąd wzywają mnie wierzchołki poszarzałych drzew i spienione fale, rozbijające się o nadbrzeżne skały?

- Gdybym była w twoim wieku, wybrałabym bezwzględnie przechadzkę po parku - odparła ciotka Jakubina, lechcąc żółte ucho Zyzia drutem od pończoch.

- Myślałam, że ty, ciociu, uważasz się za taką młodą jak my wszystkie - żartowała Ania.

- Tylko dusza jest młoda, bo nogi już od dawna zaczynają mi odmawiać posłuszeństwa. Aniu, idź trochę na świeże powietrze, ostatnio bardzo mizernie wyglądasz.

- To chyba pójdę do parku - odparła Ania niespokojnie. - Nie mogę dzisiaj usiedzieć w domu. Czuję potrzebę ruchu. W parku na pewno i tak jest pusto, bo przecież wszyscy wybrali się na mecz piłki nożnej.

- A dlaczego ty nie poszłaś?

- Nikt mnie nie zaprosił, a właściwie nikt oprócz tego okropnego małego Dana Rangera. Z nim nie poszłabym za skarby świata, nie chcąc jednak sprawić mu przykrości, wytłumaczyłam, że nie lubię zawodów piłkarskich. Zresztą rzeczywiście nie mam dzisiaj na to ochoty.

- Więc przejdź się trochę po parku - radziła ciotka Jakubina. - Weź jednak parasolkę, bo zanoszą się na deszcz. Mój reumatyzm wyjątkowo mi dziś dokucza.

- Ciociu, przecież reumatyzm mają tylko starzy ludzie.

- Na reumatyzm w nogach uskarżają się nawet bardzo młodzi ludzie, moja Aniu. U starych reumatyzm zazwyczaj rzuca się na duszę. Moja dusza, dzięki Bogu, jest zupełnie zdrowa. Jak kiedyś w życiu reumatyzm zaatakował ci duszę, powinnaś natychmiast zamówić sobie trumnę.

Był już listopad - okres purpurowych zachodów słońca, odlatujących ptaków, zawodzących śpiewów fal morskich i głośniego wycia wichru w konarach sosen. Ania spacerowała po alejach parku, pragnąc, jak twierdziła, by wiatr wygnał mgły z jej duszy. Takich „mgieł” dotychczas nie знаła - przyniósł je dopiero okres trzeciego roku studiów na uniwersytecie.

Pozornie tryb życia w „Ustroniu Patty” nie uległ żadnej zmianie. Co tydzień w piątek wieczorem duża bawialnia wypełniona była gośćmi i rozbrzmiewała wesołymi śmiechami. Codziennie rano Iza otrzymywała listy od Jerzego i co wieczór wysyłała mu odpowiedź. Na ogół wszyscy mieszkańcy „Ustronia Patty” darzyli Jerzego ogromną sympatią, tylko jedna ciotka Jakubina twierdziła, że studentów teologii nie można brać poważnie pod uwagę.

- Może być bardzo miły - mówiła Izie - ale, moim zdaniem, duchowny powinien być poważny i myśleć tylko o swoich obowiązkach religijnych.

- Więc kapłanowi nie wolno się nawet uśmiechnąć! - oburzała się Iza.

- Kapłan nie jest świeckim człowiekiem - karciła ją ciotka Jakubina. - Ty sama wiedząc o tym, nie powinnaś flirtować z panem Blake.

- Ja wcale z nim nie flirtuję - broniła się Iza.

Ale oprócz Ani nikt w to nie wierzył. Ogólnie uważano, że Iza i tym razem zajęta jest tylko chwilowo nowym konkurentem, i prawie wszyscy potępiali jej postępowanie.

- Pan Blake nie należy do typu takich młodzieńców jak Alek i Alonzo - tłumaczyła jej Stella. - Ta twoja zabawa może go unieszczęśliwić.

- Więc sądzisz, że aż do tego stopnia jest mną zajęty? - pytała Iza drżącym głosem. - Dałby Bóg, żeby się twoje przepowiednie spełniły.

- Izo, nie sądziłam, że nie posiadasz ani odrobiny uczucia. Jak możesz mówić, że cieszyłabyś się, gdybyś go mogła unieszczęśliwić?

- Tego nie powiedziałam, kochanie. Słuchaj uważnie moich słów. Mówię tylko, że byłabym niezmiernie zadowolona, gdyby był mną aż tak zajęty. Wiedziałabym przynajmniej wówczas, że mam na niego wpływ.

- Zupełnie cię nie rozumiem, Izo. Zawracasz mi głowę nie mając żadnych poważnych zamiarów.

- Pragnę doprowadzić do tego, żeby mi się oświadczył - odparła Iza tajemniczo.

- Nigdy nie dojdę z tobą do ładu - szepnęła Stella z niechęcią. Od czasu do czasu, podczas piątkowych przyjęć, zjawiał się także Gilbert. Pozornie nie tracił dobrego humoru i na równi z innymi sypał żartami jak z rękawa. Nie starał się przebywać w towarzystwie Ani, ale też wcale jej nie unikał. Gdy chwilami znajdowali się obok siebie, prowadził z nią uprzejmą, obojętną rozmowę, jakby była zupełnie nową, daleką jego znajomą. Zdawać się mogło, że ze starej przyjaźni nie pozostało już ani śladu. Ania wyraźnie to czuła, lecz wmawiała w samą siebie, że żywi za to dla

Gilberta ogromną wdzięczność. Dotychczas była pewna, że wówczas, w ogrodzie, zraniła go dotkliwie swą odmową i że rana ta nie zagoi się szybko w jego sercu. Teraz doszła do wniosku, że widocznie Gilbert już dawno o tym wszystkim zapomniał. Poza tym z miłości nikt jeszcze nie umarł, czyli i w tym wypadku nie groziło Gilbertowi żadne niebezpieczeństwo. Interesował się zresztą jak dawniej życiem towarzyskim, w nauce był tak samo ambitny i pilny. Widocznie posiadał już takie usposobienie, że nie usychał z rozpaczy dlatego, że jakaś młoda dziewczyna nie obdarzyła go uczuciem. Często nawet, przysłuchując się jego wesołym rozmowom z Izą, Ania zaczynała się zastanawiać, czy istotnie Gilbert był nią kiedyś tak bardzo zajęty.

Co prawda, coraz częściej znajdowali się młodzi ludzie, którzy chętnie zajęliby wakujące miejsce Gilberta. Jednakże Ania spoglądała na wszystkich tych kandydatów wyniośle. Powiedziała sobie, że jeśli wymarzony książę nie pojawi się w jej życiu, to zastępcy wcale nie pragnie. I teraz właśnie, spacerując po pustym parku, usiłowała utwierdzić się w tym mniemaniu.

Przepowiednia ciotki Jakubiny spełniła się istotnie, bo nagle spadł rześisty deszcz i Ania, otworzywszy parasolkę, poczęła biec wąską aleją parkową. Znalazłszy się na ulicy portowej, przystanąła na chwilę, lecz nagle silny podmuch wiatru wyrócił na drugą stronę trzymaną przez nią parasolkę. Anię ogarnęła rozpacz.

- Czy mogę pani służyć swoim parasolem?

Ania podniosła głowę. Przed nią stał ucieleśniony bohater jej marzeń wysoki piękny o głębokich, wymownych oczach i melodyjnym, miłym głosem. Doprawdy nie mógłby bardziej przypominać wymarzonego ideału, gdyby nawet miał on być wykonany na zamówienie.

- Dziękuję panu! - odpowiedziała zmieszana.

- Przejdźmy do tego małego pawilonu - zaproponował nieznajomy. - Jestem pewien, że deszcz za chwilę przestanie padać. Taka ulewa nie może trwać długo.

Wypowiedział to takim tonem i z takim uśmiechem, że Ania uczuła przyśpieszone kołatanie serca.

Szybkim krokiem dotarli do pawilonu i zadyszani usiedli obok siebie na małej ławeczce. Z wesołym uśmiechem Ania przyglądała się swemu odwróconemu parasolowi.

- Zawsze gdy parasol mi się odwraca, dochodzę do wniosku, że martwe przedmioty też nie są pozbawione pewnej dozy złośliwości - szepnęła po chwili, śmiejąc się.



Pod wpływem wilgoci złocistoczerwonawe jej loki poczęły się więc dokoła czoła i szyi. Na policzkach wykwitł promienny rumieniec, a szare oczy błyszczały nieugaszoną młodością. Nieznajomy spoglądał na nią z podziwem, a ona mimo woli rumieniła się pod siłą jego wzroku. Któż to mógł być? Zauważyła, że miał w butonierce biało-czerwoną wstążeczkę redmondzką. Była pewna, że zna z widzenia wszystkich studentów, oczywiście oprócz nowicjuszów, ale ten miły nieznajomy na pewno nie był nowicjuszem.

- Widzę, że jesteście kolegami - rzekł młodzieniec spoglądając na taką samą wstążeczkę Ani. - Jest to zupełnie wystarczający powód do zawarcia znajomości. Nazywam się Robert Gardner, a domyślam się, że pani jest ową panną Shirley, która na ostatnim wieczorze filomackim czytała Tennysona.

- Owszem, ale zupełnie pana nie pamiętam - przyznała Ania szczerze. - Na którym kursie pan jest?

- Zasadniczo mam wrażenie, że nie jestem na żadnym. Dwa lata temu, po ukończeniu dwóch kursów, przerwałem studia z powodu wyjazdu do Europy. Teraz wróciłem i zamierzam skończyć uniwersytet.

- To i ja jestem na trzecim roku - rzekła Ania.

- Czyli jesteście kolegami nawet z tego samego kursu. Zostałem więc wynagrodzony za stratę tych dwóch lat - odrzekł jej towarzysz ze znaczącym wyrazem w prześlicznych oczach.

Deszcz padał przez całe pół godziny, które Ani wydały się jedną krótką chwilą. Wreszcie ołowiane chmury ustąpiły miejsca blademu błękitowi i wątle listopadowe słońce rzuciło na ziemię pęk swoich złocistych promieni. Ania z nowym swym znajomym skierowała się w stronę „Ustronia Patty”. Chwilę jeszcze stali przed bramą, po czym nowy znajomy zapytał czy może Anię odwiedzić. Oczywiście otrzymał pozwolenie. Ania wbiegła do domu z rozpalonymi policzkami i bijącym sercem. Nawet Mruczka, który wskoczył jej zaraz na kolana, odegnała niechętnie, tak była przepojona myślą o romantycznym spotkaniu.

Tego samego wieczoru do „Ustronia Patty” zgłosił się posłaniec z pękiem wspaniałych róż i bilecikiem do panny Shirley. Iza przeczytała ukradkiem nazwisko i kilka poetycznych słów napisanych na bileciku.

- Robert Gardner! - zawołała. - Nie wiedziałam, że znasz Roberta Gardnera.

- Poznałam go dzisiaj podczas deszczu w parku - pośpieszyła Ania z wyjaśnieniem. - Parasolka moja wywróciła się nagle i on, przechodząc ulicą,

zaofiarował mi swój parasol.

- No - odrzekła Iza i spojrzała na Anię podejrzliwie - wątpię, czy tylko z powodu takiego prozaicznego wypadku przysyła ci teraz te piękne róże z piękniejszym jeszcze wierszem. Nie rumień się, Aniu, bo ten rumieniec cię zdradza.

- Nie pleć głupstw, Izo. A czy znasz pana Gardnera?

- O nim tylko słyszałam, ale znam jego siostry. Zresztą wszyscy go tu znają ze słyszenia. Gardnerowie należą do jednej z najbogatszych rodzin „Sinonosów”, a Robert jest bardzo piękny i mądry. Przed dwoma laty matka jego ciężko zachorowała i musiał z nią wyjechać; ojciec ich nie żyje. Wydawało mi się, że musiało być mu przykro opuszczać Redmond po dwóch latach studiów, ale podobno wyjechał bez żalu. Teraz powrócił i będzie zapewne dalej studiował. Wiesz, Aniu, czuję w powietrzu woń przyszłego flirtu. Jestem nawet trochę zazdrosna, ale tylko trochę, bo przecież Robert Gardner to jednak nie Jerzy.

- Niemądra jesteś! - zawołała Ania dumnie.

Ale gdy wreszcie znalazła się w łóżku, długo leżała wśród ciemności z otwartymi oczami. Chwilami przychodziło jej na myśl, że na drodze jej życia pojawił się wreszcie prawdziwy książę z bajki. Wspominając cudowne, duże oczy Roberta, które spoglądały na nią tak głębokim wejrzeniem, utwierdzała się w mniemaniu, że to on właśnie jest tym wymarzonym księciem.

## KRYSTYNA

Mieszkanki „Ustronia Patty” wybierały się na wieczornicę urządzaną przez studentów trzeciego kursu dla słuchaczy ostatniego roku. Ania miała na sobie naprawdę prześliczną sukienkę i z zadowoleniem przyglądała się swemu odbiciu w małym lustrze, zawieszonym w jej niebieskim pokoju. Właściwie jeszcze kilka dni temu suknia ta była zupełnie skromna - zwykły żółtawy jedwab, pokryty szyfonem. Iza jednak tak długo nalegała, aż Ania pozwoliła jej cały szyfon wyhaftować małymi pączkami róż. Teraz sukienki tej mogła pozazdrościć Ani największa eleganka w Redmondzie. Nawet Ala Boone, która sprowadzała sobie suknie z Paryża, przyglądała się z podziwem Ani wchodzącej do sali w Redmondzie.

Biała orchidea, wetknięta we włosy, dopełniała stroju. Pęk białych orchidei otrzymała Ania tego samego dnia od Roberta Gardnera i jedną z nich wyjęła z bukietu z miłą świadomością, że żadna z dziewcząt redmondzkich nie będzie jej nosić tej nocy.

W chwilę potem w pokoju zjawiała się Iza, patrząc z uwielbieniem na przyjaciółkę.

- Aniu, wyglądasz cudownie! W ciągu dziewięciu wieczorów na dziesięć ja góruję nad tobą wyglądem, ale dziesiątego wieczoru twoja uroda zakwita tak pięknie, że przyćmiewa mnie zupełnie. Powiedz, jak to się dzieje?

- To tylko zasługa mojej sukni.

- Co też ty gadasz! Pamiętasz, jak na jakimś wieczorze zaćmiłaś wszystkich, chociaż miałaś na sobie tylko bluzkę flanelową, uszytą przez panią Linde? Jeśli Robert nie zakochał się w tobie dotychczas, niewątpliwie musi to uczynić dziś wieczorem. Nie podoba mi się tylko ta orchidea. Nie myśl, że to zazdrość przeze mnie przemawia. Ten kwiat jest stanowczo dla ciebie nieodpowiedni. Do twojej urody nie pasują takie egzotyczne rośliny. Proszę cię, wyjmij ją z włosów.

- Chętnie, gdyż muszę przyznać, że i ja nie jestem tym kwiatem zachwycona. Robert prawdopodobnie wie o tym i dlatego orchidee przysyła mi bardzo rzadko.

- Jerzy przysłał mi dzisiaj kilka pąków róż, ale sam na wieczornicy nie będzie. Wy tłumaczył się jakimś zebraniem w kościele, w robotniczej dzielnicy miasta. Jestem pewna, że to był tylko pretekst. Boże, jakże się lękam, że Jerzemu właściwie na mnie wcale nie zależy! Zastanawiam się tylko, czy mam uschnąć z tęsknoty i umrzeć, czy też żyć, ukończyć studia i stać się użyteczną dla społeczeństwa.

- Ponieważ to drugie jest przy twoim usposobieniu niemożliwością, więc uważam, że lepiej będzie, jak uschniesz i umrzesz - odparła Ania z bezlitosnym

uśmiechem.

- Jesteś bez serca!

- A ty, Izo, bez rozumu! Przecież zdajesz sobie sprawę, że Jerzy cię kocha.

- Ale dlaczego mi o tym nie mówi? Ja znowu nie śmiem go pytać. Co prawda, miłość jego czuję na każdym kroku, ale sam wyraz oczu nie jest jeszcze dowodem niczego. Przed oficjalnymi zaręczynami nie zacznę haftować wyprawy, bo Opatrzność mogłaby mi zrobić na przekór.

- Widzisz, Izo, pan Blake jest biedny i dlatego prawdopodobnie lęka się zaproponować ci małżeństwo. Sama wiesz, że to jest jedyny powód jego milczenia.

- I ja tak myślę - przyznała Iza ze smutkiem. - Wobec tego chyba ja mu się będę musiała oświadczyć. Sądzę, że w tym wypadku powinnam nawet tak uczynić. A wiesz, Aniu, że Gilbert Blythe dotrzymuje stale towarzystwa Krystynie Stuart?

Zapinając właśnie w tej chwili złoty łańcuszek na szyi, Ania doszła do wniosku, że zameczek widocznie musiał być zepsuty. A może to palce odmówiły nagle posłuszeństwa?

- Kto to jest Krystyna Stuart?

- Siostra RONALDA STUARTA. Uczy się w Kingsporcie muzyki. Ja jej nie znam, ale podobno jest bardzo ładna i ludzie mówią, że Gilbert szaleje za nią. Pamiętasz, jak się złościłam, gdyś odtrąciła Gilberta? Teraz widzę, że Robert Gardner był twoim przeznaczeniem. Przyznaję ci słuszność, żeś go wybrała.

Tym razem Ania nie zarumieniła się, jak to zwykle bywało, gdy koleżanki mówiły o jej przyszłym małżeństwie z Robertem Gardnerem. Twarzyczka jej pobladła, a w sercu uczuła dotkliwy ból. Denerwowała ją ta paplanina Izy. Nie mogąc na nikim innym wyrzucić swojej złości, uderzyła śpiącego na poduszce Mruczka.

- Wstrętne kocisko! Wynoś się stąd!

Zabrawszy orchidee, zbiegła na dół, gdzie siedziała ciotka Jakubina spoglądając na palta dziewcząt, rozwieszane przy ogniu. Robert Gardner czekał już w bawialni, głaszcząc Kota Sabiny. Kot jednak widocznie nie miał do niego zaufania, bo usiłował wyrwać się z jego objęć. Wszyscy inni w „Ustroniu Patty” darzyli Roberta wielką sympatią. Nawet ciotka Jakubina uważała go za najsympatyczniejszego młodzieńca i twierdziła, że Ania ma szczęście. Tego rodzaju uwagi zazwyczaj denerwowały Anię. Robert istotnie okazywał swą przyjaźń w tak romantyczny sposób, jak tylko dziewczęce serce mogłoby wymarzyć - ale Ania wolałaby, aby ani ciotka Jakubina, ani koleżanki nie decydowały o jej przyszłości. Pomagając jej włożyć płaszcz, Robert

wypowiedział jakiś komplement, lecz Ania przyjęła go obojętnie i w drodze do Redmondu nie odezwała się ani słowem. Kiedy wyszła z pokoju, w którym dziewczęta ubierały się, była blada. Dopiero gdy znaleźli się na sali, twarzyczka Ani nabrała dawnych rumieńców, a oczy zabłysły radością życia. Uśmiechnęła się do Roberta wesoło, na co on odpowiedział jej także uśmiechem, o którym Iza zwykła mawiać, że jest „głęboki i aksamitny”. W gruncie rzeczy jednak Ania nie widziała Roberta, bo właśnie przed chwilą dojrzała pod rozłożystą palmą Gilberta w towarzystwie młodej dziewczyny, która prawdopodobnie była ową Krystyną Stuart.

Istotnie towarzyszką Gilberta była bardzo ładna - wysoka, postawna, o cerze koloru kości słoniowej, ciemnoniebieskich oczach i lśniących czarnych włosach.

„Od najdawniejszego dzieciństwa zawsze marzyłam o takim wyglądzie - myślała Ania ze smutkiem. - Brzoskwiniowa cera, gwiazdziste, fiołkowe oczy, krucze włosy. Właśnie ona jest taka, dziwię się tylko, że nie nazywa się Kordelia Fitzgerald. Mam jednak wrażenie, że figurę ma gorszą niż ja, a nos na pewno brzydszy”.

To istotne spostrzeżenie uspokoiło nieco Anię.

## OBOPÓLNE ZAUFANIE

Tego roku marzec przyniósł z sobą wiele jasnych promieni słonecznych. Dni stawały się coraz cieplejsze, jakkolwiek rankiem jeszcze były przymrozki. Młode mieszkanki „Ustronia Patty” przygotowywały się do wiosennych egzaminów. Uczyły się pilnie, nie wyłączając Izy, która tym razem wzięła się do pracy ze zdwojonym zapalem.

- Może zdobędę matematyczne stypendium Johnsona - mówiła z pozornym chłodem. - Greckie stypendium byłoby o wiele łatwiejsze, lecz uparłam się przy matematyce, ażeby pokazać Jerzemu, do czego jestem zdolna.

- Jerzy kocha przede wszystkim twoje piękne oczy i miły uśmiech. Wątpię, czy przywiązuje dużą wagę do twojej wiedzy - uśmiechnęła się Ania.

- Za moich młodych lat nie wymagano od dziewcząt, aby były dobrymi matematyczkami - odezwała się ciotka Jakubina. - Inne czasy, inni ludzie. Izo, a czy umiesz gotować?

- Nigdy się tym nie zajmowałam. Raz tylko upiekłam piernik, ale niezbyt mi się udał. W samym środku był zakalec. Sądzę jednak, ciociu, że gotować także się nauczę nawet wówczas, gdy będę dobrą matematyczką.

- Bardzo możliwe - odparła ciotka Jakubina przezornie. - Przyznaję, że kobiety powinny być wykształcone. Moja córka także skończyła wyższą uczelnię, ale jednocześnie umie gotować. W tym wypadku ja byłam jej profesorem, nim jeszcze wstąpiła na uniwersytet.

W końcu marca dziewczęta otrzymały list od panny Patty Spofford, która pisała, że obydwie z panną Marią postanowiły przedłużyć swój Pobyt w Europie jeszcze o rok.

*Możecie, panie, pozostać w „Ustroniu Patty” dłużej - pisała. - Jedziemy z Marią jeszcze do Egiptu, chcę zobaczyć przed śmiercią Sfinksa.*

- Wyobraźcie sobie te dwie damy biegające po Egipcie. Jestem pewna, że nawet podczas oglądania piramid będą robiły swe nieodstępne pończochy - śmiała się Priscilla.

- Najważniejsze to, że przez cały rok będziemy jeszcze mieszkały w „Ustroniu Patty” - radowała się Stella. - Najbardziej się lękałam powrotu właścioleek. Co by się wtedy stało z naszym miłym gniazdkiem? Musiałybyśmy, jak małe pisklęta, wyemigrować w szeroki świat i osiąść znowu w którymś z pensjonatów.

- Muszę iść do parku - rzekła nagle Iza odkładając książki. - Przypuszczam, że

na starość wspominać będę z zadowoleniem, iż dziś poszłam na spacer do parku.

- Jak to rozumiesz? - zapytała Ania.

- Powiem ci jaśniej, jeżeli pójdziesz ze mną, kochanie.

Znalazszy się w parku, dziewczęta z rozkoszą wdychały świeże marcowe powietrze. Budzącą się powoli przyrodę spowijała jeszcze prawie martwa cisza, cisza, która zdawała się być początkiem czegoś radosnego, co miało nastąpić. Dziewczęta skierowały się ku małej wysepce zarośniętej sosnami, których wierzchołki tonęły w czerwonych promieniach zachodzącego słońca.

- Wróciłabym teraz chętnie do domu i napisała poemat o purpurowym, wiosennym zachodzie, gdybym tylko umiała - rzekła Iza zatrzymując się na małej polance, tuż u podnóża sosnowej wysepki. - Jakże tu pięknie! Gdy się patrzy na te drzewa, odnosi się wrażenie, że zatoneły w długotrwałej zadumie.

- Las był chyba pierwszą świątynią Boga. W lesie opanowuje człowieka nastrój uwielbienia i czci. Kiedy jestem wśród sosen, zdaje mi się, że zbliżam się do Boga - odparła Ania.

- Aniu, jestem dzisiaj ogromnie szczęśliwa - zwierzyła się Iza.

- Czy pan Blake nareszcie ci się oświadczył? - zapytała Ania ze spokojem.

- Wyobraź sobie. Byłam tak wzruszona, że aż trzy razy kichnęłam. Prawda, że to straszne? Ale nie omieszkalam powiedzieć „tak”, nim jeszcze skończył swoją tyradę. Lękałam się, że gotów zmienić zdanie. Upiłam się tym szczęściem, bo wiesz, jeszcze teraz nie chce mi się wierzyć w to wszystko. Dlaczego Jerzy wybrał akurat taką lekkomyślną istotę jak ja?

- Przecież ty w gruncie rzeczy nie jesteś taka lekkomyślna - szepnęła Ania z powagą. - Lekkomyślność twoja jest tylko powierzchowna, bo w głębi kryje się wierna, prawa natura. Czemu ukrywasz prawdziwe swe usposobienie?

- Taka już jestem, Królowo Aniu. Masz słuszność, że w gruncie rzeczy nie jestem taka powierzchowna. To tylko powłoka lekkomyślności, której nie umiem się pozbyć. Pani Poyser twierdzi, że należałoby przekręcić mnie przez jakąś maszynę, a potem ulepić na nowo. Jerzy jednak kocha mnie taką, jaka jestem. Ja go także kocham. Co prawda, to pierwsze uczucie w życiu jakoś dziwnie mnie zaskoczyło. Nie wyobrażałam sobie, abym się mogła zakochać w brzydkim mężczyźnie. A pomyśl tylko, że Poza Jerzym o nikim nie myślę. Nieraz, będąc sama, nazywam go zdrobniale. Prześliczne ma imię. Alonza nie mogłabym zdrobnić.

- A Alek i Alonzo, cóż oni na to?

- Już w czasie Bożego Narodzenia oświadczyłam im, że za żadnego z nich nie wyjdę. Śmieszne, że kiedyś jednak marzyłam o tym, aby zostać żoną któregoś z nich. Ogromnie ich zasmuciła ta moja odmowa i mnie było przykro, lecz tylko ukradkiem otarłam łzę. Wiedziałam, że jedynie Jerzy może zostać moim mężem. Tym razem decyzja przyszła niezwykle prędko. Szybkie podejmowanie decyzji całkowicie samodzielnej jest bardzo przyjemne.

- A czy wytrwasz w niej?

- Mam nadzieję, że tak, bo dostałam od Jurka doskonałe lekarstwo. Jurek twierdzi, iż w chwili wahania powinnam sobie wyobrazić, że mam osiemdziesiąt lat, i podjąć decyzję z perspektywy doświadczeń tylu lat. On za to decyduje się niezwykle szybko, więc się pocieszam, że w jednym domu to najzupełniej wystarczy.

- A co twoi rodzice powiedzą?

- Ojciec w ogóle się nie odezwie, bo uważa, że powinnam robić to, co sama uważam za słuszną. Za to matka nie przestanie gderać. Oprócz nosa posiada jeszcze byrnowski język. Ale w końcu wszystko będzie dobrze.

- Zostając żoną pana Blake, będziesz musiała, Izo, zrezygnować z wielu rzeczy, do których dotychczas byłaś przyzwyczajona.

- Cóż to wszystko znaczy w porównaniu z nim samym? Nasz ślub odbędzie się na przyszły rok w czerwcu. Jurek w tym roku kończy uniwersytet. Prawdopodobnie dostanie probostwo w robotniczej dzielnicy. Wyobraź sobie, ja w robotniczej dzielnicy! Z Jurkiem jednak zgodziłabym się zamieszkać nawet wśród lodowców Grenlandii.

- A kiedyś twierdziłaś, że zostaniesz żoną tylko człowieka bogatego - uśmiechnęła się Ania spoglądając na wierzchołki wysokich sosen.

- Nie mów mi o tym, co było kiedyś! W ubóstwie będę się czuła tak samo wesoło jak w zbytku. Nauczę się gotować i przerabiać sukienki. W „Ustroniu Patty” nauczyłam się robić zakupy, a kiedyś wykładałam w szkole niedzielnej przez całe lato. Chociaż ciotka Jakubina twierdzi, że złamię Jurkowi karierę, jestem pewna, że się myli. Wiem, że nie posiadam zbyt wiele rozumu, ale wyśmienicie umiem przystosowywać się do innych.

- Izo, wybacz, że ci nie składam gratulacji, ale nie potrafię wyrazić słowami tego, co czuję. Wiesz jednak, że cię naprawdę kocham i twoje szczęście raduje mnie ogromnie.

- Wiem, wiem. Przyjaźń tę już dawno wyczytałam z twoich szarych oczu. Oby



już nadszedł dzień, kiedy ja ci będę mogła powinszować. Przecież zostaniesz żoną Roberta, prawda, Aniu?

- Izo, słyszałaś pewno kiedyś o słynnej Bettie Baxter, która odtrącała konkurenta jeszcze przed oświadczynami? Ja nie jestem podobna do niej i nie potrafię uprzedzać wypadków.

- Na uniwersytecie wszyscy mówią, że Robert za tobą szaleje - szepnęła Iza porywczo. - Aniu, przecież ty go także kochasz?

- Mam wrażenie, że tak - odparła Ania zawahawszy się przez chwilę.

Dlaczego mówiąc o Robercie nie rumieniła się nigdy, a na samą myśl o Gilbertie Blythe czuła falę krwi napływającą jej do twarzy? Przecież Gilbert i Krystyna nie obchodzili jej już zupełnie. Od pewnego czasu przestała się nawet zastanawiać nad tym, dlaczego tak się dzieje. Naturalnie, że w Robercie była zakochana. Czyż mogło być inaczej? Czyż nie był wymarzonym księciem z bajki? Kto mógłby się oprzeć jego wielkim, ciemnym oczom i łagodnemu głosowi? Czyż studentki redmondzkie nie usychały z zazdrości? W rocznicę jej urodzin Robert przysłał piękne fiołki i załączył sonet napisany na jej cześć. Nie był to utwór na poziomie sonetów Szekspira czy Keatsa - Ania nie była aż na tyle zakochana, by widzieć w tym sonecie aż takie arcydzieło. Ale był to zupełnie ładny wiersz, nadający się do wydrukowania w czasopiśmie. Był także przeznaczony dla niej - nie dla Laury czy Beatrice, ale dla niej, dla Ani Shirley. Mówił o jej oczach jako o gwiazdach poranka, o jej licach - że skradły blask wschodzącemu słońcu, o ustach - że są czerwiejsze niż róże w Raju. Ania nauczyła się tego wiersza na pamięć. Gilbert na pewno nie potrafiłby napisać takiego sonetu. Ale za to Gilbert świetnie orientował się w każdym dowcipie. Kiedyś Ania opowiedziała Robertowi pewną zabawną historię - nie zrozumiał jej. Przypomniała sobie wówczas, jak oboje z Gilbertem zaśmiewali się z tego. Często Ania zastanawiała się nad tym, czy będzie mogła żyć się z człowiekiem nie posiadającym ani odrobiny poczucia humoru. Z drugiej znów strony, trudno było wymagać, aby sentymentalny bohater interesował się humorystyczną stroną życia. Byłoby to sprzeczne z naturą.

## CZERWCOWY WIECZÓR

- Ciekawa jestem, jak by się żyło na świecie, gdyby wiecznie trwał czerwiec? - zapytała Ania zbliżając się przez tonący w mrokach ogród do ganku wejściowego, gdzie siedziały Maryla i pani Małgorzata Linde zajęte rozmową o pogrzebie ciotki Atosy, z którego właśnie wróciły. Między nimi ulokowała się Tola, zajęta pilnie przygotowaniem lekcji. Tadzio zasiadł opodal na trawie, patrząc przed siebie posepnym i zadumanym wzrokiem.

- Czyżby cię już czerwiec znudził? - spytała Maryla z westchnieniem.

- Być może, chociaż w tej chwili wydaje mi się znowu, że gdyby wszystkie dni czerwcowe były takie urocze jak dzisiejszy, musiałoby upłynąć wiele czasu, żebym się nimi znużyła. Chyba każdy musi kochać czerwiec. Tadzio, czemu to masz taką melancholijną listopadową minę, gdy wszędzie wokół kwiaty pięknie rozkwitają?

- Jestem słaby i zmęczony życiem - odparł mały pesymista.

- Mając dziesięć lat? Jakież to smutne!

- Wcale nie żartuję - rzekł Tadzio z godnością. - Jestem zniechęcony.

- Z jakiegoż to powodu? - pytała Ania siadając tuż przy nim.

- Dlatego, że nowa nauczycielka, która zastępowała pana Holmesa w szkole podczas jego choroby, zadała mi na poniedziałek aż dziesięć zadań arytmetycznych. Jutro cały dzień muszę na to poświęcić, bo przecież nie godzi się pracować w sobotę. Emilek Boutler mówi, że on by nigdy tego nie zrobił, ale Maryla twierdzi, że muszę odrobić. Strasznie nie lubię panny Carson.

- Nie wolno się tak wyrażać o nauczycielce, Tadek - wtrąciła surowo pani Małgorzata. - Panna Carson jest bardzo miła i z pewnością wie, robi.

- To nie ma nic do rzeczy - zaśmiała się Ania. - Często lubi się ludzi, którzy nawet od czasu do czasu popełniają jakieś głupstwa. Inna rzecz, że ja osobiście także bardzo polubiłam pannę Carson. Spotkałam ją wczoraj na zebraniu kościelnym i doszłam do wniosku, że ma bardzo łagodne oczy. Uspokój się, Tadzio. Jutro będzie nowy dzień. Chętnie pomogę ci odrobić te zadania. Szkoda tracić takiego pięknego wieczoru na smętne rozmyślenia o arytmetyce.

- Masz rację - zawołał Tadzio, a twarzyczka rozjaśniła mu się nagle. - Jeżeli ty mi pomożesz, będę miał jeszcze czas pójść na ryby z Emilkiem. Bardzo chciałem, żeby pogrzeb ciotki Atosy był dopiero jutro, bo matka Emilka mówiła, że ciotka Atossa na pewno podniesie się z trumny i powie coś nieprzyjemnego grabarzom. Chciałem to usłyszeć. Ale Maryla powiada, że ciotka Atossa nic nie mówiła.

- Biedna Atossa spokojnie leżała w swojej trumnie - szepnęła pani Linde uroczyście. - Nigdy jeszcze tak mile nie wyglądała... Co prawda niezbyt dużo łez przelano po jej śmierci. Eliza Wright jest szczęśliwa, że się jej pozbyła, czego zresztą nie bioreę jej za złe.

- Wydaje mi się, że najokropniejszą rzeczą jest odejść z tego świata, nie pozostawiając po sobie ani jednej prawdziwie bolejącej osoby - rzekła Ania z drzeniem.

- Nikt, prócz rodziców, nie kochał biednej Atossy, nawet mąż podobno jej nie cenił - zaopiniowała pani Linde. - Poza tym była ona jego czwartą żoną, więc te wszystkie małżeństwa przeszły już u niego w przyzwyczajenie. Umarł w kilka lat po poślubieniu Atossy. Lekarze twierdzą, że zabiła go niestrawność, ja jednak podejrzewam, że to raczej ostry język żony był przyczyną jego śmierci. Biedactwo, zawsze wiedziała coś o sąsiadach, ale samej siebie dokładnie nie znała. Lepiej może, że już umarła. Teraz nową sensacją będzie w naszej wsi ślub Diany.

- Dziwnie jest pomyśleć, że Diana zostanie mężatką - westchnęła Ania spoglądając w stronę Lasu Duchów, przez który przedzierało się światelko z okna pokoju Diany.

- Nie widzę w tym nic dziwnego, bo przecież robi doskonałą partię - rzekła pani Linde z przekonaniem. - Alfred Wright jest właścicielem pięknej farmy, a jako człowiek może służyć wszystkim za wzór.

- Oczywiście, że nie jest owym dzikim, złym chłopcem, za którego Diana zamierzała kiedyś wyjść za mąż - uśmiechnęła się Ania. - Ma bardzo dobre serce.

- Otóż właśnie. Wolałabyś, żeby Diana została żoną łotra? A może sama chciałabyś takiego dostać za męża?

- O, nie! Nigdy bym nie wyszła za niedobrego człowieka, chociaż sądzę, że podobałby mi się raczej taki, który mógłby być pozornie zły, ale by nim w istocie nie był. Alfred jest beznadziejnie dobry.

- Mam nadzieję, że z czasem nabierzesz więcej rozumu - wtrąciła Maryla.

Maryla mówiła w tej chwili raczej z goryczą. Była istotnie bardzo rozczarowana, gdyż dowiedziała się o odprawie, jaką Ania dała Gilbertowi Blythe. Wiadomość ta jakimś dziwnym sposobem rozniosła się wkrótce po całej Avonlea. Może to Karol Sloane domyślał się czegoś i te swoje domysły opowiedział jako fakt rzeczywisty, może Diana zwierzyła się Alfredowi, a ten nie umiał dochować tajemnicy? W każdym razie wszyscy o tym wiedzieli. Pani Blythe już nie pytała Ani, czy ma jakieś wieści od

Gilberta, a na jej ukłon odpowiadała chłodnym skinieniem głowy. Anię martwiło to bardzo, bo zawsze ogromnie lubiła wesołą i uśmiechniętą matkę Gilberta. Maryla nie mówiła z nią na ten temat, tylko pani Linde, napomykała o tym od czasu do czasu aż do chwili, gdy matka młodego. MacPhersona rozniosła po wsi wiadomość, że Ania znalazła w Redmondzie nowego, bogatego i przystojnego konkurenta. Wówczas pani Małgorzata zamilkła, aczkolwiek w głębi duszy ciągle jeszcze pragnęła, aby Ania została jednak żoną Gilberta. Bez wątplenia bogactwo bardzo jest przydatne i cenne, lecz nawet pani Linde, osoba tak praktyczna, nie uważała majątku za rzecz najważniejszą w życiu. Oczywiście, jeżeli Ania lubiła bardziej piękniejszego nieznajomego niż Gilberta, nie mogło być mowy o jakimkolwiek skłanianiu jej w inną stronę. Jednakże pani Małgorzata była przekonana, że ten zamiar Ani był jedynie omyłką i że kiedyś na pewno sama zorientuje się w całej sytuacji. Maryla zbyt dobrze знаła Anię, aby się o nią lękać, czuła jedynie, że w jej planach życiowych coś się poważnie powikłało.

- Co ma być, będzie - mówiła pani Małgorzata chmurnie. - Choć zdarza się czasami i to, co nie powinno być! Przypuszczam jednak, że sprawa Ani przyjmie pomyślny obrót, jeżeli Opatrzność w porę zainterweniuje, ot co!

Mówiąc te słowa pani Linde westchnęła głęboko. Lękała się, że Opatrzność nie zechce interweniować w tej sprawie, a ona sama także wolała się w to nie mieszać.

Ania szła powoli w stronę Fontanny Driad. W zamyśleniu przysiadła na wzgórkach porośniętych gęstymi paprociami, gdzie dawniej siadywała często w towarzystwie Gilberta. Tym razem Gilbert po skończonym roku akademickim wrócił na swą dawną posadę w redakcji. Całe Avonlea wydawało się bez niego dziwnie opustoszałe. Do Ani nie pisał ani razu, choć ona w głębi duszy tęskniła za tymi listami, które nigdy nie nadeszły. Za to Robert pisywał dwa razy w tygodniu, a listy jego były zbiorem prawdziwych poematów i rozpały w serduszkach Anii coraz potężniejsze uczucie dla ich autora. Lecz serce jej nigdy nie zabiło tak głośno na widok tych listów, jak owego dnia, gdy pani Sloane podała jej dużą kopertę, zaadresowaną wyraźnym pismem Gilberta. Ania wbiegła na górę i zamknawszy się w swoim pokoju, drżącymi palcami rozerwała kopertę. W kopercie znajdowała się... kopia protokołu z pewnego zebrania uniwersyteckiego - tylko to i nic więcej... Ania pobiegła do stolika i zabrała się do pisania pięknego, poetycznego listu do Roberta.

Za pięć dni miał się odbyć ślub Diany. W szarym domu Barrych panował ruch: przygotowywano się do wielkiego przyjęcia weselnego. Oczywiście Ania miała być

druhną, co zresztą zostało ustalone, gdy obie z Dianą były jeszcze dwunastoletnimi dziewczynkami. Gilbert - družba - obiecał przyjechać specjalnie tego dnia z Kingsportu. I Ani udzieliło się podniecenie przygotowań weselnych, chociaż w głębi duszy odczuwała dotkliwy ból. Zdawała sobie sprawę, że traci w pewien sposób swoją najdroższą przyjaciółkę; nowe mieszkanie Diany było oddalone od Zielonego Wzgórza o dwie mile, wskutek czego od dnia ślubu będą się na pewno widywały rzadziej i ich bliska zażyłość ulegnie zmianie. Patrząc w oświetlone okno panińskiego pokoju Diany, Ania myślała o tym, że światelko to przez wiele lat służyło im obu do wzajemnego porozumiewania się i oto teraz niedługo zgaśnie na zawsze. Dwie wielkie łzy spłynęły z jej szarych oczu.

„Och - pomyślała - jakież to straszne, że ludzie dorastają, zawierają małżeństwa i zmieniają się mimo woli!”

## ŚLUB DIANY

- Przecież prawdziwe róże to tylko róże czerwone - mówiła Ania przewiązując wstążką wiązankę Diany w jednym z małych pokoików w domu państwa Barrych. - To kwiaty miłości i wiary.

Diana stała niespokojnie na środku pokoju w białej, ślubnej sukni. Czarne loki wysuwały się spod przejrzystego welonu. Zgodnie z umową z lat dziecięcych, upięcia tego welonu musiała dokonać Ania.

- Wszystko dzieje się zupełnie tak, jak to sobie dawniej wyobrażałam, gdy płakałam na samą myśl o twoim ślubie i konieczności rozstania - zaśmiała się Ania po chwili. - Jesteś oblubienicą moich marzeń, Diano, w tym uroczym, powiewnym welonie, a ja jestem twoją druhną. Lecz, niestety, nie mam bufiastych rękawów, chociaż te krótkie, obszyte koronką, są może ładniejsze. Jednak serce moje nie ma zamiaru pękać ani też nie mogę powiedzieć, żebym nienawidziła Alfreda.

- Właściwie wcale się nie rozstajemy - zaprotestowała Diana. - Nie wyjeżdżamy zbyt daleko. Będziemy się kochały tak samo jak dotychczas. Zawsze dotrzymywałyśmy przysięgi naszej przyjaźni, którą złożyłyśmy sobie już tak dawno.

- Tak. Dotrzymywałyśmy jej wiernie. Piękna była nasza przyjaźń, Diano, nie zakłócona ani jedną sprzeczką, ani jednym powiewem chłodu, ani jednym niemiłym słowem. Mam nadzieję, że i nadal tak przetrwa. Lecz wszystko musi jednak ulec pewnej zmianie. Ty będziesz miała już inne zainteresowania, a ja zostanę poza nawiasem twego życia. Ale takie jest życie, jak mówi pani Małgorzata. Właśnie przysłała ci przeze mnie jedną ze swych najpiękniejszych haftowanych kołder. Zaznaczyła, że ja dostanę drugą, gdy będę wychodzić za mąż.

- Najprzykrzejsze to, że nie będę mogła być druhną na twoim ślubie, bo będę już mężatką - biadała Diana.

- W przyszłym roku, w czerwcu, będę znowu druhną na ślubie Izy z panem Blake, potem skończę z tymi uroczystościami, bo wiesz, że przysłowie głosi, iż „kto trzy razy družbuje, sam nigdy nie ślubuje”. - Mówiąc te słowa Ania wyjrzała przez okno na drzewa pokryte białym i różowym kwieciem. - Pastor już idzie, Diano.

- Och, Aniu! - zawołała Diana blednąc nagle i drżąc. - Aniu, jestem tak strasznie zdenerwowana, gotowam jeszcze zemdleć.

- Wówczas zaniosę cię do beczki z deszczówką i natychmiast oprzytomniejesz - rzekła Ania z bezlitosnym uśmiechem. - Głowa do góry, kochanie. Widocznie małżeństwo nie jest takie straszne, skoro tyle ludzi przeżywa tę ceremonię. Bierz

przykład ze mnie, widzisz, jaka jestem spokojna i zrównoważona.

- Dopóki na ciebie nie przyjdzie kolej, Aniu. Och, słyszę na schodach kroki ojca. Podaj mi kwiaty. Czy welon dobrze upięty? Czy bardzo jestem blada?

- Wyglądasz prześlicznie. Diano, kochanie, pocałuj mnie po raz ostatni, bo Diana Barry nigdy mnie już nie pocałuje.

- Ale za to całować cię będzie Diana Wright. Matka mnie woła. Chodźmy.

- Według ogólnie przyjętego zwyczaju Ania weszła do salonu, trzymając pod ramię Gilberta. Spotkali się po raz pierwszy od opuszczenia Kingsportu, i to na schodach, bo Gilbert przybył do Avonlea zaledwie przed godziną. Po koleżeńsku uścisnęli sobie dłonie. Ania zauważyła, że Gilbert bardzo dobrze wyglądał, chociaż nieco zeszczupłał. Na widok Ani ubranej w białą sukienkę z lilią wpiętą w błyszczące włosy na jego twarzy wykwitły rumieńce. Gdy obydwójce weszli do przepelnionego salonu, rozległ się wśród zebranych gości cichy szmer podziwu.

- Jakaż to dobrana para - szepnęła pani Małgorzata do Maryli. Alfred, z rumieńcem na twarzy, wszedł sam, a za nim wsunęła się Diana trzymając ojca pod ramię. Mimo przewidywań nie zemdląła i w ogóle żadne przykre zdarzenie nie zamąciło uroczystej ceremonii. Po skończonym ślubie nastąpiły powinszowania, potem przyjęcie, a z końcem wieczoru Alfred i Diana odjechali do swego nowego gniazdka. Gilbert zaś odprowadził Anię na Zielone Wzgórze.

Wśród atmosfery uroczystego wieczoru obydwójce odnieśli wrażenie, że dawna ich przyjaźń powróciła wzmożoną falą. O, jakże przyjemnie było iść dobrze znaną aleją przy boku Gilberta.

Noc była tak cicha, że prawie słychać było delikatny szept rozkwitających róż, srebrzysty śmiech stokrotek, szmer trawy i rozmaite inne głosy przyrody, których za dnia nikt by nie dosłyszał. Srebrzyste promienie księżyca zdawały się otaczać cały świat pieśczętą swych ramion.

- Może przejdziemy się Aleją Zakochanych? - zaproponował Gilbert, gdy minęli most na Jeziorze Lśniących Wód, w którym tarcza odbijała się jak wielki złoty kwiat.

Ania z ochotą przystała. Aleja Zakochanych była tego wieczoru prawdziwą drogą wiodącą do krainy czarów - tajemnicze miejsce iskrzące się lekko w blasku księżyca. A przecież niedawno jeszcze spacer Aleją Zakochanych w towarzystwie Gilberta wydawał się Ani czymś bardzo niebezpiecznym! Lęk ten zabili w niej - Robert i Krystyna. Rozmawiając z Gilbertem Ania znieśmiała przyłapała sama siebie na rozmyślaniach o Krystynie. Przed wyjazdem z Kingsportu spotkała ją kilka razy i

zawsze była dla niej niezwykle uprzejma, a i Krystyna darzyła ją taką samą uprzejmością. Stosunki ich były serdeczne, jednak Ania zdawała sobie sprawę, że ta znajomość nigdy nie doprowadzi do przyjaźni.

- Zamierzasz przez całe lato zostać w Avonlea? - zapytał w pewnej chwili Gilbert.

- Nie. W przyszłym tygodniu jadę do Valley Road. Chcę zastąpić Elżunię Heythorne w szkole przez lipiec i sierpień. Mają tam letni kurs, a Elżunia bardzo się źle czuje. Jest mi to nawet trochę na rękę, bo ostatnio czuję się jakoś dziwnie obco w Avonlea. To smutne, ale prawdziwe. Większość dawnych moich wychowanków dorosła i mam wrażenie, że jestem już bardzo stara, szczególnie gdy spoglądam na te wszystkie zakątki, gdzieśmy się bawili razem z tobą i z innymi kolegami za czasów naszego dzieciństwa.

Ania zaśmiała się, a w następnej chwili westchnęła. Czowała się bardzo; stara, dojrzała i mądra, co oczywiście było najlepszym dowodem, że była jeszcze bardzo młoda. Wmawiała w siebie, że tęskni za dawnymi dniami: dzieciństwa, kiedy to patrzyła na życie przez różowe szkła dziewczęcych nadziei i posiadała coś, co teraz odeszło na zawsze... Gdzież to się podziało - dawne złote sny, marzenia o szczęściu?

- Tak, świat się zmienia - potwierdził Gilbert przytłumionym głosem.

Ania zastanawiała się w tej chwili, czy przypadkiem Gilbert nie pomyślał o Krystynie. O, jakże smutno będzie teraz w Avonlea po wyjeździe Diany!



## ROMANS PANI SKINNER

Wysiadłszy z pociągu na stacji Valley Road, Ania poczęła się rozglądać wokoło, czy aby ktoś nie wyszedł na jej spotkanie. Miała zamieszkać u niejakiej panny Janiny Sweet, lecz nie zauważyła nikogo, kto by choć w przybliżeniu odpowiadał wyglądowi tej pani, której rysopis podała jej Elżunia w swym liście. Dostrzegła tylko jakąś starszą kobietę, siedzącą w małym powoziku, do którego załadowano worki pocztowe. Twarz nieznamym była okrągła i czerwona, przypominająca zachodzącą pełnię księżyca. Dama ubrana była w obcisłą, czarną, kaszmirową suknię, uszytą według mody sprzed dziesięciu lat; na głowie miała czarny, zakurzony kapelusz słomkowy, opasany żółtą wstążką i przybrany czarną koronką.

- Więc to pani? - zawołała wskazując w stronę Ani długim batem. - Pani jest nową nauczycielką, przybyłą do Valley Road?

- Tak, to ja.

- Tak przypuszczałam. Valley Road słynie z eleganckich nauczycielek, tak zresztą jak Millersville słynne jest z brudasów. Janina Sweet pytała mnie dzisiaj rano, czybym mogła panią zabrać ze sobą ze stacji. „Naturalnie - odpowiedziałam - jeżeli w moim powoziku będzie jej wygodnie. Zamierzam bowiem zabrać ze sobą worki pocztowe, a jestem nieco tęższa od Tomasza”. Proszę zaczekać chwilkę, usunę te worki i zrobię pani miejsce. Mamy tylko dwie mile drogi. Chłopak z sąsiedztwa przyjdzie tu wieczorem, aby zabrać pani walizki. Nazywam się Skinner - Amelia Skinner.

Ania usadowiła się wreszcie w powoziku, uśmiechając się nieznacznie, ubawiona tym dziwnym spotkaniem.

- Wio, starucha! - zawołała pani Skinner ujmując lejce w dłonie. - To moja pierwsza wyprawa po pocztę. Tomasz zajęty jest dzisiaj okopywaniem buraków, więc prosił mnie, abym go zastąpiła. Przekąsiłam coś niecoś na stojąco i wyruszyłam w drogę. Ogromnie mi się spodobała ta przejażdżka. Siedzi sobie człowiek spokojnie na bryczce i myśli albo też chwilami siedzi zupełnie bezmyślnie. Wio, starucha! Chciałabym wcześniej wrócić do domu. Tomasz bardzo się źle czuje, jak mnie przy nim nie ma. Widzi pani, myśmy się bardzo niedawno pobrali.

- Tak? - zdziwiła się Ania grzecznie.

- Dopiero miesiąc temu. Tomasz zresztą niedługo ubiegał się o moje względy. Był to naprawdę romantyczny okres.

Ania z trudem mogła sobie wyobrazić panią Skinner w sytuacji romantycznej.

- Tak? - rzekła znowu.

- A tak. Bo widzi pani, jednocześnie ktoś inny starał się o mnie. Wio, starucha! Byłam wdową i na ogół nie spodziewano się, że kiedykolwiek wyjdę powtórnie za mąż. Ale gdy córka moja - ona jest także nauczycielką jak pani - wyjechała na Zachód na posadę, czułam się tak samotna, że postanowiłam jednak kogoś sobie znaleźć. Właśnie wówczas zaczął przychodzić Tomasz jednocześnie z tym drugim - Williamem Obadiahem Seamanem. Przez dłuższy czas nie mogłam się zdobyć na wybór, a oni cierpliwie przychodzili i przychodzili. William Seaman był bogaty, miał duży majątek i doskonale maniery. Oczywiście był o wiele lepszą partią. Wio, starucha!

- Więc dlaczego go pani nie wybrała? - zapytała Ania.

- Bo widzi pani, on mnie nie kochał - odparła pani Skinner uroczyście. Ania rozwarła szeroko oczy i ze zdziwieniem spojrzała na panią Skinner, na twarzy jej jednak nie zauważyła ani śladu uśmiechu. Widocznie pani Skinner mówiła zupełnie poważnie.

- On także przez trzy lata był wdowcem, a gospodarstwo prowadziła mu siostra. Potem siostra wyszła za mąż, więc zapragnął się ożenić, aby mieć w domu gospodynię. Zresztą gra była warta świeczki, proszę mi wierzyć. Dom ma prześliczny. Wio, starucha! Co do Tomasza, to był zupełnie biedny, a chociaż domek jego wygląda bardzo ładnie, to jednak trudno go porównać ze wspaniałym domem Seamana. Ale rozumie pani, kochałam Tomasza, a na Seamanie wcale mi nie zależało. No i rozmyślając nad tym długo, jakoś się zdecydowałam. „Amelio Crowe - tłumaczyłam sobie (mój pierwszy mąż nazywał się Crowe) - jeżeli chcesz, możesz zostać żoną bogatego człowieka, ale nie będziesz z nim szczęśliwa. Trudno żyć na tym świecie bez miłości. Lepiej będzie, jak przyjmiesz oświadczyzny Tomasza, bo on cię kocha i ty go kochasz, nikt więc inny nie da ci prawdziwego szczęścia”. Wio, starucha! Więc odpowiedziałam Tomaszowi przychylnie. Aż do czasu naszego ślubu nie przejeżdżałam nigdy przez posiadłość Seamana, lękając się, aby widok tego majątku nie zachwiał moim postanowieniem. Teraz już zupełnie o tym nie myślę. Jestem bardzo zadowolona i ogromnie szczęśliwa z Tomaszem. Wio, starucha!

- A co na to William Seaman? - zagadnęła Ania.

- Z początku trochę się złościł, ale ostatnio podobno odwiedza jakąś starą pannę w Millersville i mam wrażenie, że go sprytnie wzięła. Z pewnością będzie miał z niej bardzo dobrą żonę, a może nawet lepszą, niż była nieboszczka. William nie chciał się z tamtą pierwszą ożenić, oświadczył jej się tylko dlatego, że ojciec jego tak chciał. Pocieszał się jednak przy oświadczeniach, że ona odpowie: nie. Proszę sobie

wyobrazić, że właśnie na złość powiedziała: tak. Dziwi się pani, co? Wio, starucha! Co prawda była dobrą gospodynią, ale uważano ją w okolicy za najbardziej ordynarną kobietę. Przez osiemnaście lat nosiła jeden i ten sam czepek, a gdy wreszcie włożyła nowy, sam mąż nie poznał jej na drodze, gdy wracała do domu. Wio, starucha! W każdym razie ja wygrałam los na loterii, bo gdybym wyszła za niego, byłabym tak samo nieszczęśliwa jak moja biedna kuzynka Anna. Została ona żoną bogatego człowieka, który ją jednak nic a nic nie obchodzi. W zeszłym tygodniu przysłała do mnie i mówi: „Amelio, zazdroszczę ci. Wolałabym mieszkać w małej chałupce przy drodze z człowiekiem, którego kocham, niż w wielkim domu z moim obecnym mężem”. Mąż mojej kuzynki nie jest złym człowiekiem, tylko jest taki dziwak, że nawet w upał nosi palto z futrzanym kołnierzem. Jeżeli się go chce na coś namówić, trzeba mu wmawiać coś zupełnie odwrotnego. Przykre jest małżeństwo, w którym nie ma miłości. Wio, starucha! Folwarczek Janiny jest tutaj, w dolinie, nazywa się „Zaciszcie”. Bardzo malowniczy, prawda? Sądzę, że z przyjemnością wydostanie się pani spośród tych worków i dopiero teraz pani poczuje, jaka ta jazda była niewygodna.

- Przeciwnie, bardzo mi było miło w pani towarzystwie! - zawołała Ania szczerze.

- No, dajmy na to! - odparta pani Skinner ogromnie zadowolona. - Muszę pani słowa powtórzyć Tomaszowi. Ogromnie jest zadowolony, gdy mi ktoś prawi komplementy. Wio, starucha! Jesteśmy już na miejscu. Życzę pani powodzenia w szkole. Będzie pani miała bardzo blisko, bo szkoła jest tuż za domem Janiny. Ale tą drogą należy iść bardzo ostrożnie, bo można utonąć w tym bagnie i pożegnać się na wieki ze światem, jak to kiedyś uczyniła krowa Adama Palmera. Wio, starucha!

## LIST ANI DO IZY

*Kochana moja Izo! Już czas najwyższy, żebym do Ciebie napisała. Jestem nauczycielką w Valley Road i mieszkam w „Zaciszu”, w domu panny Janiny Sweet. Panna Janina to poczciwa dusza i osoba bardzo mile wyglądająca. Wysoka, lecz nie za wysoka, tęga, ale zgrabna. Ma piękne kasztanowate loki, przyprószone nieco siwizną, pogodne czoło, rumiane policzki i duże, dobroduszne oczy, błękitne jak niezapominajki. Na domiar wszystkiego jest jedną z tych świetnych starodawnych kucharek, które nie troszcząc się o to, że zepsują gościowi żołądek, podają zawsze najsmaczniejsze i najbardziej tłuste potrawy. Bardzo ją lubię i ona mnie także lubi - szczególnie dlatego, że siostra jej, która młodo umarła, miała także na imię Anna.*

*„Bardzo mi miło poznać panią! - zawołała, gdy zjawiłam się na jej dziedzińcu. - Chociaż nie wygląda pani tak, jak sobie wyobrażałam. Sądziłam, że ma pani ciemne włosy, jak moja nieboszczka siostra, a tymczasem pani jest ruda!”*

*Z początkiem myślałam, że nigdy nie polubię panny Janiny, ale to było tylko pierwsze wrażenie. Przyszło mi od razu na myśl, że należy być wyrozumiałą i że nie powinnam się obrażać ani oburzać na kogoś, kto powiedział tylko, że mam rude włosy. Prawdopodobnie wyraz „kastanowaty” nie istnieje w słowniku panny Janiny.*

*„Zacisze” jest bardzo miłym zakątkiem. Dom, w którym mieszkam, pomalowany na biało, stoi w prześlicznej dolince, do której schodzi się prosto z drogi. Między drogą i domem ciągnie się sad i ogród pełen kwiatów, ściślej mówiąc, obydwa są pomieszane razem. Ścieżka do drzwi wejściowych okolona jest z obu stron małymi muszelkami, które połyskują prześlicznie w jasnym słońcu. Mój pokój jest tak maleńki, że oprócz mnie mieści się w nim tylko łóżko. Nad łóżkiem wisi portret Roberta Burnsa\* stojącego nad grobem Marii, przystrojony gałązkami płaczącej wierzby. Wyraz twarzy ma taki żaloszny, że nic dziwnego, iż nawiedzają mnie tu czasem przykre sny. Pierwszej nocy po przybyciu śniło mi się, że nigdy nie będę się mogła śmiać.*

*Naprzeciw mego pokoiku znajduje się maleńki, przytulny salonik. Jedyne jego okno osłaniają rozłożyste gałęzie wierzby, spowijając pokój szmaragdowym mrokiem. Na podłodze leży wzorzysta makata, a na małym stoliku i kominku - niezliczone ilości książek, pocztówek i zasuszona trawa w wysokich wazonach. Pomiędzy wazonami umieszczona jest niespotykana dekoracja - pięć blach z*

---

\* Robert Burns - znany poeta szkocki z II poł. XVII w.

trumien: ojca i matki Janiny, brata, siostry i jakiegoś człowieka, który mieszkał i zmarł w jej domu. Jeśli dostanę pomieszczenia zmysłów, chyba nie będziesz się zastanawiać dlaczego.

Powiedziałam pannie Jamnie, że ogromnie jest u niej miło, a ona polubiła mnie za to, choć Elżuni nie darzyła zbyt dużą sympatią. Elżunia twierdziła podobno, że ten półmrok panujący w saloniku jest niehigieniczny, i nie chciała przez cały rok sypiać na piernacie. Poza tym panna Janina twierdzi, że ogromnie lubi patrzeć, jak ja jem. Lękała się ogromnie, że będę taka sama jak Elżunia, która nie jadła nic prócz owoców, na śniadanie piła gorącą wodę i namawiała nawet Janinę, aby zaprzestała gotować i smażyć. Elżunia jest bardzo miła, ale ma swoje dziwactwa. Najgorsze to, że posiada mało wyobraźni i organizm jej źle trawi pokarmy.

Panna Janina pozwoliła mi przyjmować w swoim saloniku gości, w tym także panów. Bardzo wątpię, czy wielu takich się znajdzie. Od czasu mego przyjazdu do Valley Road nie widziałam żadnego młodzieńca oprócz służącego sąsiadów, Szymona Tollivera, wysokiego chłopaka o jasnych włosach. Zjawił się pewnego wieczoru i przez godzinę siedział na parkanie w pobliżu drzwi wejściowych, gdzie obydwie z panną Janiną robiłyśmy ręczne robótki. Przez całą godzinę raz jeden tylko zapytał: „Chce panienka mięty? Dobrze robi na katar”.

Ale i tutaj rozgrywa się pewna historia miłosna. Widocznie ja już mam takie szczęście, że zawsze muszę brać udział w komplikacjach miłosnych starszych par. Przecież państwo Irving utrzymywali, że małżeństwo ich doszło do skutku tylko dzięki mnie. Ślub Ludwika Speeda z Teodora Dix też by się nigdy nie odbył, gdybym ja nie należała.

W tutejszej historii miłosnej jestem tylko widzem. Raz jeden chciałam okazać swoją pomoc, lecz jeszcze bardziej wszystko pogmatwałam. Wobec tego postanowiłam więcej się nie wtrącać. Opowiem Ci o tym dokładnie, gdy się zobaczymy.

## HERBATA U PANI DOUGLAS

Pierwszego czwartku po przybyciu Ani do Valley Road Janina zaproponowała jej, aby z nią poszła na zebranie kościelne. Kiedy mówiła o tym zebraniu, twarz jej okrasily rumieńce radości. Miała na sobie bladobłękitną muślinową suknię z taką ilością falbanek, że, znając tę oszczędną osóbkę, trudno było uwierzyć w taką rozrzutność. Głowę przystroiła białym słomkowym kapeluszem z purpurowymi różami i trzema strusimi piórami. Ania była zdziwiona. Dopiero potem zrozumiała przyczynę tego stroju, przyczynę, która odgrywała wielką rolę jeszcze za czasów Adama i Ewy.

Zebrania kościelne w Valley Road odbywały się, jak się zdawało, tylko przy współudziale kobiet. Oprócz pastora, dwóch małych chłopców i jednego mężczyzny przybyły na zebranie trzydzieści dwie kobiety. Ania zaczęła uważnie obserwować owego starszego pana. Nie był ani przystojny, ani młody, ani elegancki. Miał wyjątkowo długie nogi - tak długie, że musiał je wsuwać głęboko pod krzesło - i nieco przygarbione plecy. Ręce miał duże, włosy i wąsy w nieładzie. Jednakże Ani podobała się jego twarzy bo promieniowały z niej szlachetność, dobroć i uczciwość. W twarzy tej było jeszcze coś, czego Ania nie mogła dokładnie określić. Wreszcie zdecydowała, że jej właściciel musiał dużo przecierpieć i cierpienia te pozostawiły pewne charakterystyczne piętno. Tak, na obliczu jego malował się wyraz spokojnej, cierplivej wytrwałości. Ania doszła do wniosku, że człowiek ten, nawet gdyby został skazany na tortury, do końca starałby się zachować przyjemny wyraz twarzy, chyba że cierpienia przekroczyłyby już jego siły.

Po skończonym zebraniu starszy jegomość podszedł do Janiny i rzekł:

- Janino, czy mogę cię odprowadzić do domu?

Janina przyjęła jego ramię - „z takim zawstydzieniem, jakby miała w tej chwili lat szesnaście i po raz pierwszy powracała z mężczyzną” - jak w kilka miesięcy potem opowiadała swoim przyjaciółkom z „Ustronia Patty” Ania.

- Panno Shirley, pozwoli pani przedstawić sobie pana Douglasa - rzekła Janina trochę sztywno.

Pan Douglas skinął uprzejmie głową.

- Przyglądałem się pani podczas zebrania i zastanawiałem się, skąd u nas się wzięła taka ładna i sympatyczna panienka.

Tego rodzaju powiedzenie w innym wypadku wywołałoby u Ani oburzenie, pan Douglas jednak wypowiedział to w taki sposób, że przyjęła jego słowa jako miły

komplement. Uśmiechnęła się do niego i wyszła wraz z Janiną na drogę tonącą w poświacie księżyca.

Więc Janina miała konkurenta! Ania była zachwycona. Janina stanowiła ideał żony - wesołej, oszczędnej, wyrozumiałej - i gospodyni. Byłoby okrucieństwem ze strony Przeznaczenia skazać taką kobietę na staropanieństwo.

- Jan Douglas prosił, żebyś zabrała panią z sobą do jego matki - rzekła Janina nazajutrz. - Matka jego jest słaba i prawie nigdy nie wychodzi z domu, ale ogromnie lubi towarzystwo i zawsze prosi, abym ją poznawała z moimi lokatorami. Czy może pani pójść ze mną dzisiaj wieczorem?

Ania przyjęła zaproszenie, lecz w godzinę potem zjawił się sam pan Douglas i w imieniu swej matki zaprosił obydwie panie na herbatę na sobotę wieczór.

- Dlaczego pani nie włożyła tej prześlicznej muslinowej sukni? - zapytała Ania, gdy obydwie wyszły już z domu.

Pogoda była przepiękna. Biedna Janina, wskutek swego podniecenia i ciężkiej czarnej toalety, sprawiała wrażenie, jakby ją żywcem ugotowano.

- Pani Douglas uważałyby, że jest to strój nieodpowiedni, chociaż Jan bardzo tę suknię lubi - przyznała z westchnieniem.

Staroświeckie domostwo Douglasów znajdowało się w odległości pół mili od „Zacisza” na małym, odsłoniętym pagórku. Sam dom był duży i wygodny, otoczony wysokimi klonami i ogrodem. Tuż za domem ciągnęły się zabudowania gospodarskie, których wygląd świadczył o zamożności właścicieli. Choć w twarzy pana Douglasa można było wyczytać spokojne cierpienie, jednak na pewno powodem tego nie były długi ani wierzyciele.

Jan Douglas powitał gości u drzwi wejściowych i zaprowadził ich do bawialni, gdzie w staroświeckim fotelu siedziała jego matka.

Ania wyobrażała sobie panią Douglas jako wysoką szczupłą kobietę, podobną do syna. Tymczasem była to maleńka kobietka o rumianych policzkach, wyblakłych, błękitnych oczach i maleńkich, niemal dziecięcych ustach. Ubrana w piękną, modną, czarną jedwabną suknię z białym szalem na ramionach i siwiutkimi włosami, przykrytymi koronkowym kapturkiem, sprawiała wrażenie wytwornej staroświeckiej lalki.

- Co u ciebie słyhać, droga Janeczko? - rzekła uprzejmie. - Bardzo się cieszę, że cię znowu widzę. - Nadstawiła rumiany policzek do pocałowania. - A to jest nasza nowa nauczycielka! Bardzo mi miło poznać panią. Syn mój tyle o pani mówił, że

byłam trochę zazdrosna, a jestem pewna, że duszę Janiny zazdrość zjada całkowicie.

Biedna Janina pokraśniała. Ania wybąkała coś niezrozumiałego i wszyscy usiedli rozpoczynając towarzyską pogawędkę. Ania podtrzymywała rozmowę z trudem, jak zresztą i pozostali współbiesiadnicy z wyjątkiem starej pani Douglas, której rozmowa przychodziła z niezwykłą łatwością. Posadziła Janinę przy sobie i od czasu do czasu gładziła jej wyciągniętą dłoń, Janina uśmiechała się uprzejmie, choć ogromnie niewygodnie było jej w obcisłej sukni i upał coraz bardziej dawał się jej we j znaki. Jan Douglas siedział opodal z poważną miną.

Przy stole pani Douglas poprosiła Janinę o nalanie herbaty. Janina zarumieniła się znowu, ale spełniła prośbę gospodyni. Ania opisała to przyjęcie w jednym z listów do Stelli:

*Podano ozór na zimno, kurczęta, konfitury z truskawek, placek cytrynowy i tort czekoladowy, potem placek z rodzynekami, babkę, ciasto owocowe i wiele innych przysmaków. Zjadłam dwa razy tyle niż zwykle, lecz pani Douglas z westchnieniem zauważyła, że prawdopodobnie nic mi u niej nie smakuje.*

*- Lękam się, że kochana Janeczka rozpieściła panią swymi potrawami - szepnęła z Uśmiechem. - Naprawdę nikt w Valley Road nie może z nią pod tym względem rywalizować. Może jeszcze kawałek pasztetu, panno Shirley? Przecież pani nic nie jadła?*

*Wyobrażasz sobie mnie, Stello, po zjedzeniu porcji ozora, dużej porcji kurczęcia, trzech biszkoptów, talerzyka konfitur, kawałka ciasta, sporej porcji tortu i kawałka placka z rodzynekami!*

Po herbacie pani Douglas z uśmiechem zwróciła się do Jana, aby poszedł z „kochaną Janeczka” do ogrodu i zerwał dla niej kilka róż.

- Panna Shirley dotrzyma mi towarzystwa, prawda, proszę pani? - rzekła z ujmującym uśmiechem, po czym poprawiła się w swym fotelu, wzdychając głęboko. - Jestem już staruszką, panno Shirley - rzekła po chwili. - Od dwudziestu lat coraz bardziej słabnę i chwilami nie mogę wytrzymać dokuczliwych bólów.

- Jakież to straszne! - zawołała Ania siląc się na uprzejmość, lecz w gruncie rzeczy czuła się bardzo nieswojo.

- Bywały takie noce, kiedy już przypuszczano, że nie doczekam świtu - ciągnęła dalej uroczyście pani Douglas. - Nikt nie może wiedzieć, ile podczas tych nocy przecierpiałam. Pocieszam się tylko, że to wszystko nie może już długo trwać. Skończy się wkrótce moja ciernista pielgrzymka po tym świecie. Cieszy mnie bardzo, że Jan



wybrał sobie taką pocziwą żonę, która na pewno potrafi zastąpić mu matkę.

- Istotnie, Janina jest bardzo miła! - zawołała Ania z zapałem.

- Miła! To anielski charakter! - przyznała pani Douglas. - Pierwszorzędna gospodyni, taka, jaką ja nigdy nie byłam. Zresztą moje zdrowie na to nie pozwalało. Jestem szczęśliwa, że Jan zrobił taki dobry wybór. Mam nadzieję, że będzie im dobrze razem. Jest on moim jedynym synem, panno Shirley, więc jego szczęście jest dla mnie jedną z najważniejszych rzeczy w życiu.

- Oczywiście - szepnęła Ania trochę obojętnie. Po raz pierwszy w życiu czuła się tak nieswojo i sama nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Zdawało jej się, że właściwie nie ma do powiedzenia tej sympatycznej, uśmiechniętej damie, która tak dobrotliwie głaskała jej rękę.

- Przyjdź wkrótce znowu, droga Janinko - rzekła serdecznie pani Douglas przy pożegnaniu. - Stanowczo zbyt rzadko u nas bywasz. Mam nadzieję, że niedługo już Jan zabierze cię do nas na zawsze.

W tej chwili Ania przypadkowo spojrzała na Jana Douglasa i ogarnęło ją nagłe zdziwienie. Wyglądał jak człowiek na torturach, dręczony, ostatnią - możliwą do zniesienia męczarnią. Wydało jej się, że jest chory, starała się więc przyspieszyć pożegnanie zarumienionej Janiny.

- Prawda, że pani Douglas jest ogromnie miła? - zagadnęła Janina, gdy obydwie wyszły na drogę.

- Owszem - odparła Ania jakby półprzytomnie, bo ciągle myślała o dziwnym wyglądzie Jana Douglasa.

- Biedaczka, strasznie cierpi - mówiła Janina z uczuciem. - Przeżywa okropne chwile. Jana także to męczy. Prawie wcale nie wychodzi z domu, lękając się pozostawić matkę tylko pod opieką obcej służącej.

## „PRZYCHODZIŁ I PRZYCHODZIŁ...”

W trzy dni potem, po powrocie ze szkoły, Ania zastała Janinę strasznie zapłakaną. Łzy były takim przeciwieństwem natury Janiny, że Ania na ten widok ogromnie się przeraziła.

- Co się stało? - zawołała z niepokojem.

- Dzisiaj... dzisiaj skończyłam czterdzieści lat - szlochała Janina.

- Przecież wczoraj miała pani prawie tyle samo, a jakoś się pani nie martwiła - pocieszała ją Ania, z trudem tłumiąc uśmiech.

- Ale... Ale... - ciągnęła dalej Janina przelękając łzy - Jan Douglas do dziś jeszcze nie oświadczył się o moją rękę.

- Na pewno to uczyni - rzekła Ania niepewnie. - Niechże mu pani zostawi trochę czasu.

- Czasu! - zawołała Janina boleśnie. - Przecież zwleka z tym dwadzieścia lat! Ileż mu na to czasu potrzeba?

- Więc... więc Jan Douglas przychodzi do pani od dwudziestu lat?

- Tak. I dotychczas ani razu nie wspomniał mi o małżeństwie, a ja już wątpię, czy kiedykolwiek to uczyni. Dotychczas nikomu się z tego nie zwierzałam, lecz doszłam do wniosku, że jeżeli nie powiem komuś o tym, to chyba oszaleję. Jan Douglas zaczął odwiedzać mnie dwadzieścia lat temu, jeszcze przed śmiercią mojej matki. Przychodził i przychodził, a ja po pewnym czasie zaczęłam haftować wyprawę, chociaż on nigdy o małżeństwie mi nie wspominał. Cóż mogłam zrobić? Po ośmiu latach moja matka umarła. Sądziłam, że wtedy się oświadczy widząc, iż pozostałam sama jedna na świecie. Był dla mnie naprawdę bardzo dobry i czynił wszystko, co było w jego mocy, aby mi pomóc, ale i wtedy o małżeństwie nie wspomniał. Od tego czasu nic się w moim życiu nie zmieniło. Ludzie nawet zaczęli się już ze mnie wyśmiewać. Mówią, że nie chcę zostać jego żoną ze względu na chorobę jego matki. Przecież ja bym chętnie ją pielęgnowała. Ale niech myślą, jak chcą. Wolę, żeby się ze mnie śmieli, niż gdyby się nade mną litowali. W każdym razie ogromnie mi przykro, że Jan jeszcze dotychczas nie zaproponował mi małżeństwa. I dlaczego tego nie uczynił? Sądzę, że gdybym znała przyczynę, z pewnością bym się tym tak nie martwiła.

- Może matka jego nie chce, żeby się ożenił - odezwała się Ania.

- Ależ ona bardzo chce! Już kilkakrotnie mi mówiła, że chciałaby widzieć przed swoją śmiercią Jana na ślubnym kobiercu. Ciągłe napomyka o tym, zresztą pani sama słyszała. W takich wypadkach wołałabym się zapaść pod ziemię.

- Cóż mogę na to poradzić? - szepnęła Ania bezradnie. Przyszedł jej na myśl Ludwik Speed, ale przecież tamta historia była zupełnie inna. Jan Douglas absolutnie nie przypominał Ludwika.

- Powinna pani być odważniejszą, Janino - rzekła po chwili rezolutnie. - Dlaczego już dawno pani z nim nie zerwała?

- Nie mogłam - szepnęła biedna Janina z patosem. - Widzi pani, ja go zawsze bardzo kochałam. A zresztą, czy przychodził, czy nie przychodził i tak wiedział, że nie mam nikogo innego poza nim i nikt inny mnie nie interesuje.

- Ale można z nim przecież pomówić jak z mężczyzną - wtrąciła Ania nieśmiało. Janina potrząsnęła przecząco głową.

- Bardzo wątpię. Ja osobiście nie miałam nigdy odwagi, bo zawsze się lękałam, że odejdzie na zawsze. Jestem już widocznie taka tchórzliwa, ale cóż mogę na to poradzić?

- Właśnie może pani poradzić, Janino. Jeszcze nie jest za późno. Proszę zebrać siły. Niech pani mu da do zrozumienia, że dłużej nie myśli pani; znosić jego kapryśków. Ja pani pomogę.

- Wątpię - szepnęła Janina beznadziejnym tonem - wątpię, czy kiedykolwiek zdobędę się na odwagę. Te sprawy są zbyt przewlekłe. Ale pomyślę o tym.

Ania rozczarowała się Janem Douglasem. Od pierwszego wejrzenia bardzo go polubiła i nie sądziła nigdy, aby mógł być typem mężczyzny, który igra z uczuciami kobiety przez okres dwudziestu lat. Za wszelką cenę pragnęła mu dać nauczkę i przekonać się, jaki to odniesie rezultat. Toteż uradowała się ogromnie, gdy Janina, idąc z nią nazajutrz na zebranie kościelne, powiedziała, że postanowiła zdobyć się na odwagę.

- Dam mu do zrozumienia, że nie pozwolę sobą dłużej poniewierać.

- Zupełnie słusznie! - zawołała Ania z powagą.

Po skończonym zebraniu Jan Douglas zbliżył się ze zwykłym swym zapytaniem. Janina sprawiała wrażenie zaleknionej nieco, lecz nie straciła wewnętrznej równowagi.

- Nie, dziękuję panu - odparła chłodno. - Doskonale znam drogę do domu. Od czterdziestu lat ciągle tędy chodzę. Niech się pan nie fatyguje, panie Douglas.

Ania nie spuszczała oka z Douglasa i w świetle księżyca ujrzała znowu na jego twarzy ten męczeński wyraz człowieka skazanego na tortury. Bez słowa odwrócił się i wyszedł na drogę.

- Stać! Stać! - zawołała Ania dziko, nie zdając sobie w tej chwili sprawy, że wszyscy patrzą na nią ze zdziwieniem. - Panie Douglas, proszę się zatrzymać! Niech pan wróci!

Jan Douglas przystanął, lecz nie wrócił. Ania podbiegła do niego, ujęła go pod ramię i przyciągnęła z powrotem do zarumienionej Janiny.

- Pan musi wrócić! - zawołała błagalnie. - To jest omyłka, panie Douglas. To wszystko moja wina. Ja Janinę do tego skłoniłam. Ona nie chciała, ale teraz jest już wszystko w porządku, prawda, Janino?

Janina bez słowa ujęła go pod ramię i poczęła iść szeroką ścieżką. Ania, idąc tuż za nim, wsunęła się do wnętrza domu bocznym wejściem.

- Miła z pani osóbka, nie ma co mówić! - zawołała Janina z przekąsem.

- Nie mogłam inaczej uczynić, Janino - odparła Ania ze skrucą. - Czułam się tak, jakby przy mnie kogoś nieuczestnie mordowano. Musiałam za nim pobiec.

- Bardzo dobrze pani zrobiła, bo i ja widząc Jana odchodzącego miałam wrażenie, że zabrał z sobą wszystkie dotychczasowe radości mego życia. - Ach, jakież to było straszne uczucie!

- Nie pytał, dlaczego pani tak postąpiła? - zagadnęła Ania.

- Nie, ani słowem o tym nie wspomniał - odparła Janina chmurnie.

## JAN DOUGLAS PRZEMÓWIŁ

Ania nie traciła jednak nadziei, że mimo wszystko musi nastąpić jakaś zmiana. Ale zmiana ta jakoś nie następowała. Jan Douglas przychodził, zabierał Janinę na przejażdżki, odprowadzał ją do domu po skończonych zebraniach kościelnych i postępował tak jak przez okres ubiegłych lat dwudziestu, a każdy obserwator odniósłby wrażenie, że postępowanie jego nie zmieni się i przez następne dwadzieścia lat.

Lato mijало, Ania pracowała ciągle w szkole, - w wolnych chwilach pisywała listy i od czasu do czasu zaglądała do uniwersyteckich notatek. Najprzyjemniejsze były przechadzki do szkoły i z powrotem. Zazwyczaj przechodziła przez owo niebezpieczne trzęsawisko, porośnięte mchem i zmieniające się miejscami w nikłe pagórki. Przepływał tamtędy wąski strumyk, otoczony po obydwu stronach wysokimi sosnami, których korę pokrywał świeży, zielony mech.

Mimo wszystko życie w Valley Road wydawało się Ani dziwnie monotonne. Raz tylko zdarzył się ogromnie zabawny przypadek.

Ania nie widziała płowowłosego Szymona od owego wieczoru, kiedy siedział na płocie, a one zajęte były robótką. Pewnego upalnego wieczora sierpniowego chłopak zjawił się znowu i zasiadł uroczyście na ławce przed gankiem. Miał na sobie zwykłe swe robocze ubranie, złożone z łatanych spodni i niebieskiej koszuli, a na głowie stary, słomkowy kapelusz. Spoglądając uroczyście na Anię, nie przestawał gryźć długiej słomki, którą trzymał w ręku. Ania z westchnieniem odłożyła książkę i zabrała się do wyszywania serwetki. Rozmowa z Szymonem była nad wyraz trudna.

Wreszcie po dłuższej chwili milczenia on zaczął mówić pierwszy.

- Mieszkam tuż obok - wskazał słomką sąsiedni dom na lewo.

- Istotnie? - wtrąciła Ania z grzecznym uśmiechem.

- Tak.

- A co pan dalej zamierza robić?

- Myślę ciągle o tym, żeby założyć sobie własny dom. Nawet jeden w Millersville bardzo mi się podoba, ale nim go wynajmę, muszę się ożenić.

- No, zapewne - odparła Ania tłumiąc śmiech.

- Prawda?

Znowu zapadła cisza, a Szymon gryzł dalej swoją słomę.

- Czy pani by mnie chciała? - zagadnął po chwili.

- Co takiego?! - zawołała Ania z rosnącym zdziwieniem.

- Czy pani by mnie chciała?

- Myśli pan o małżeństwie ze mną? - wyszeptwała Ania drżącym głosem.

- Właśnie.

- Jak to, przecież ja pana prawie nie znam! - zawołała Ania z oburzeniem.

- To się poznamy bliżej po ślubie - oznajmił Szymon.

Ania zebrała całą swoją energię.

- Nie mam zamiaru zostać pańską żoną - odparła z godnością.

- Potem może być za późno - szepnął Szymon ostrzegawczo. - Jestem bardzo pracowity i mam już w banku trochę gotówki.

- Proszę ze mną o tym nie mówić! Skąd panu to przyszło do głowy.

Ania odzyskała swe wrodzone poczucie humoru i zaczęła już patrzeć na tę kwestię mniej poważnie.

- Ogromnie mi się pani spodobała i uważam, że jest pani bardzo zgrabna - odezwał się Szymon po chwili. - I pracowita. Nie lubię leniwych kobiet. Niech się pani nad tym zastanowi. Ja swego postanowienia nie zmienię. Ale teraz muszę już iść, trzeba wydoić krowy.

Z dawnych marzeń Ani o romantycznych oświadczeniach w ciągu ostatnich lat nie pozostało ani śladu. Dzięki temu i teraz mogła patrzeć na tę propozycję ze strony humorystycznej, nie doznając żadnego wewnętrznego bólu. Przedrzeźniając Szymona opowiedziała tego samego wieczoru o wszystkim panie Janinie i obie uśmieły się serdecznie.

Pewnego popołudnia, na kilka dni przed wyjazdem Ani z Valley Road, do „Zacisza” przybiegł zdyszany Alek Ward, służący państwa Douglas, i zwrócił się z pośpiechem do Janiny.

- Pan Douglas przysłał po panią! - zawołał. - Nareszcie starsza pani umiera. Przez dwadzieścia lat dosyć udawała.

Janina pobiegła na górę po kapelusz. Ania tymczasem zapytała Warda, czy pani Douglas istotnie czuje się dzisiaj gorzej niż zwykle.

- Tak źle to znowu nie jest - rzekł Alek przyciszonym głosem. - I to mnie właśnie najbardziej zastanawia. Podczas poprzednich ataków ciskała się w fotelu i krzyczała wniebogłosy. Dzisiaj leży cicho, jakby zaniemówiła, ale może to właśnie jest oznaką prawdziwej choroby?

- Nie lubi pan starej pani Douglas? - zagadnęła Ania ciekawie.

- Lubię bardzo koty jako koty, ale nie znoszę, jak kot staje się kobietą -

brzmiała niezrozumiała odpowiedź Warda.

O zmroku Janina wróciła do domu.

- Pani Douglas umarła - oznajmiła przyciszonym głosem. - Wyzionęła ducha zaraz po moim przyjściu. Jeszcze raz przed śmiercią zwróciła się do mnie: „Mam nadzieję, że zostaniesz wreszcie żoną Jana”. Serce mi mocno zabiło. Widocznie matka Jana sądziła, że ze względu na jej chorobę nie chcę się zgodzić na małżeństwo. Nic jej nie odpowiedziałam, bo w pokoju było kilka obcych kobiet. Byłam tylko szczerze zadowolona, że Jan właśnie wyszedł na chwilę.

Janina wybuchnęła głośnym płaczem. Ania zaczęła ją uspokajać serdecznie i przygotowała jej szklankę naparzonego imbiru. Dopiero później zauważyła, że zamiast imbiru podała Janinie odwar z białego pieprzu. Janina jednak była tak zdenerwowana, że nie dostrzegła różnicy.

Nazajutrz po pogrzebie pani Douglas Janina i Ania zasiadły na schodkach ganku, obserwując zachód słońca. Janina miała na sobie swoją brzydką czarną suknię, w której wyglądała bardzo staro, szczególnie dzisiaj, gdy oczy jej zaczerwienione były od płaczu. Prawie zupełnie z sobą nie rozmawiały, bo Janina z dziwną niechęcią słuchała słów pocieszenia Ani. Widocznie lubowała się swym wewnętrznym bólem.

Nagle skrzypnęła furтка ogrodowa i na wąskiej ścieżce ukazał się Jan Douglas. Zdecydowanym krokiem począł iść w stronę ganku. Janina podniosła się z miejsca, a Ania za jej przykładem uczyniła to samo. Ania, wysoka i smukła, miała na sobie białą sukienkę, w której wyglądała uroczo, ale Jan Douglas zdawał się jej dziś zupełnie nie dostrzegać.

Tuż przed gankiem zatrzymał się i rzekł:

- Janino, czy chcesz zostać moją żoną?

Słowa te miały siłę wybuchu tłumionego przez długi okres, okres lat dwudziestu. Twarz Janiny, i tak już czerwona od parodniowego płaczu, nie mogła w tej chwili poczerwienić bardziej.

- Dlaczegoś mi dawniej tego nie zaproponował? - zapytała szeptem.

- Nie mogłem. Wymogła na mnie przyrzeczenie, że tego nie uczynię... matka... ona to na mnie wymogła. Dziewiętnaście lat temu miała pierwszy atak. Byliśmy pewni, że ataku tego nie przeżyje. Wówczas musiałem jej przyrzec, że nie oświadczę ci się, dopóki ona żyć będzie. Z początku nie chciałem dać jej tego przyrzeczenia, chociaż na ogół myślano, że nie będzie już długo żyła. Lekarze twierdzili, że potrwa to jeszcze najwyżej; pół roku. Ale w najstraszniejszych bólach błagała mnie o to na klęczkach,

więc nie mogłem się oprzeć. Przyrzekłem.

- Cóż twoja matka miała przeciwko mnie? - zawołała Janina.

- Absolutnie nic. Nie chciała tylko wpuścić do domu żadnej kobiety. Zagroziła mi nawet, że jeżeli ożenię się z tobą przed jej śmiercią, ona umrze w dzień mojego ślubu, a ja będę jej mordercą. Kilkakrotnie błagałem ją nawet, aby mnie zwolniła z tego przyrzeczenia.

- Dlaczegoś mi o tym nigdy nie wspomniał? - wybuchnęła Janina. - Gdybym wiedziała! Dlaczegoś mi o tym nic nie mówił?

- Zależało jej, aby żywa dusza o tym nie wiedziała - odparł Ja ochrypłym głosem. - Musiałem jej przysiąc na Biblię. Janeczko, nigdy bym tego nie uczynił, gdybym choć przez chwilę przypuszczał, że to taki długo potrwa. Nie wyobrażasz sobie, ile przeżyłem przez te dziewiętnaście j lat. Wiem, że postępowaniem swym przyczyniłem się i do twoich cierpień, ale mimo wszystko zgodzisz się zostać teraz moją żoną, prawda? Och, Janino, powiedz, że się zgadzasz. Przybiegłem tu natychmiast, aby cię o to zapytać.

Oszłupiała Ania dopiero w tej chwili zorientowała się, że obecność jej jest tu zupełnie zbyteczna. Oddaliła się cicho i zetknęła się z Janiną dopiero nazajutrz rano. Wtedy Janina opowiedziała jej dalszy ciąg swojej rozmowy z Janem Douglasem.

- Jakaż to okrutna kobieta! - oburzała się Ania.

- Cicho, ona umarła - rzekła Janina uroczyście. - Nie wolno nam teraz mówić o niej nic złego. Aniu, ale nareszcie i do mnie się szczęście uśmiechnęło. Gdybym знаła przyczynę, na pewno zgodziłabym się czekać nawet jeszcze dłużej.

- Kiedy odbędzie się ślub?

- W przyszłym miesiącu. Będzie to zupełnie cicha ceremonia. Ludzie i tak obgadują mnie za wszystkie czasy. Na pewno rozejdą się plotki o tym, że zaraz po śmierci matki złapałam Jana na wędkę. Jan chciał nawet wyjawić całą prawdę sąsiadom, ale ja mu zabroniłam. „Nie, Janie, przecież ona jednak była twoją matką - tłumaczyłam mu. - Niech ta tajemnica zostanie między nami i niech żaden cień nie padnie na twoją matkę po śmierci. Niechaj ludzie mówią, co chcą, nic mnie to nie obchodzi”. Przekonywałam go tak długo, aż wreszcie przyznał mi słusność.

- Ja bym nie potrafiła tak łatwo przebaczyć - zauważyła Ania.

- Z pewnością zmieni pani swój pogląd na te rzeczy, gdy będzie pani w moim wieku - odparła Janina z pobłażliwym uśmiechem. - Z biegiem lat życie uczy nas, że powinniśmy przebaczać innym. Oczywiście w czterdziestym roku życia przebaczenie



przychodzi łatwiej niż wówczas, gdy się ma lat dwadzieścia.

## ROZPOCZĘCIE OSTATNIEGO ROKU W REDMONDZIE

- Znowu jesteśmy wszystkie razem, pięknie opalone, z zapasem świeżych sił! - zawołała Iza siadając na zamkniętej walizce z westchnieniem ulgi. - Jak to miło powitać stare, kochane „Ustronie Patty”, we cioteczkę i sympatyczne koty. Mruczek znowu stracił kawałek uch prawda?

- Mruczek byłby najsympatyczniejszym kotem na świecie, nawet, gdyby wcale nie miał uszu - oznajmiła Ania siedząc na kufrze, tymczasem Mruczek leżał już na jej kolanach, witając radośnie swą opiekunkę.

- A czy ciocia zadowolona, że nas znów widzi? - pytała Iza.

- Zapewne, tylko wolałabym, żebyście tu uprzątnęły trochę - rzekła ciotka Jakubina patrząc ze zgrozą na porozstawiane walizki, dokoła których rozsiadły się roześmiane dziewczęta. - Na gadanie będzie dc czasu potem. Przede wszystkim praca, a później zabawa - to była moja dewiza za dawnych, młodych lat.

- Teraz się czasy zmieniły, cioteczko. Naszą dewizą jest: naprzód bawić, a potem harować. Lepiej się pracuje, gdy człowiek uprzednio zazna jakiejś rozrywki.

- Jeżeli masz zamiar zostać żoną duchownego - rzekła ciotka Jakubina spychając Zyzia z kolan i odkładając swą nieodstępną robótkę - musisz przestać używać takich wyrażen jak „harówka”.

- Czemuż to? - zapytała Iza. - Czyż żona duchownego musi mówić tylko święte słowa? Ani mi się śni! Jestem pewna, że wszyscy mieszkańcy ulicy Paterson mówią żargonem, i gdybym była zupełnie inna niż oni, uważaliby mnie za nieznośnie sztywną i wyniosłą!

- Czy powiedziałaś już rodzicom o swoich zaręczynach? - zagadnęła Priscilla podając Kotu Sabiny resztki swego śniadania.

Iza skinęła potakująco głową.

- I cóż oni na to?

- Matka zaczęła gderać. Lecz ja byłam nieugięta. Wyobraźcie sobie, Izabela Gordon zdobyła się raz w życiu na stanowczość. Ojciec przyjął to spokojnie, bo i dziadek mój był pastorem, więc ojciec ma dla duchownych pewien sentyment. Gdy matka się nieco uspokoiła, przyprowadziłam Jurka do domu i wyobraźcie sobie, że rodzice od razu go bardzo polubili. Matka tylko podczas rozmowy dawała mu czasem do zrozumienia, że marzyła dla mnie o innej karierze. Tegoroczne wakacje nie przyniosły mi poza tym specjalnych radości. Ale zwyciężyłam i - zdobyłam Jurka. Nic nie jest ważne poza tym.

- Oczywiście dla ciebie - wtrąciła ciotka Jakubina.

- Dla Jurka także - odparła Iza. - Widzę, że ciocia dalej się nad nim lituje. A właściwie dlaczego? Według mnie można mu raczej zazdrościć, bo zdobywa we mnie rozum, urodę i złote serce.

- Dobrze, że zdążyliśmy przywyknąć do twoich tyrad - uśmiechnęła się ciotka Jakubina. - Przypuszczam, że do obcych nie zwracasz się w ten sposób, bo co by tacy ludzie o tobie pomyśleli?

- Och, wcale nie chcę wiedzieć, co inni o mnie myślą. I nie chcę widzieć siebie takiej, jaką inni mnie widzą. Byłabym wówczas nieszczęśliwa. A wracając do rzeczy, to dlaczegoż trzeba traktować wszystko poważnie? Wątpię, czy nawet ludzie modlący się zawsze traktują poważnie i szczerze swoje modlitwy.

- O, zapewne, gdybyśmy byli na tyle uczciwi, by zajrzeć do głębi naszych serc, okazałoby się, że wszyscy czasami modlimy się nieszczerze - rzekła ciotka Jakubina surowo. - Ale moim zdaniem, nieszczera modlitwa nie sięga zbyt wysoko. Ja na przykład modliłam się czasami o to, bym mogła coś przebaczyć jakiejś osobie, lecz teraz zdaję sobie sprawę, że tak naprawdę wcale tego nie pragnęłam. Bo gdy na koniec istotnie tego chciałam, czyniłam to zawsze bez żadnego odwoływania się do modlitwy.

- Nie wyobrażam sobie, aby ciocia pamiętała długo wyrządzone krzywdy - rzekła Stella.

- Och, bardzo długo. Ale wiecie wszystkie, że czas leczy największe cierpienia.

- To mi coś przypomina - uśmiechnęła się Ania i opowiedziała szczegółowo historię Jana i Janiny.

- Opowiedz nam jeszcze o tej romantycznej scenie, o której wspomniałaś w liście - prosiła Iza.

Z prawdziwym poczuciem humoru Ania powtórzyła dziwne oświadczyzny Szymona. Wszystkie zebrane, nie wyłączając ciotki Jakubiny, uśmieły się serdecznie.

- Nieładnie jest kpić z własnego konkurenta - rzekła ciotka Jakubina surowo. - Chociaż ja także to robiłam - dodała po chwili w zamyśleniu.

- Niech nam ciocia opowie o swoich konkurentach! - zawołała Iza. - Musiało ich być bardzo wielu.

- Nie należą oni do przeszłości - odparła staruszka z powagą. - Jeszcze dzisiaj znajdują się od czasu do czasu. Są na przykład w sąsiedztwie, w naszej wsi, trzech wdowcy, którzy przez długi czas przepadali za mną. Nie myślcie, moje dzieci, że romanse całego świata tylko do was należą.

- Nie wiem, czy ci wdowcy są znowu tak bardzo romantyczni, cioteczko.

- No tak, ale i młodzi ludzie nie zawsze bywają romantyczni. Niektórzy moi konkurenci byli rzeczywiście bardzo zabawni, toteż wyśmiewałam okropnie tych biedaków. Jednym z nich był Jim Elwood, który wydawał się być pogrążony stale w półśnie i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się wokoło niego dzieje. Nawet moją odprawę zrozumiał dopiero po roku. W kilka lat później, gdy był już żonaty, wracając w zimie z kościoła zgubił z sań swoją żonę i wcale tego nie zauważył. Potem był Dan Winston. Ten znów był nieco za mądry. Twierdził, że orientuje się nawet w tym, co się dzieje w życiu pozagrobowym. Potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, kiedy nastąpi dzień Sądu Ostatecznego. Prawdziwie podobał mi się Milton Edwards, który był bardzo przystojny, ale nie zostałam jego żoną. Miał niezwykle przytępiony umysł i znaczenie każdego dowcipu rozumiał dopiero po tygodniu, poza tym niezupełnie zdecydowanie się o mnie starał. Najciekawszym z moich konkurentów był Horacy Reeve, ale gdy opowiadał jakąś historię, to tak ją przeplatał kwiecistymi słowami, że trudno było się dopatrzeć jakiegokolwiek treści. Przez długie lata nie mogłam się domyślić, czy wspomina własne przeżycia, czy też to wszystko jest tylko wytworem jego bujnej wyobraźni.

- A co z innymi, cioteczko?

- Naprzód musicie rozpakować rzeczy - oznajmiła ciotka Jakubina dotykając przez omyłkę grzbietu Zyzia, zamiast drutu do robienia pończoch. - Tamci byli zbyt mili, żebym mogła z nich żartować. Wspomnienie o nich jest dla mnie drogie. Aniu, tam w twoim pokoju stoi pudełko z kwiatami, które przyniesiono przed godziną.

W tydzień potem mieszkanki „Ustronia Patty” zabrały się pilnie do nauki. Był to przecież ostatni rok, który miały spędzić w Redmondzie. Ania poświęcała najwięcej czasu angielskiemu. Priscilla ślęczała nad literaturą klasyczną, a Izabela wkuwała matematykę. Niekiedy odczuwały wielkie znużenie i wówczas rozmyślały nad tym, czy warto się tak zamęczać.

Jednego z takich wieczorów pełnych zwątpienia - a było to w listopadzie - Stella stanęła na progu błękitnego pokoju Ani. Zastała Anię siedzącą na podłodze i otoczoną stosem rozsypanych rękopisów.

- Na litość boską, co ty robisz?

- Przeglądam stare nowelki z Klubu Powieściowego. Tym stałym wkuwaniem doprowadziłam się do tego, że cały świat mi obrzydł i potrzebna mi była jakaś rozrywka. Wyciągnęłam z walizki te szpargały i czytając je, pękam ze śmiechu.

- I ja jestem nieprawdopodobnie zniechęcona - rzekła Stella padając na szeroki tapczan. - Nic nie wydaje mi się warte zachodu. Nawet mojej własne myśli są jakieś stare i mam wrażenie, że istniały one w mojej głowie już od dawna. Właściwie jaki pożytek ma się z życia, Aniu?

- Kochanie, wszystkiemu winna jest bezustanna nauka. I ta pogoda! Dzień wypełniony tylko kuciem, a potem ulewna noc - to może stłamsić każdego. Bo przecież w gruncie rzeczy zdajesz sobie sprawę, że życie ma jednak swój urok.

- Och, przypuszczam, chociaż w danej chwili trudno mi w to uwierzyć.

- Pomyśl tylko o tych wielkich i szlachetnych ludziach, którzy żyli i pracowali z ochotą - rzekła Ania w zamyśleniu. - Czyż to nie szczęście; odziedziczyć po nich wszystkie ich zdobycze? A obecni wielcy ludzie! Czyż nie miło jest pomyśleć, że dzielimy w jakiś sposób ich dążenia i aspiracje? A potem ci, którzy przyjdą po nas... Przecież my przygotowujemy im drogę i staramy się właśnie, aby była dla nich łatwiejsza.

- Mój umysł zupełnie się z tobą zgadza, Aniu, ale w duszy nic się ni rozjaśniło. Podczas takiej pogody jestem zazwyczaj smutna i zniechęcona.

- Wiesz, czasami lubię deszcz, na przykład w nocy, gdy leżę w łóżku i wsłuchuję się, jak krople uderzają miarowo po dachu.

- I ja lubię, gdy deszcz pada na dach - uśmiechnęła się Stella. - Ale, niestety, nie zawsze się tak dzieje. Na przykład zeszłego lata przeżyłam okropną noc na starym, wiejskim folwarku. Dach był dziurawy i krople deszczu spływały prosto na moje łóżko. To nie było znowu takie poetyczne. Musiałam wstać w nocy i przesunąć łóżko pod inną ścianę. Muszę dodać, że łóżko było ogromnie ciężkie, ważyło chyba ze stój kilogramów. Później leżałam z otwartymi oczami, wsłuchana w miarowy plusk kropel deszczowych, uderzających o podłogę. Nie możesz sobie wyobrazić, jak w takiej ciszy plusk deszczu może człowieka zdenerwować. Wydawało mi się, że to stąpają duchy. Aniu, z czego się śmiejesz?

- Z tych moich starych nowelek. Iza orzekłaby na pewno, że są, zabójcze. Zabójczą historią jest dla niej taka, w której bohaterowie umierają. W naszych dawnych opowiadaniach występowały bajeczne bohaterki. Stroiłyśmy je w jedwabie, aksamity i klejnoty. Przeważnie miały złociste albo kruczoczarne włosy. Janka Andrews w jednym swym opowiadaniu stworzyła bohaterkę, która sypiała w atlasowym stroju wyszywanym prawdziwymi perłami.

- Przeczytaj mi któreś z tych opowiadań - prosiła Stella. - Zaczynam odczuwać

wartość życia, skoro w życiu można się chociaż uśmieć.

- Tu jest jedna z moich nowel. Główna bohaterka wchodzi na salę balową, świecąc od stóp do głowy brylantami. Ale uroda i przepyszny strój nic nie znaczą. To wszystko prowadziło zawsze do grobu, bo większość moich bohaterek albo umierała z tęsknoty, albo też padała z ręki tajemniczego mordercy. Nawet ja nie mogłam znaleźć dla nich ratunku.

- Pozwól mi przeczytać niektóre swoje nowele.

- Oto jedno z moich licznych arcydzieł. Tytuł brzmi naprawdę humorystycznie: „Moje mogiły”. Pisząc tę nowelę wylałam chyba z kwartę łez, a dziewczęta też szlochały czytając te moje bazgrały. Janka Andrews dostała burę od swojej matki, bo w tym tygodniu wybrudziła dużo chustek do nosa. Bohaterką tego opowiadania jest żona księdza metodysty. Zrobiłam z niej misjonarkę, bo chciałam, żeby podróżowała. Na każdym etapie swojej podróży musiała pochować jedno dziecko. Było ich dziewięć, a mogiły ich znajdowały się na przestrzeni między Nową Fundlandią a Vancouverem. Opisałam dokładnie wszystkie dzieci, wszystkie rodzaje ich śmierci jak też pomniki i nagrobki. Zamierzałam nawet uśmiercić i dziesiąte dziecko, ale gdy dziewiąte kładłam już do mogiły, fantazja mnie nagle zawiodła i najmłodszego biedaka zostawiłam przy życiu jako bezradnego kalekę.

Podczas gdy Stella czytała z zainteresowaniem „Moje mogiły”, wybuchając co chwila głośnym śmiechem, a Mruczek po całonocnej wyprawie spał głębokim snem, położywszy się na opowiadaniu Janki Andrews o pięknej, siedemnastoletniej dziewczynie, która poszła pracować jako pielęgniarka wśród trędowatych i oczywiście umarła tam - Ania zaczęła przeglądać inne rękopisy, wspominając szkolne czasy, gdy to członkowie Klubu Powieściowego siadywali w cieniu sosen i pisali swe straszne opowieści. Jakież to było przyjemne zajęcie!

W miarę czytania powracały wspomnienia, wyrastał słoneczny obraz dawnych lat. Nie, doprawdy nic nie mogło przysłonić uroku tych zabawnych i rzewnych opowiadań Klubu Powieściowego! Między innymi wpadła Ani w rękę jakaś nowela pisana na arkuszach szarego papieru do pakowania. Ania zaśmiała się serdecznie, bo przypomniała sobie, że ten właśnie szkic napisała owego wieczoru, gdy wpadła przez dach do kurnika pań Copp w Tory Road.

Z początku rzuciła nań tylko okiem, po chwili jednak zaczęła czytać ciekawie. Był to krótki dialog między astrami, groszkiem pachnącym, dzikim kanarkiem, ukrytym w gałęziach bzu, i opiekuńczym duchem ogrodu.

Po wyjściu Stelli Ania wygładziła zgniecione arkusze i szepnęła do siebie w zamyśleniu: - Sądzę, że to zrobię.

## WIZYTA GARDNERÓW

- Oto list dla ciotki Jakubiny z indyjskim znaczkiem - rzekła Iza. Tu są trzy listy dla Stelli, dwa dla Priscilli i jeden gruby dla mnie od Jurka. Dla ciebie nie ma nic oprócz jakiegoś zawiadomienia adresowanego na maszynie.

Nie zauważyła rumieńca na twarzy Ani, gdy podała jej niedbale cienką kopertę. Dopiero po kilku chwilach dostrzegła dziwną zmianę w wyglądzie swej przyjaciółki.

- Cóż, kochanie, dobra wiadomość?

- Redakcja „Przyjaciela Młodzieży” przyjęła moją nowelkę, którą posłałam przed dwoma tygodniami - odparła Ania siląc się na swobodę i robiąc taką minę, jakby przywykła już do tego, że każda poczta przynosi jej wiadomości o zakwalifikowaniu noweli. Jednakże ta obojętność tym razem nie bardzo jej się udała.

- Aniu Shirley, przecież to wspaniałe! Jaka to była nowela? Kiedy będzie drukowana? Zapłacą ci za nią?

- Naturalnie. Przysłali mi czek na dziesięć dolarów, a redaktor pisze, że byłby bardzo zadowolony, gdybym mu nadesłała inne swoje prace. Miły człowiek. Na pewno mu coś znowu pošlę. Tę nowelę znalazłam na dnie walizki. Przepisałam ją i posłałam nie wierząc oczywiście, że zostanie przyjęta. - Ania przypomniała sobie w tej chwili niemiłą przygodę z „Pokutą Aweryli”.

- Co zrobisz z tymi dziesięcioma dolarami? Może pójdziemy wszystkie do miasta, aby się zabawić? - zaproponowała Iza.

- W każdym razie na pewno je prze hulam! - zawołała Ania wesoło. - Przecież to nie są takie brudne pieniądze, jak tamte, które otrzymałam za nowelę reklamującą proszek do pieczenia ciasta. Za tamte dwadzieścia pięć dolarów kupiłam sobie rozmaite rzeczy, których potem wcale nie nosiłam.

- I pomyśleć tylko, że mamy w „Ustroniu Patty” prawdziwą literatkę! - zawołała Priscilla.

- To wielka odpowiedzialność - rzekła uroczyście ciotka Jakubina.

- Istotnie - przyznała Priscilla równie uroczyście tonem. - Literaci to kapryśni ludzie. Trudno przewidzieć, co im wpadnie do głowy. Ania na przykład może którąś z nas wziąć za bohaterkę swej noweli.

- Chciałam powiedzieć, że pisanie nowel jest wielką odpowiedzialnością - powtórzyła surowo ciotka Jakubina. - Jestem pewna, że Ania to zrozumiała. Moja córka także pisała nowelki przed wyjazdem, teraz jednak skierowała całą swą uwagę na ważniejsze sprawy. Zawsze mówiła, że postępuje zgodnie z zasadą: „Nie pisz nigdy



tego, co byś ze wstydem musiała odczytać na swoim pogrzebie”. I ty, Aniu, pomyśl o tym, jeżeli chcesz poświęcić się literaturze. Zresztą - dodała ciotka Jakubina po chwili - Elżbieta także się śmiała z tej zasady. W ogóle była z niej okropna śmieszka i nie rozumiem, jak mogła się poświęcić misjonarstwu. Chociaż ogromnie się z tego cieszę, to jednak wolałabym, żeby się wówczas na to nie zdobyła.

Ciotka Jakubina nie wiedziała, dlaczego wszystkie dziewczęta wybuchnęły głośnym śmiechem.

Przez cały dzień Ania biegła po mieszkaniu rozradowana. Rozbudzone na nowo ambicje literackie nie dawały jej spokoju. Na spacerze była w doskonałym humorze i nawet na widok Gilberta i Krystyny nie posmutniała ani na chwilę. Zdążyła jednak zauważyć, że Krystyna bardzo niezgrabnie stawia nogi.

„Prawdopodobnie Gilbert patrzy tylko na jej twarz - pomyślała z pogardą. - Zresztą, jak każdy mężczyzna”.

- Będiesz w domu w sobotę po południu? - zapytał Robert.

- Owszem.

- Bo matka moja wraz z siostrami chciałaby cię odwiedzić - dodał po chwili ze spokojem.

Ania uczuła nagle dreszcz, ale ten dreszcz nie sprawił jej przyjemności. Rodziny Roberta jeszcze dotychczas nie знаła. Wydało jej się, że wizyta ta połączona jest z czymś nieuniknionym, przed czym odczuwała lęk.

- Bardzo mi będzie miło - odparła zastanawiając się jednocześnie, czy rzeczywiście będzie jej tak miło.

Czy wizyta ta nie będzie pewnego rodzaju próbą? Plotkarze redmondzcy już dawno opowiadali Ani, że rodzina Gardnerów nie pochwała zamiarów Roberta w stosunku do młodej studentki. Prawdopodobnie przed decyzją tej dziwnej wizyty Robert musiał dużo przecierpieć. Ania zdawała sobie sprawę, że będzie wystawiona na skrupulatne oględziny. Widocznie jednak panie Gardner, rade nierade, były skłonne uznać ją za członka swojej rodziny.

„Muszę być sobą i nie będę dokładać specjalnych starań, aby wyrzeć na nich dobre wrażenie” - myślała Ania z dumą. Zaczęła się zastanawiać, w jakiej sukni ma przyjąć gości i jak się uczesać na to popołudnie. W każdym razie spacer przestał być dla niej przyjemnością. Wreszcie wieczorem zdecydowała, że wystąpi w brązowej szyfonowej sukni i uczesze się zupełnie gładko.

Na uniwersytecie redmondzkim piątkowe popołudnie było wolne od wykładów.

Korzystając ze sposobności, Stella zajęła się pisaniem referatu dla towarzystwa filomackiego i w tym celu zasiadła w bawialni pośród stosu porzucanych wokół notatek, nakreślonych na małych kartkach papieru. Ania ubrana w starą flanelową bluzkę i wełnianą spódniczkę, z włosami nieco potarganymi, siedziała na podłodze bawiąc się kością z Kotem Sabiny. Zyzio i Mruczek ulokowały się na jej kolanach. W całym mieszkaniu pachniało powidłami ze śliwek, które Priscilla smażyła w kuchni. W pewnej chwili Priscilla wbiegła do pokoju w szerokim kucharskim fartuchu, ze śladami kremu na nosie, aby pokazać ciotce Jakubinie czekoladowy torcik, który właśnie upiekła.

Nagle zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych. Nikt nie zwrócił na to uwagi, tylko Iza zerwała się z krzesła i pobiegła otworzyć, będąc pewna, że to chłopak ze sklepu przyniósł jej nowy kapelusz, który kupiła tego dnia rano. Wtem na progu stanęła pani Gardner z córkami.

Ania oszołomiona podniosła się z podłogi, zrzucając z kolan zaspane koty, i bezwiednie przełożyła kość z jednej ręki do drugiej. Priscilla, która była zmuszona przejść do kuchni przez całą bawialnię, zupełnie straciła głowę i pośpiesznie schowała trzymany na tacy czekoladowy - placek pod poduszkę na kanapie. Stella zaczęła gorączkowo zbierać swoje notatki. Tylko ciotka Jakubina i Iza zachowały zupełny spokój. Dzięki nim wszystkie po chwili odzyskały równowagę, nie wyłączając Ani. Priscilla pośpiesznie zdjęła w kuchni fartuch i weszła swobodnym krokiem do pokoju, Stella pozbiierała skrzętnie notatki, a Iza poczęła ratować sytuację swą zwykłą paplaniną.

Pani Gardner była to wysoka, przystojna, wytwornie ubrana kobieta, dość serdeczna, ale trochę w sztuczny sposób. Alina Gardner wyglądem swym bardzo przypominała matkę, ale była jeszcze bardziej od niej sztywna. Dorota Gardner, smukła i wesoła, sprawiała wrażenie trzpiotowatej dziewczynki. Wiedząc, że Dorota jest ukochaną siostrą Roberta, Ania odniosła się do niej serdecznie. Była nawet podobna do Roberta, tylko nie miała tak ładnych brązowych oczu. Dzięki Dorocie i Izie wizyta minęłaby w zupełnie dobrym nastroju, gdyby nie zaszły dwa niemiłe zdarzenia. W pewnym momencie Mruczek i Zyzio, na których nikt dotychczas nie zwracał uwagi, wskoczyli na kolana pani Gardner i - po krótkiej chwili - znaleźli się z powrotem na podłodze. Pani Gardner włożyła binokle i spojrzała na koty w taki sposób, jakby po raz pierwszy w życiu widziała zwierzęta. Ania przeprosiła ją uprzejmie, tłumiąc jednocześnie nerwowy śmiech.

- Pani lubi koty? - spytała pani Gardner z uśmiechem pobłażliwego zdumienia.

Mimo całej sympatii dla Mruczka Ania właściwie nie lubiła kotów, ale ton pani Gardner ogromnie ją oburzył.

- Przecież to bardzo miłe zwierzęta - rzekła przekornie.

- Nigdy nie lubiłam kotów - oznajmiła pani Gardner wyniośle.

- Ja je ogromnie lubię - wtrąciła Dorota. - Są ładne i egoistyczne. Psy są stanowczo za dobre i za mało samolubne. Natura kotów przypomina mi zawsze naturę ludzką.

- Czy mogę obejrzyć te dwa porcelanowe pieski? - zapytała Alina, podchodząc do kominka i stając się tym samym przyczyną drugiego niemilego zdarzenia. Przy podnoszeniu Magoga usiadła na poduszce, pod którą Priscilla umieściła swój czekoladowy placek. Priscilla spojrzała wymownie na Anię, ale oczywiście nie mogła już zapobiec nieszczęściu. Rozprawiając o porcelanowych chińskich psach, Alina przesiadła na nieszczęsnej poduszce aż do końca wizyty.

Już z przedpokoju Dorota powróciła na chwilę do bawialni i ściskając dłoń Ani szepnęła gorąco:

- Na pewno zostaniemy przyjaciółkami, Robert mi dużo o pani opowiadał. Tylko mnie mówi o takich rzeczach, bo na mamie i Alinie trudno byłoby polegać. Musicie tutaj bajecznie spędzać czas. Czy pozwolicie, że będę przychodzić częściej?

- Bardzo proszę, kiedy tylko pani zechce - odparła Ania, zadowolona, że choć jedna z siostr Roberta była osobą wzbudzającą sympatię. Zdawała sobie sprawę, że nigdy nie polubi Aliny - prędzej potrafiłaby się przekonać do pani Gardner niż do Aliny, która wyjątkowo jej się nie podobała.

Po wyjściu gości Ania odetchnęła z ulgą.

- Ze wszystkich nieszczęść cóż gorszego mogło nas spotkać? - wyrecytowała tragicznym tonem Priscilla unosząc nieszczęsną poduszkę. - Teraz placek ma naprawdę zakalec, a poduszkę też można wyrzucić. Już nie będziecie się chyba śmiały, jak powiem, że piątek jest dniem feralnym.

- Wizyta zapowiedziana na sobotę nie powinna się odbywać w piątek - oświadczyła z naganą ciotka Jakubina.

- To pewnie Robert się omylił - wtrąciła Iza. - Przecież w obecności Ani jest kompletnie niepoczytalny. Ale gdzie się Ania podziała?

Ania tymczasem wbiegła na górę do swego pokoju i choć zbierało jej się na płacz, siłą zmusiła się do uśmiechu. Wszystkiemu winne są te koty! Ale na szczęście

Dorota jest naprawdę bardzo miła.

## OSIĄGNIĘCIE CELU

- Wolałabym raczej umrzeć niż się oblać - z niecierpliwością biadała Iza. - Czy ja doczekam jutrzejszego dnia?

- Jak będziesz żyła, to na pewno doczekasz - odparła Ania ze spokojem.

- Łatwo ci mówić. Ty na swoim wydziale filozoficznym czujesz się jak i siebie w domu. A ja? Gdy myślę o jutrzejszym dniu, ogarnia mnie przerażenie. Co powie Jurek, jeśli się obetnę?

- Nie ma obawy. A jak ci dzisiaj poszła greka?

- Sama nie wiem. Może dobrze napisałam, a może tak źle, że Home przewraca się w grobie. Tak długo wkuwałam, że zupełnie straciła głowę. Boże, jakaż ja będę szczęśliwa po tej egzaminacji!

- Egzaminacji? Takiego wyrazu nie słyszałam nigdy w życiu.

- Cóż to? Czyż mi nie wolno tworzyć nowych wyrazów? - oburzyła się Iza.

- Wyrazów nikt nie tworzy, same się rodzą - rzekła Ania.

- Nie szkodzi. Te egzaminy zupełnie mi odjęły rozum. Dziewczęta, wyobraźcie sobie, że nasze wspólne życie uniwersyteckie już mija!

- Ja nie mogę sobie tego wyobrazić - szepnęła Ania ze smutkiem. - Ciągle mi się zdaje, że to dopiero wczoraj stałyśmy z Priscillą w tłumie nowicjuszków. I oto nagle zdajemy końcowe egzaminy.

- Można nas już nazwać wybitnymi, mądrymi i czcigodnymi absolwentkami - dodała Iza z uśmiechem. - Czy sądzisz, że istotnie jesteśmy teraz mądrzejsze niż w chwili przybycia do Redmondu?

- W każdym razie zachowanie wasze o tym nie świadczy - wtrąciła surowo ciotka Jakubina.

- Och, ciociu Kubciu, czyż nie byliśmy grzeczne przez te trzy lata, kiedy nam ciocia matkowała? - przymilała się Iza z uśmiechem.

- Wszystkie cztery byłyście naprawdę bardzo dobre i miłe - przyznała ciotka Jakubina, która na ogół nie lubiła szafować komplementami. - Ale nie jesteście jeszcze wystarczająco rozsądne. Trudno się tego zresztą po was spodziewać, bo musiałybyście mieć nieco większe doświadczenie. Nawet na uniwersytecie nikogo rozumu nie nauczą. Wyście skończyły uniwersytet, a ja tam nigdy nie byłam, a jednak, jeżeli idzie o życie, to wiem o wiele więcej od was.

- Są rzeczy, których żadna szkoła człowiekowi nie da - wyrecytowała Stella.

- Czy na uniwersytecie nauczyłyście się czegoś więcej oprócz języków i

geometrii? - zapytała z powątpiewaniem ciotka Jakubina.

- O, tak, myślę, że nauczyłyśmy się więcej - odpowiedziała Ania.

- Nauczono nas tej prawdy, o której profesor Woodleigh mówił na ostatnim zebraniu filomackim - oznajmiła Iza. - Powiedział wtedy: „Humor jest najwspanialszym bogactwem życia. ŚmieJCie się ze swych omyłek, czerpiąc z nich jednocześnie naukę. Trudności życiowe obracajcie w żart, ale starajcie się przewycięzać je”. Czyż to nie mądra nauka, ciociu Kubciu?

- Owszem, kochanie. Jeżeli nauczyłyście się śmiać z rzeczy śmiesznych, a nie z tych, które są na to zbyt poważne, to zdobyłyście mądrość i zrozumienie spraw życia.

- Aniu, a co ty skorzystałaś ze studiów uniwersyteckich? - szepnęła Priscilla na stronie.

- Myślę - odparła wolno Ania - że istotnie nauczyłam się patrzeć na każdą trudność jak na żart, a na każdą większą przeszkodę jak na zapowiedź zwycięstwa. Prawdopodobnie to właśnie dały mi studia redmondzkie.

- Chcąc wyrazić to, co zdobyłam na uniwersytecie, przytoczę tutaj inne słowa profesora Woodleigha - wtrąciła Priscilla. - Pamiętacie chyba jego ostatnie przemówienie: „Na świecie jest tak dużo mądrości - dla was wszystkich - że trzeba tylko umieć patrzeć, trzeba mieć serce otwarte, by tę mądrość pokochać, i chętnie dłonie, aby ją do siebie zagarnąć. Mądrość ta istnieje zarówno w ludziach - mężczyznach i kobietach - jak i w sztuce, i w literaturze, słowem, wszędzie, i za to powinniśmy odczuwać wdzięczność”. Mam wrażenie, że właśnie Redmond nauczył mnie umiejętności dostrzegania tego wszystkiego.

- Z tego, co mówicie - zauważyła ciotka Jakubina - wynika, że macie jednak z natury dość rozsądku, aby w ciągu czterech lat pojąć to, na co inni tracą długie lata życia. To jedynie w moich oczach usprawiedliwia wyższe wykształcenie, bo jest to rzecz, co do której miałam zawsze pewne wątpliwości.

- Ciociu Kubciu, a co się ma stać z tymi, których natura nie obdarzyła rozsądkiem?

- Ludzie, którzy nie mają wrodzonego rozsądku, nigdy się niczego nie nauczą - odparła ciotka Jakubina - nie pomoże im ani szkoła, ani życie. Choćby żyli nawet sto lat, nigdy nie nauczą się więcej, niż umieli w chwili swego urodzenia. Nie jest to ich winą, lecz tylko prostym nieszczęściem. Toteż ci, którzy posiadają ten wrodzony rozsądek, powinni gorąco dziękować Bogu.

- Zechce nam ciocia wyjaśnić bliżej, co to jest właściwie ów wrodzony

rozsądek? - pytała Iza.

- To zupełnie zbyteczne, droga młoda kobietko. Człowiek posiadający rozsądek doskonale się orientuje, co to jest, a ten, który tego daru został pozbawiony, i tak nigdy nie zrozumie.

Dni płynęły za dniami i wreszcie egzaminy minęły jak ciężki sen. Ania otrzymała najwyższe odznaczenie z angielskiego, Priscilla osiągnęła zwycięstwo w literaturze klasycznej, a Iza w matematyce. Stella dostała również doskonałe świadectwo.

Wreszcie nadszedł dzień promocji.

- Kiedyś uważałam, że ten dzień będzie najważniejszą chwilą w moim życiu - mówiła Ania wyjmując z pudełka fiołki od Roberta i przyglądając się im w zamyśleniu. Zamierzała przypiąć je do sukni, lecz w tej chwili spojrzenie jej padło na drugie pudełko stojące na stole. Były w nim konwalie, tak samo świeże i wonne jak tamte, rosnące na Zielonym Wzgórzu. Obok pudełka leżała wizytówka Gilberta Blythe.

Ania zdziwiła się, że Gilbert przysłał jej na promocję kwiaty. Rzadko go widywała ostatniej zimy. Od świąt Bożego Narodzenia raz tylko, w piątek, zawitał do „Ustronia Patty”, a poza tym także nieczęsto się spotykali. Podobno Gilbert pilnie się uczył, pragnąc otrzymać najwyższe odznaczenie i nagrodę Coopera. W życiu towarzyskim prawie wcale nie brał udziału. Ania zaś spędziła zimę bardzo wesoło. Często widywała się z Gardnerami, zaprzyjaźniła się serdecznie z Dorotą i w Redmondzie mówiono już całkiem głośno o jej przyszłych zaręczynach z Robertem.

Ania sama przypuszczała, że to wkrótce nastąpi. Jednakże, przed wyjściem na promocję, zamiast fiołków Roberta przypięła do sukni pęczek konwalii, który jej przysłał Gilbert. Sama nie umiała wytłumaczyć, dlaczego to uczyniła. Właśnie teraz, gdy dotarła do upragnionego celu, wydały jej się nagle dziwnie bliskie dni dzieciństwa spędzonego w Avonlea, dawne marzenia, dawne przyjaźnie. Ileż to razy wyobrażali sobie razem z Gilbertem przyszłość, mówili o promocji! Teraz, gdy ten dzień nadszedł wreszcie, nie należało go profanować fiołkami Roberta. Tylko kwiaty od starego przyjaciela pasowały do momentu, w którym spełniały się dawne nadzieje.

Od wielu lat promocja była jednym z najśmielszych marzeń Ani, ale gdy wreszcie chwila ta nadeszła i rektor wręczył jej dyplom, Ania nie odczuła spodziewanego wzruszenia. Nie wpłynął na jej nastrój widok rozradowanej twarzy Gilberta, który ujrzał swoje konwalie przy jej sukni, ani pochmurnego spojrzenia Roberta. Nie poruszyły jej także serdeczne powinszowania Doroty, nie mówiąc już o

powściągliwych gratulacjach Aliny. W głębi duszy odczuwała dziwny ból, który psuł jej całą radość tego dnia i napawał ją niezmierną goryczą.

Absolwenci urządzili poprzedniego wieczoru zabawę taneczną. Ania, ubierając się w swym błękitnym pokoiku, odrzuciła perły, które zawsze nosiła, i drżącą ręką wyjęła z walizki małe pudełeczko, które przybyło w wigilię Bożego Narodzenia na Zielone Wzgórze. Na białym atłasie pudełka leżał cieniutki złoty łańcuszek z małym, różowym serduszkciem; emalii. Tuż przy łańcuszku spoczywała wizytówka z napisem: „Najserdeczniejsze życzenia od dawnego przyjaciela, Gilberta”. Prezent ten wywołał uśmiech na twarzy Ani, bo patrząc na łańcuszek, przypomniała sobie ów tragiczny dzień, kiedy to Gilbert nazwał ją „Marchewką”, potem usiłował przeprosić darowując jej różowe serduszko z lukru. Napisała też od razu do Gilberta kilka słów podzięk, lecz nigdy dotąd nie nosiła uroczej błyskotki. Tego wieczoru po raz pierwszy zawiesiła na szyi złoty łańcuszek uśmiechając się łagodnie.

Wyruszyły do Redmondu obydwie z Izą. Ania szła w milczeniu, Iza paplała o wszystkim i o niczym. Nagle powiedziała:

- Mówiono mi, że zaraz po promocji mają się odbyć oficjalne zaręczyny Gilberta z Krystyną Stuart. Wiesz coś o tym?

- Nie - odparła Ania.

- Przypuszczam, że to prawda - rzekła Iza lekko.

Ania nie odpowiedziała. Czowała, że na twarz jej wypłynął purpurowy rumieniec. Zdecydowanym ruchem sięgnęła za kołnierz palta i jednym szarpnięciem zerwała łańcuszek, po czym zręcznym ruchem wsunęła go wraz z wisiorkiem do kieszeni. Ręce jej drżały, oczy stały się błyszczące.

Na zabawie była najweselszą ze wszystkich, a gdy Gilbert zbliżył się do niej, prosząc do tańca, odpowiedziała mu swobodnie, że wszystkie tańce ma już zajęte. Znalazłszy się potem wraz z przyjaciółkami w obszernej bawialni „Ustronia Patty”, rozprawiała o najciekawszych wydarzeniach wieczoru z najlepszym humorem.

- Po waszym wyjściu był tu Moody Spurgeon MacPherson - rzekła ciotka Jakubina, która przez całą noc siedziała przy kominku, oczekując powrotu swych pupilek. - Nic nie wiedział o zabawie. Ten chłopak ma przeraźliwie odstające uszy, powinien je sobie na noc przewiązywać chustką. Jeden z moich dawnych konkurentów tak robił i podobno pomogło mu to wyśmienicie. Zresztą ja mu to poradziłam, ale potem nie widziałam go już więcej, bo się obraził.

- Moody Spurgeon jest ogromnie poważny - ziewnęła Priscilla. - Ma ważniejsze



sprawy na głowie niż przyplaszczanie uszu. Wiecie pewnie, że poświęcił się zawodowi pastora.

- To dobrze, bo przypuszczam, że Bóg nie będzie zwracał uwagi na jego uszy - stwierdziła ciotka Jakubina uroczyście, przerywając tym samym dalsze wywody na temat biednego MacPhersona. Ciotka żywiła szczególny respekt dla księży, nawet wtedy jeśli to byli młodzi, nieopierzeni pastorzy.

## ROZCHWIANE ZŁUDZENIA

- Trudno sobie wyobrazić, że za tydzień będę już w Avonlea - mówiła Ania pochylona nad walizką, w której układała haftowane kapy pani! Linde. - Czyż nie uroczo? Ale jednocześnie od dzisiaj za tydzień na zawsze wyjadę z „Ustronia Patty”. To jest z kolei bardzo przykre.

- Ciekawa jestem, czy duch naszej wesołości odbije się echem w; dziewiczych snach panny Patty i panny Marii? - rozmyślała Iza.

Panna Patty ze swą siostrzenicą miały niedługo wrócić do domu po długotrwałej podróży dookoła świata.

*Przyjedziemy prawdopodobnie w pierwszej połowie maja - pisała panna Patty. - Przypuszczam, że „Ustronie Patty” wyda nam się bardzo szczupłe po obszernych komnatach królów Karnaku, chociaż zasadniczo nie chciałabym mieszkać w takich wielkich pałacach. Cieszę się na myśl, że wrócę wreszcie do domu. Gdy się podróżuje w starszym wieku, pragnie się wyzyskać każdą okazję, bo zawsze człowiek pamięta, że mu zostało już niewiele czasu. Lękam się, że Maria nigdy nie odzyska swego dawnego humoru.*

- Pozostawię tutaj wszystkie moje młode marzenia, aby błogosławiły następnych mieszkańców - szepnęła Ania rozglądając się po swym niebieskim pokoiku, w którym przeżyła trzy długie, szczęśliwe lata. Przy tym okienku klęczała odmawiając wieczorny pacierz i patrzyła na słońce zachodzące poza kępą pobliskich sosen. Między tymi czterema ścianami wsłuchiwała się w plusk kropel jesiennego deszczu, a wiosną witała na parapecie okna przylatujące pliszki. Myślała teraz o tym, czy w pokoju, w którym mieszkała przez długi czas, marzyła, radowała się, śmiała, smuciła i płakała, pozostanie jakiś ślad po niej, coś nieuchwytnego i niewidzialnego, co przetrwa poza nią jak bezgłośne wspomnienie.

- Sądzę - szepnęła Iza - że pokój, w którym się marzyło, cieszyło i cierpiało, w którym się prawdziwie żyło, zachowuje w swych ścianach na zawsze coś z osobowości danego człowieka. Jestem pewna, że gdybym nawet za pięćdziesiąt lat weszła do tego pokoju, od ścian powiałoby ku mnie cichym szeptem: Ania, Ania... Cudne chwile przeżywałyśmy tutaj, prawda, kochanie? Ileż tu było wrzawy i śmiechu! W czerwcu odbędzie się mój ślub z Jurkiem i jestem przekonana, że będę się czuła ogromnie szczęśliwa. W tej chwili jednak zdaje mi się, że wolałabym wieść dalej takie życie, jakie wiodłam dotychczas.

- I ja podświadomie pragnę tego samego - przyznała Ania. - Choćby przyszłość

miała nam przynieść wiele radości, to jednak nigdy nam już nie będzie tak wesoło, jak za czasów uniwersyteckich. Tamto minęło bezpowrotnie.

- A co będzie z Mruczkiem? - zagadnęła Iza, bo właśnie w tej chwili ulubieniec Ani wsunął się do pokoju.

- Zabiorę go do domu razem z Zyziem i Kotem Sabiny - oznajmiła ciotka Jakubina stając w otwartych drzwiach. - Nie można przecież rozdzielać tak serdecznych przyjaciół. Koty także potrafią cierpieć i gotowe zdechnąć z tęsknoty.

- Przykro mi rozstawać się z Mruczkiem - rzekła Ania z żalem - ale nie mogę zabrać go na Zielone Wzgórze. Maryła nie lubi kotów, a Tadzio na pewno by go wkrótce zamęczył. Poza tym wątpię, czy zostanę długo w domu. Zaproponowano mi kierownictwo wyższej szkoły żeńskiej w Summerside.

- I przyjmujesz tę posadę? - zapytała Iza.

- Właściwie jeszcze się nie zdecydowałam - odparła Ania, nagle się rumieniąc.

Iza skinęła głową ze zrozumieniem. Oczywiście, Ania nie mogła robić żadnych planów, dopóki nie wyjaśni się kwestia jej małżeństwa z Robertem. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Robert wkrótce się zdeklaruje, a z drugiej strony wszyscy byli pewni, że Ania odpowie „tak”. Ania sama myślała o tej chwili z przyjemnością. Przecież była głęboko zakochana w Robertcie. To prawda, że niegdyś marzyła o zupełnie innej miłości. Lecz marzenia lat dziecińczych rzadko kiedy się urzeczywistniają. Przypomniało jej się rozczarowanie, jakie spotkało ją jeszcze w dzieciństwie, kiedy ujrzała brylant. Wyobrażała go sobie przedtem jako czerwony, wspaniały kamień, a zobaczyła małą, zimną iskierkę.

„To nie jest brylant z mojej wyobraźni” - powiedziała wtedy. Lecz Robert jest miłym, poczciwym chłopcem i na pewno przy jego boku będzie ogromnie szczęśliwa, nawet bez tego czegoś nieokreślonego, za czym tęskniła i czego nie danym jej było zaznać.

Gdy Robert zjawił się wieczorem i zaproponował Ani spacer po parku, mieszkanki „Ustronia Patty” były pewne, że dzisiaj wreszcie kwestia się wyjaśni. Odpowiedź Ani dokładnie była wszystkim znana.

- Ania ma szczęście - rzekła ciotka Jakubina z uśmiechem.

- Czyżby? - odparła Stella wzruszając ramionami. - Co prawda Robert jest bardzo sympatyczny, ale nie widzę w nim nic szczególnego.

- To wygląda na zazdrość, Stello! - w głosie ciotki Jakubiny brzmiała nagana.

- Może to tak wygląda, ale naprawdę nie jestem zazdrosna - odparła Stella

spokojnie. - Bardzo kocham Anię i lubię Roberta. Wszyscy twierdzą, że Ania robi świetną partię, a nawet pani Gardner już także się do niej przekonała i uważa ją za czarującą osobę. Ale chociaż powiadają, że losami ludzi rządzi Opatrzność, ja jednak w tym wypadku mam poważne wątpliwości.

W owym małym pawilonie w pobliżu portu, gdzie prowadzili z sobą po raz pierwszy ożywioną pogawędkę, Robert zaproponował Ani, aby została jego żoną. Oświadczyły te ze względu na owo pamiętne miejsce i na piękne słowa, jakimi zostały wypowiedziane, wydały się Ani niezwykle romantyczne. Efekt był wspaniały. I to wszystko była prawda. Nie ulegało wątpliwości, że Robert był bardzo szczerym chłopcem i na pewno mówił to, co czuł. Wszystko więc zdawało się sprzyjać tej symfonii uczuć. Ania czuła, że powinna w tym momencie drzeć od czubka głowy do pięt. Tymczasem słowa Roberta nie wywołały w niej ani cienia dreszczu i była przerażająco zimna. Robert siedział przez chwilę w milczeniu, oczekując jej odpowiedzi. Czerwone wargi Ani rozchyliły się i miała już wypowiedzieć to króciutkie „tak”, gdy oto poczuła, że drży - ale jak człowiek, który w ostatniej chwili cofnął się znad brzegu przepaści. W umyśle jej zrodziło się nagle jak błyskawica zrozumienie tego wszystkiego, czego była nieświadoma przez długie lata. Cofnęła dłoń z uścisku Roberta.

- Nie, nie mogę zostać twoją żoną... Och, nie mogę... nie mogę! - zawołała z bólem.

Twarz Roberta pobladła. Czuł się urażony i dotknięty. Był pewny, że Ania mu nie odmówi.

- Co masz na myśli? - wyjąkał.

- Uważam, że nie mogę zostać twoją żoną - odparła Ania desperacko. - Myślałam, że będę mogła, ale nie mogę.

- Dlaczego nie możesz? - zapytał Robert już spokojniej.

- Bo nie kocham ciebie.

Rumieniec wystąpił na twarz Roberta.

- Więc przez te dwa lata byłem dla ciebie tylko igraszką? - zapytał wolno.

- Nie, nie! - zawołała Ania. Och, jakże będzie mogła mu to wytłumaczyć? Przecież są rzeczy, których dokładnie wyjaśnić nie można. - Miałam wrażenie, że cię kocham, naprawdę byłam o tym przekonana, ale teraz... zrozumiałam, że nie.

- Złamałaś mi życie - rzekł Robert z goryczą.

- Przebacz! - błagała Ania. Policzki jej płonęły, a w oczach ukazały się łzy.

Robert odwrócił się i przez kilka chwil spoglądał na morze. Gdy potem zbliżył się do Ani, był jeszcze bledszy niż przedtem.

- Nie mogę mieć nawet cienia nadziei? - zapytał.

Ania w milczeniu potrząsnęła głową.

- W takim razie żegnaj - rzekł Robert. - Nie mogę tego zrozumieć... Nie mogę sobie wyobrazić, że nie jesteś taką, za jaką cię uważałem. Ale nie czas teraz na wymówki. Byłaś jedyną kobietą, jaką kiedykolwiek kochałem. W każdym razie dziękuję ci za dotychczasową przyjaźń. Bądź zdrowa, Aniu.

- Bądź zdrow - wyszeptala.

I odszedł. A ona długo jeszcze siedziała w pawilonie, spoglądając na białą mgłę, która zawisała nad przystanią. Przeżywała chwile prawdziwego upokorzenia. Zalały ją fale wstydu i szalonej pogardy dla samej siebie. Lecz przez wszystko to przebijał jasny płomień przeświadczenia, że jednak wywalczyła sobie wolność.

O zmroku wróciła cichaczem do „Ustronia Patty” i natychmiast pobiegła do swego pokoju. Zastala Izę siedzącą na parapecie okna.

- Słuchaj! - zawołała chcąc uprzedzić pytanie Izy. - Słuchaj, chcę ci coś powiedzieć. Robert oświadczył się o moją rękę, ale ja - odmówiłam.

- Ty... ty mu odmówiłaś? - wybełkotała Iza.

- Tak.

- Aniu Shirley, czyś postradała zmysły?

- Możliwe - odparła Ania ze smutkiem. - Izo, nie rób mi wymówek. Ty tego nie rozumiesz.

- Naturalnie, że nie rozumiem. Przez dwa lata darzyłaś go sympatią, a teraz powiadasz, że mu odmówiłaś. W takim razie uważałaś to tylko za zwykły flirt. Wiesz, Aniu, nigdy bym się tego po tobie nie spodziewała.

- Wcale z nim nie flirtowałam... Do ostatniej chwili wierzyłam, że go Kocham... I nagle... nagle doszłam do wniosku, że nie mogę zostać jego żoną.

- Przypuszczam - rzekła Iza z okrucieństwem - żeś chciała wyjść za niego dla pieniędzy. Nagle zbudził się w twej duszy głos uczciwości, który przeszkodził temu.

- Nieprawda! Nigdy nie myślałam o jego pieniądzach. Och, ja ci tego nie potrafię wytłumaczyć, tak zresztą, jak i jemu nie potrafiłam.

- W każdym razie postąpiłaś z Robertem niesprawiedliwie! Skandalicznie! - zawołała Iza z przejęciem. - Jest bardzo przystojny, mądry, bogaty i dobry. Czegoż chcesz więcej?

- Tego czegoś, bez czego życie nie ma żadnej wartości. On mi tego dać nie może. Ujął mnie swym wyglądem i umiejętnością prawienia romantycznych komplementów. Poza tym uważałam, że powinnam się w nim zakochać, gdyż jest ideałem mężczyzny, jaki sobie ongiś wymarzyłam.

- Boleję zawsze nad tym, że jestem niezdecydowana, ale widzę, że z tobą jest jeszcze gorzej - zaopiniowała Iza.

- Ja decyduję się bardzo prędko - zaprotestowała Ania. - Najgorsze jest tylko to, że czasem zrozumienie tego, czego dotychczas zupełnie nie dostrzegałam, rodzi się we mnie zbyt późno.

- Wiesz, nie ma sensu mówić więcej na ten temat.

- Masz słuszość, Izo. Powinnam teraz starać się zapomnieć o przeszłości, bo to, co się stało, zepsuło mi wspomnienia o niej. Ilekroć wspomnę Redmond, tyle razy powróci przykre wrażenie dzisiejszego wieczoru. Wiem, że on mną gardzi, ty mną gardzisz i ja sama czuję dla siebie pogardę.

- Biedactwo kochane - szepnęła Iza ze współczuciem. - Chodź no tu, niech mi wolno będzie cię pocieszyć. Zresztą ja nie mam prawa czynić ci wymówek, bo gdyby na mojej drodze nie stanął Jurek," na pewno zostałabym żoną Alka albo Alonza. W życiu dziwnie się wszystko wikła, Aniu. Nie jest ono takie jasne i łatwe jak w powieściach.

- Myślę, że już nikt mi się nie oświadczy nigdy w życiu! - szlochała Ania wierząc w to szczerze w danej chwili.

## KARIERA JANKI ANDREWS

Po powrocie na Zielone Wzgórze Ania uświadomiła sobie dokładnie, że te ostatnie kilka tygodni były dla niej okresem przełomowym. Najbardziej, tęskniła za wesołym nastrojem, który zazwyczaj panował w „Ustroniu Patty”. Wszystkie marzenia, jakie snuła w ciągu ostatniej zimy, trzeba było złożyć do lamusa. Teraz wolała już nie marzyć, bo ciągle jeszcze odczuwała dla siebie pogardę. Doszła jednak do wniosku, że samotność, tylko wówczas jest dobra, gdy się ją zapełnia marzeniami, samotność zaś bez marzeń staje się szybko bardzo przykra.

Po owym rozstaniu w pawilonie nie widziała więcej Roberta, tylko podczas ostatnich dni pobytu w Kingsporcie odwiedziła ją Dorota.

- Ogromnie mi przykro, żeś odmówiła Robertowi - mówiła panna Gardner. - Tak marzyłam, że będę miała nową siostrzyczkę. Muszę ci jednak przyznać słuszność. Robert zanudziłby cię na śmierć. Kocham go, bo w gruncie rzeczy jest bardzo dobry, ale przyznaję, że jest wyjątkowo nieciekawym.

- Przypuszczam, że to nie zaważy na szali naszej przyjaźni, Doroto? - zapytała Ania lekliwie.

- Oczywiście że nie. Zbyt cię pokochałam, abym cię mogła teraz utracić. Skoro nie możesz zostać moją siostrą, to zostań chociaż serdeczną przyjaciółką. O Roberta się nie martw. Tymczasem rzeczywiście bardzo cierpi, codziennie muszę wysłuchiwać jego żalów, ale jestem pewna, że wreszcie zapomni. Zawsze tak było.

- Och, zawsze? - zawołała Ania ze zdziwieniem. - Więc przeżywał już takie rzeczy?

- Naturalnie - odparła szczerze Dorota. - Nawet dwa razy. I za każdym razem zamęczał mnie swymi zwierzeniami. Tamte wybranki nie odmówiły mu zupełnie zdecydowanie, tylko po prostu zaręczyły się z kimś innym. Gdy poznał ciebie, przysięgał mi, że dotychczas ani razu nie kochał prawdziwie, że tamto wszystko było tylko dziecięcą mrzonką, przypuszczam, że nie powinno cię to martwić.

Ania istotnie postanowiła się uspokoić. W jej duszy ulga staczała walkę z ubolewaniem. Robert powiedział jej przecież, że była jedyną kobietą, którą kochał prawdziwie. Prawdopodobnie mówił szczerze, ale teraz była już prawie pewna, że zapomni o tym wszystkim i weźmie się znowu do zdobywania serc kobiecych. W każdym razie ten jeden epizod pozbawił Anię wielu złudzeń i doszła do wniosku, że życie jest raczej nudne.

W kilka godzin po przyjeździe na Zielone Wzgórze Ania ze smutkiem weszła do

kuchni.

- Marylo, co się stało z Królową Śniegu?

- Wiedziałam, że cię to zmartwi - odparła Maryla. - I mnie to zmartwiło. Pamiętam to drzewko jeszcze z najdawniejszych lat mojej młodości. Niestety, w marcu przyszła szalona wichura i wyrwała Królową Śniegu z korzeniami. Potem się okazało, że korzenie już były nadgniłe.

- O, jak mi żal tego drzewa! - zawołała Ania ze smutkiem. - Bez tej wiśni moja facjatka wygląda jakoś obco. Już nigdy nie wyjrzę przez okno, bo zawsze przypomni mi się ta przykra strata. Diany także nie ma, a zawsze zjawiała się na Zielonym Wzgórzu, by mnie powitać.

- Diana musi teraz myśleć o czym innym - rzekła pani Linde z naciskiem.

- Opowiedzcie mi wszystkie nowinki avonlejskie - prosiła Ania sadowiąc się na schodkach. Promienie zachodzącego słońca złotym blaskiem rozświetliły jej włosy.

- Właściwie nowin jest niewiele, bo prawie o wszystkim dowiedziałaś się z naszych listów - uśmiechnęła się pani Małgorzata. - Sądzę, że nie wiesz jeszcze o tym, że w zeszłym tygodniu Szymon Fletcher złamał nogę. Rodzina oczywiście postanowiła to wykorzystać, aby wykonać wiele różnych rzeczy, które dotychczas staremu były nie na rękę.

- Ładną ma on rodzinę! - zauważyła Maryla.

- Ładną? No tak. Jego matka zazwyczaj podczas zebrań kościelnych wstawiała z ławki i prosiła obecnych, aby się modlili za jej dzieci, które mają mnóstwo wad. Wyobrażasz sobie, jak to na dzieci działało - robiły się jeszcze gorsze niż przedtem.

- Nie mówiłaś jeszcze Ani o Jance - wtrąciła Maryla.

- Ach, o Jance - parsknęła śmiechem pani Linde. - Wyobraź sobie - dodała po chwili z przekąsem - że Janka Andrews wróciła w zeszłym tygodniu do domu i podobno ma wyjść za mąż za jakiegoś milionera z Winnipeg. Oczywiście matka rozniosła zaraz tę wiadomość po całej wsi.

- Kochana Janka! Ogromnie się z tego cieszę! - zawołała Ania serdecznie. - Warta jest kariery.

- Nie przeczę, Janka jest naprawdę bardzo miła. Ale uważam, że nie nadaje się na żonę milionera. Zresztą jestem pewna, że ten kandydat na męża nie posiada nic oprócz pieniędzy, ot co. Pani Andrews twierdzi, że to Anglik, właściciel kilku kopalń. Na pewno ma dużo pieniędzy, bo obsypał Jankę klejnotami. Podarował jej zaręczynowy pierścionek z kamieniem, który wielkością swą przypomina plaster na



odcisk...

Panią Linde poniosło rozdrażnienie. Taka gąska, jak Janka, zaręczyła się z milionerem, gdy tymczasem Ania nie ma jeszcze właściwie żadnego konkurenta! A do tego matka Janki chełpi się zaręczynami córki do znudzenia!

- Co się stało z Gilbertem? - zagadnęła Maryla. - Spotkałam go w zeszłym tygodniu i nie mogłam go poznać, tak zeszczupełił i zbladł.

- Bardzo pracował ostatniej zimy - odparła Ania. - Wiesz przecież, że zdobył nagrodę Coopera, której w ciągu pięciu lat nikt nie mógł zdobyć. Nic dziwnego, że jest taki wyczerpany. Wszyscy zresztą jesteśmy zmęczeni.

- Ty przynajmniej skończyłaś uniwersytet, a Janka Andrews nawet go nie widziała - oznajmiła pani Linde z posępną satysfakcją.

W kilka dni potem Ania udała się z wizytą do Janki, lecz nie zastała jej. Pani Andrews oznajmiła Ani z dumą, że Janka jest w Charlottetown, bo musi przecież sprawić sobie trochę nowych rzeczy.

- W obecnych warunkach trudno, żeby szła suknię u jakiejś miejscowej szwaczki.

- Doszły mnie o Jance przyjemne nowiny - rzekła Ania.

- Tak. Janka była zawsze mądra i rozsądna, chociaż nie skończyła uniwersytetu - odparła pani Andrews wyniośle. - Pan Inglis jest naprawdę milionerem. W podróż poślubną wybierają się do Europy. Po powrocie zamierzają zamieszkać w prześlicznym marmurowym pałacu w Winnipeg. Janka martwi się tylko, że mąż na pewno nie pozwoli jej zajmować się gospodarstwem. Przecież stać go na służbę. Będą mieli kucharza, dwie pokojówki, stangreta i lokaja. Aniu, a co u ciebie słyhać? Jakoś nie słyszę nic o twoim zamążpójściu, mimo że skończyłaś uniwersytet?

- Och - zaśmiała się Ania - na pewno zostanę starą panną. Jakoś nie mogę sobie znaleźć odpowiedniego kandydata.

Słowa te wymówiła z umyślnym naciskiem, aby dać do zrozumienia pani Andrews, że jeśli zostanie starą panną, to nie dlatego, że otrzymała w życiu tylko jedną, pamiętną propozycję małżeństwa... Ale pani Andrews nie pozostała jej dłużna.

- Wybredne dziewczęta zawsze zostają na koszu - rzekła. - Czy to prawda, że Gilbert Blythe zaręczył się z panną Stuart? Karol Sloane mówi, że to skończona piękność.

- Nie wiem, czy to prawda, że Gilbert się zaręczył - odparła Ania spokojnie. - Istotnie, panna Stuart jest bardzo ładna.

- Kiedyś miałam wrażenie, że Gilbert ożeni się z tobą. Uważaj, żeby ci nie sprzątnięto sprzed nosa wszystkich adoratorów!

Ania postanowiła zaprzestać tej walki. Trudno przecież walczyć z tym, kto na uderzenie rapierem odpowiada ciosem topora.

- Pójdę już, skoro Janki nie ma - rzekła wstając z miejsca. - Przyjdę kiedyś ją odwiedzić, gdy będzie już w domu.

- Koniecznie, koniecznie! - zawołała pani Andrews wylewnie. - Janka wcale nie jest dumna i nie ma zamiaru zrywać z dawnymi przyjaciółkami. Ogromnie się ucieszy, jak przyjdiesz.

Pod koniec maja przyjechał milioner Janki, przywożąc narzeczonej nowe klejnoty. Jedyną pociechą dla pani Linde było to, że Inglis miał już około czterdziestu lat, był mały, tęgi i siwy. Toteż kiedy pani Linde o nim mówiła, nie skąpiła mu żadnych wad.

- Nic dziwnego, że musi dziewczynę przynęcać pieniędzmi - mówiła z uśmiechem.

- Zdaje się, że to jest miły człowiek - broniła go Ania lojalnie. - Jestem pewna, że naprawdę Jankę pokochał.

- E, tam! - odparła pani Małgorzata.

W następnym tygodniu miał się odbyć ślub Izy Gordon, więc Ania pojechała do Bolingbroke, aby być druhną przyjaciółki. Iza w ślubnym stroju sprawiała wrażenie zaczarowanej księżniczki z bajki, a wielebny Jerzy promieniał ze szczęścia.

- Jak para kochanków będziemy kroczyć przez krainę Ewangelii - mówiła Iza - aż wreszcie osiadziemy na ulicy Pattersona. Matka uważa, że to okropne, i twierdzi, że Jurek powinien się postarać o probostwo w jakimś większym mieście, ja jednak jestem pewna, że i tu, w robotniczej dzielnicy, przy boku Jurka będę się czuła doskonale. Och, Aniu, jestem ta szczęśliwa, że aż serce mnie boli!

Anię radowało ogromnie to szczęście przyjaciółki, lecz chwilami przenikało ją dotkliwe uczucie osamotnienia. Otaczało ją zewsząd szczęście, które nie było jej własnym. To bolesne uczucie nie minęło nawet po powrocie do Avonlea. W tym czasie Diana powiła maleństwo i oczywiście radość jej wzmogła się jeszcze bardziej. Ania patrzyła na młodą matkę z dziwnym szacunkiem, jakiego nigdy dawniej w stosunku do niej nie odczuwała. Czyż ta blada kobieta z błyskiem uniesienia w oczach to ta sama Diana, przyjaciółka ze szkolnych dni, czarnowłosa, rumiana niegdyś dziewczynka? Samotność coraz bardziej dawała się Ani we znaki i chwilami miała

wrażenie, że kartki jej życia zamknęły się na stronicy, na której była spisana jedynie - przeszłość.

- Czyż on nie jest cudowny? - pytała Diana z dumą.

Mały tłusciuch był zupełnie podobny do Alfreda - równie okrągły i równie rumiany. Ania nie myślała, że jest cudowny, ale przyznawała, że jest miły i uroczy i że patrząc nań, chciałoby się go ciągle całować.

- Dawniej marzyłam o córce, aby jej móc dać imię Ania - uśmiechnęła się Diana. - Ale teraz mego małego Alfreda nie oddałabym za tysiąc dziewczynek.

- Każde niemowlę wydaje się matce najmiłsze i najpiękniejsze - wtrąciła pani Allan. - Ręczę ci, że maleńką Anię kochałabyś tak samo jak tego ; grubaska.

Pani Allan po raz pierwszy po długiej nieobecności przyjechała do Avonlea. Była tak samo jak dawniej wesola i miła. Dziewczęta powitały ją z radością, bo żona obecnego pastora jakoś z nikim nie potrafiła się zżyć.

- Kiedy on wreszcie zacznie mówić? - westchnęła Diana pieszcząc ciągle swojego pierworodnego. - Oszaleję chyba, jak usłyszę z jego ust słowo „mama”. Chciałabym, aby jego pierwsze wspomnienie o mnie było miłe. Moje pierwsze wspomnienie o matce nie jest przyjemne: dostałam klapsa za jakąś psotę. Z pewnością zasłużyłam na to, mama była bowiem bardzo dobra i zawsze ją ogromnie kochałam. Postaram się jednak, żeby pierwsze wspomnienie Alfreda o mnie było radośniejsze.

- Ja o swojej matce mam tylko jedno wspomnienie i jest to najdroższe ze wszystkich moich wspomnień - uśmiechnęła się pani Allan. - Miałam wtedy pięć lat i poszłam po raz pierwszy do szkoły razem z siostrami. Po skończonych lekcjach siostry wróciły z koleżankami, zapomniawszy o mnie zupełnie. Ja tymczasem szłam z jakąś małą dziewczynką, po czym poszłyśmy do niej - mieszkała blisko szkoły - i zaczęłyśmy robić na podwórku babki z piasku. Nagle ujrzałam przed sobą zagniewaną starszą siostrę. „Ty paskudna! - zawołała chwytając mnie za rękę. - Chodź zaraz do domu. Zobaczysz, co cię tam czeka. Mama jest ogromnie zła. Dostaniesz baty”. Dotychczas nigdy mnie nie bito, więc przeraziłam się bardzo. Nigdy nie byłam tak nieszczęśliwa jak w czasie tej drogi do domu. I przecież właściwie nie chciałam być niegrzeczna. Moja mała koleżanka zaprosiła mnie do siebie, a ja nie wiedziałam, że czynię źle, przyjmując to zaproszenie. I za to teraz miałam dostać baty. Po powrocie do domu siostra zaciągnęła mnie do kuchni, gdzie siedziała matka. Nogi mi drżały i po prostu nie mogłam się na nich utrzymać. Tymczasem mama przyciągnęła mnie do siebie,

ucałowała i przytuliła do serca. „Lękałam się, że zabłądziłaś, kochanie” - rzekła czule. Ujrzałam w jej oczach prawdziwą miłość. Nigdy na mnie nie krzyczała, tylko upominała. I wtedy powiedziała po prostu, że nie powinnam się oddalać bez pozwolenia. Matka moja wkrótce potem umarła i to jest jedyne wspomnienie, jakie mi po niej zostało. Czyż nie piękne?

Ania najbardziej odczuła swą samotność, gdy powracała do domu przez Ścieżkę Brzóz i Szum Wierzb. Już od kilku miesięcy ani razu nie przechodziła tą drogą. Wieczór, rozjaśniony purpurą nieba, przepełniony był ostrą, ciężką wonią kwiecia. Przydrożne brzozy, niedawno jeszcze malutkie, wyrosły teraz na duże drzewa. Wszystko się zmieniło. Ania poczuła, że pragnie, by lato minęło i by mogła znowu rozpocząć dawną pracę. Może życie wówczas nie wydawałoby jej się tak puste. Doprawdy, czyżby świat był pozbawiony całkowicie romantyczności? Rozpamiętywanie tej myśli, która wydała się Ani... romantyczna, pokrzepiło ją nieco.

## OBJAWIENIE

Na lato państwo Irving powrócili do Chatki Ech i Ania spędziła u nich całe trzy uroczne tygodnie. Panna Lawenda nie zmieniła się zupełnie, a Karolina Czwarta stała się dorosłą, młodą kobietą, lecz jak dawniej darzyła Anię prawdziwym uwielbieniem.

- Muszę przyznać, panno Shirley, że w całym Bostonie nie spotkałam i takiej osoby jak pani - oznajmiła szczerze.

Jaś wyrósł także. Miał już teraz szesnaście lat. Włosy mu pociemniały, znikły złociste kędziory. Interesowała go najbardziej piłka nożna, a o bajkach już dawno zapomniał, chociaż nie przestał kochać swej dawnej nauczycielki. To, co jest drogie w dzieciństwie, na ogół pozostaje drogie i później.

W słotny deszczowy wieczór lipcowy Ania powracała na Zielone Wzgórze.

- Czy to Jaś odprowadził cię do domu? - zagadnęła Maryla. - Czemu nie zatrzymałaś go na noc? Znosi się na większy deszcz.

- Zdąży jeszcze do domu, zanim się rozpada na dobre. Powiedział, że koniecznie musi wrócić. Cudownie się tam u nich czułam, ale jestem rada, że was znowu widzę. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Tadziu, znów urosłeś?

- Jestem większy o jeden cal - odparł Tadzio z dumą. - Jestem już teraz taki wysoki jak Emilek Boutler. Ogromnie się z tego cieszę, bo wreszcie przestanie się chwalić, że jest wyższy ode mnie. Aniu, czy ty wiesz, że Gilbert Blythe jest umierający?

Ania stanęła nieruchomo z oczami utkwionymi w twarzy Tadzia. Nagle tak strasznie pobladła, że Maryla przeraziła się, iż zemdleje.

- Nie gadaj głupstw, Tadek! - zawołała gniewnie pani Małgorzata. - Aniu, nie przejmuj się tak straszliwie. Chcieliśmy cię do tej wiadomości przygotować powoli.

- Więc to prawda? - zapytała Ania nieswoim głosem.

- Gilbert jest bardzo chory - odparła pani Linde z powagą. - Po twoim wyjeździe do Chatki Ech zachorował na tyfus. Nic o tym nie wiedziałaś?

- Nie - wyszeptała Ania tym samym dziwnym głosem.

- Stan był od razu groźny. Lekarz utrzymuje, że Gilbert jest wyczerpany. Przyjęli nawet pielęgniarkę i ratują go, jak mogą. Ale ty nie przejmuj się aż tak, Aniu. Przecież póki żyje, poty trzeba mieć nadzieję.

- Pan Harrison mówił mi dzisiaj, że nie ma żadnej nadziei - wtrącił Tadzio.

Mimo wielkiego przygnębienia Maryla podniosła się energicznie z krzesła i ujawszy Tadzia za rękę, wyprowadziła go z kuchni.

- Moja kochana, nie powinnaś się tak przejmować - tłumaczyła pani

Małgorzata, obejmując Anię serdecznie. - Ja nie tracę nadziei. Przecież to młody chłopak i musi mieć silny organizm.

Ania łagodnie wysunęła się z objęć pani Linde i przeszedłszy kuchnię i przedsiónek, weszła po schodach na swoją facjatkę. Przy oknie padła na kolana i utkwiała wzrok w bezgwiezdny niebie. Deszcz przechodził w coraz większą ulewę. Las Duchów był pełen jęków potężnych drzew miotanych wichurą, powietrze drgało od huku ciężkich fal, uderzających z łoskotem w odległy brzeg morza. I - Gilbert umierał!

W każdym życiu istnieje księga objawienia, tak samo jak istnieje ona w Biblii. Tej nocy podczas długich godzin czuwania Ania czytała swą księgę. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że kocha Gilberta! Kochała go zawsze! Życie bez niego utraciłoby dla niej wszelką wartość. Niestety, świadomość ta przysłała za późno. Gdyby nie była dotychczas tak ślepa, tak szalona, miałaby teraz prawo pójść tam, do niego, i być przy nim do ostatka. I oto Gilbert nie dowie się, że ona go kochała. Odejdzie stąd z przekonaniem, że ją wcale nie obchodzi. Czowała, że nie przeżyje tego. Siedząc tak przy oknie, po raz pierwszy zapragnęła umrzeć, zdając sobie sprawę, że jeśli Gilbert odejdzie z tego świata bez jednego słowa zwróconego do niej, dalsze jej życie będzie jedną męczarnią. Teraz zrozumiała, że Gilbert nie kochał Krystyny Stuart, tak samo jak ona nie kochała Roberta Gardnera. Jakże mogła nie dostrzec tej silnej więzi łączącej ją z Gilbertem i sądzić, że darzy miłością Roberta! Teraz za swoją głupotę musi płacić jak za zbrodnię.

Przed udaniem się na odpoczynek pani Linde i Maryla podeszły cichutko pod drzwi pokoju Ani, lecz nie słysząc stamtąd żadnego szmeru, odeszły kiwając smutnie głowami.

Wreszcie nad ranem deszcz przestał padać. Baśniowy brzask dnia zaczął się powoli przedzierać przez ciemną zasłonę nocy. Na wschodzie ukazały się szczyty wzgórz otoczone rubinowym pierścieniem. Ciemne chmury powędrowały w dal łącząc się na horyzoncie w jeden biały obłok. Niebo kryło się błękitem i srebrzystymi chmurkami. Cisza zaległa na świecie.

Ania wstała z kolan i zeszła na dół. Powietrze odświeżone niedawnym deszczem orzeźwiło jej twarz i zaczerwienione oczy. Nagle dobiegło jej uszu wesołe pogwizdywanie. W chwilę potem na zakręcie drogi ukazał się służący sąsiada Blythe'ów, Piotrek. Jego chlebodawczyni była to ciotka Gilberta. Piotrek mógł wiedzieć... jeżeli... jeżeli...

Siły odmówiły Ani posłuszeństwa; gdyby się nie oparła o pobliską wierzbę -

upadłaby.

Piotrek nie zauważył jej i szedł dalej gościńcem, gwizdząc wesoło. Ania nie mogła wydobyć głosu. Wreszcie, gdy już ją prawie minął, opanowała drżenie warg i przywołała go do siebie.

Chłopak podbiegł do niej z wesołym powitaniem.

- Idziesz z domu? - zapytała słabym głosem.

- Tak - odparł grzecznie. - Wczoraj dowiedziałem się, że ojciec mój zachorował, ale była taka ulewa, że wybrałem się w drogę dopiero dzisiaj. Pójdę na przełaj lasem, będzie bliżej.

- Czy wiesz, jak się czuje dzisiaj pan Gilbert?

Ania wolała usłyszeć najstraszliwszą wiadomość, niż żyć dalej w tej niepewności.

- Lepiej - powiedział Piotrek. - Wczoraj wieczorem było przesilenie. Lekarze mówią, że będzie zupełnie zdrow, ale wczoraj myśleli już, że umrze. Biedak, zameczył się na tym uniwersytecie. Ale muszę już iść, bo mój staruszek na pewno tam na mnie niecierpliwie czeka. - To mówiąc ruszył dalej i po chwili Ania usłyszała znowu jego wesołe pogwizdywanie. Był to chudy i nędznie odziany chłopak. Ani jednak wydał się w tej chwili nieomal piękny. Wiedziała, że jego okrągłą, ogorzałą twarz o czarnych oczach będzie widziała zawsze, wspominając tę szczęśliwą chwilę, kiedy zamiast żalobnej wieści usłyszała radosną nowinę.

Umilkło już echo gwizdania Piotrka, a Ania wciąż stała pod wierzbą, upajając się szczęściem, które na nią spłynęło po tej koszmarnej nocy. W rogu ogrodu ujrzała ze zdziwieniem nowo rozkwitłe róże z kroplami rosy na świeżych płatkach. Śpiew ptaków rozbrzmiewający wśród konarów drzew zdawał się być w doskonałej harmonii z rozpierającym ją uczuciem szczęścia. Przyszło jej na myśl zdanie z bardzo starej, bardzo prawdziwej i bardzo mądrej księgi:

„Płacz może trwać noc całą, lecz o poranku nadejdzie radość”.

## MIŁOŚĆ ZWYCIĘŻA

- Przyszedłem zapytać, czy nie zechciałabyś pójść na spacer jak za dawnych, dobrych lat - rzekł Gilbert stając nagle przed gankiem. - Może poszlibyśmy do ogródka Heleny Gray?

Siedząc na kamiennych schodkach, ze zwojem zielonego batystu na kolanach, Ania niepewnie spojrzała na przybyłego.

- Bardzo bym chętnie poszła - odparła - lecz niestety nie mogę, Gilbertcie. Muszę być dziś wieczorem na ślubie Ali Penhallow, a przedtem muszę jeszcze wykończyć tę suknię. Ogromnie mi przykro. Z wielką przyjemnością poszłabym z tobą na spacer.

- Więc może jutro po południu? - zaproponował Gilbert, widocznie jeszcze niezbyt rozczarowany.

- Bardzo chętnie.

- Wobec tego wrócę teraz do domu i uporam się z robotą, którą odłożyłem na jutro. To dzisiaj jest ślub Ali? Patrz, Aniu, aż trzy śluby podczas jednych wakacji... Izy, Ali i Janki. Nie mogę Jance wybaczyć, że mnie nie zaprosiła na swój ślub.

- Trudno mieć do niej urazę, bo miała takie mnóstwo krewnych, że i tak ledwie się pomieścili w ich mieszkaniu. Ja zostałam zaproszona tylko dlatego, że byłam szkolną koleżanką Janki, a pani Andrews musiała się przecież przed kimś pochwalić.

- Czy to prawda, że Janka miała na sobie tyle brylantów?

Ania roześmiała się głośno.

- Istotnie, biżuterię miała precudną. Z powodu tych klejnotów, jedwabnej sukni z tiulem i koronkami i z powodu całego stosu kwiatów sama Janka prawie w tym wszystkim ginęła. Ale za to była ogromnie szczęśliwa, podobnie jak jej matka i pan młody.

- To na dzisiaj przygotowujesz tę suknię? - zagadnął Gilbert wskazując zwój batystu spoczywający na kolanach Ani.

- Tak. Prawda, że ładna? We włosach będę miała astry. W Lesie Duchów rośnie ich w tym roku mnóstwo.

Oczami wyobraźni Gilbert ujrzał Anię w zielonej sukni z falbankami i z białymi astrami w kasztanowych włosach. Ta wizja na chwilę zatamowała mu oddech, szybko jednak odzyskał utraconą równowagę.

- Jutro po ciebie wstąpię. Życzę ci wesołej zabawy.

Ania spojrzała za nim z westchnieniem. Gilbert był dla niej znowu przyjacielski



- bardzo przyjacielski - za bardzo. Po powrocie do zdrowia często odwiedzał Zielone Wzgórze i zdawać się mogło, że odżyła dawna ich szkolna przyjaźń. Jednakże Ani teraz to już nie wystarczało. Purpurowy kwiat miłości przysłał skromne pączki przyjaźni i tłumił je odurzającą wonią. W duszyczce Ani coraz częściej rodziła się wątpliwość, czy Gilbert jeszcze ją kocha. W chwilach samotności przypominała sobie ów wiosenny wieczór w małym ogródku „Ustronia Patty”. Czy zdoła kiedykolwiek naprawić swą omyłkę? Było przecież bardzo prawdopodobne, że Gilbert jednak zakochał się w Krystynie. Może nawet byli już zaręczeni? Ania starała się tłumić rozbudzone nadzieje i postanowiła usilną pracą zabić w sobie uczucie miłości. Przecież jako nauczycielka może być bardzo potrzebna społeczeństwu, przy tym jej małe nowelki spotykały się z coraz częstszymi pochwałami rozmaitych wydawców. Jednak... jednak... Ania uniosła zwój batystu i westchnęła znowu głęboko.

Nazajutrz po południu Gilbert zastał Anię czekającą na niego, ożywioną i radosną. Miała na sobie dawną swą zieloną sukienkę, którą Gilbert kiedyś tak bardzo lubił. Zielony kolor podkreślał przepych jej włosów, blask oczu i delikatność cery. Gilbert doszedł nawet do wniosku, że nigdy dotychczas nie wyglądała tak czarująco. Ania, idąc przy boku przyjaciela, co pewien czas spoglądała nań ukradkiem i zauważyła, że podczas choroby ogromnie spoważniał. Jego chłopięce lata pozostały już za nim.

Pogoda była prześliczna. Wreszcie dotarli do ogródka Heleny Gray i usiedli na małej, omszałej ławeczce. Ani przywiodło to na myśl ów cudowny dzień, kiedy wraz z Dianą, Janką i Priscillą urządziły rozkoszną majówkę i odkryły ten uroczy zakątek pełen narcyzów i fiołków. Teraz rozżłocony był promieniami słońca i przystrojony niebieskawymi astrami. Poprzez las i aleję brzoź dobiegało szemranie potoku wabiące do siebie takim samym czarem jak niegdyś.

Powiał zachodni wiatr, a z nim wróciły dawne marzenia.

- Mam wrażenie - szepnęła Ania miękko - że tam w dole, nad małą dolinką, rozgościła się kraina spełnienia marzeń.

- Czy któreś z twoich marzeń nie zostało spełnione? - zapytał Gilbert.

Jakaś drobna nuta w jego głosie, nuta, której nie słyszała od owego marcowego wieczora w ogrodzie „Ustronia Patty”, wywołała drżenie w sercu dziewczyny. Opanowała się jednak i odrzekła zupełnie swobodnie:

- Każdy posiada takie marzenia. Wątpię, czy ci ludzie, których wszystkie marzenia się spełniają, są zupełnie szczęśliwi. Jakże pięknie pachną te astry i

paprocie! Chciałabym, aby zapach można było nie tylko wąchać, ale widzieć. Jestem pewna, że byłby śliczny.

Lecz Gilbert nie dawał za wygraną.

- Ja osobiście mam tylko jedno marzenie - odezwał się przyciszonym głosem. - Powraca ono do mnie ciągle, chociaż wiem, że prawdopodobnie nigdy się nie spełni. Marzę o własnym domu, o rozpalonym ogniu na kominku, o własnym kocie i psie, o odgłosie kroków przyjaciół, którzy przyszli w odwiedziny i - marzę o tobie.

Ania nie mogła znaleźć słów odpowiedzi. Szczęście ogarnęło ją gorącą falą.

- Dwa lata temu zadałem ci pewne pytanie, Aniu. Czy dzisiaj odpowiedź byłaby inna, gdybym to pytanie powtórzył?

Ania milczała, bo nie mogła przemówić. Podniosła jednak głowę i przez chwilę patrzyła Gilbertowi w oczy spojrzeniem pełnym miłosego uniesienia. Dla niego ta niema odpowiedź była wszystkim.

Zapadający zmrok zastał ich jeszcze spacerujących po zacisznym ogrodzie, pełnym słodkich zapachów. Mieli sobie tyle do powiedzenia!

- Byłam pewna, że kochasz Krystynę Stuart - szepnęła Ania w pewnej chwili z wyrzutem, jak gdyby ona sama nie dawała mu powodów do przypuszczenia, że jest zakochana w Robercie Gardnerze.

Gilbert zaśmiał się serdecznie.

- Krystyna jest od dawna zaręczona z którymś ze swoich przyjaciół. Sama mi o tym mówiła. Brat jej prosił mnie, abym się nią zaopiekował, gdy przyjedzie do Kingsportu uczyć się muzyki. Spełniłem więc tylko jego życzenie. Zresztą Krystynę bardzo polubiłem - jest naprawdę ogromnie miłą dziewczyną - i nie obchodziły mnie krążące o nas plotki. Cóż zresztą mogło mnie dotknąć po tym, jak powiedziałaś mi, że mnie nigdy nie pokochasz, Aniu? Poza tobą przecież nie istniała i nie istnieje dla mnie na świecie żadna inna kobieta. Kochałem cię od tego dnia, kiedy w szkole rzuciłaś we mnie swoją tabliczką.

- Nie rozumiem, jak mogłeś pokochać taką gąskę jak ja - uśmiechnęła się Ania.

- Chciałem zabić w sobie to uczucie - odparł Gilbert szczerze - bo właściwie nie miałem już zupełnie nadziei, odkąd Gardner zbliżył się do ciebie. Jednakże te wszystkie moje wysiłki nie odniosły żadnego skutku. Nie potrafię ci opisać, co znaczyły dla mnie te ostatnie dwa lata i jak cierpiałem, gdy w Redmondzie opowiadano o twych bliskich zaręczynach z Robertem. Wierzyłem w to - do pewnego błogosławionego dnia. Otóż, gdy wreszcie minął kryzys mojej choroby, otrzymałem

list od Izy Gordon, a właściwie od Izy Blake, w którym pisała mi, że między tobą a Robertem do niczego nie doszło, i radziła mi, abym „spróbował raz jeszcze”. Po tym liście bardzo szybko zacząłem wracać do zdrowia, co wywołało nawet szczere zdziwienie mego doktora.

Ania uczuła nagle przenikający ją dreszcz.

- Nigdy nie zapomnę tej strasznej nocy, gdyś ty właśnie przechodził ów kryzys. Dopiero wtedy uprzytomniłam sobie, że cię kocham, ale byłam pewna, że świadomość moja przyszła za późno.

- Tymczasem przyszła w samą porę, kochanie. Teraz wszystko już będzie dobrze, prawda? Niech ten dzień pozostanie naszą najuroczystszą rocznicą - dziś zostaliśmy obdarzeni najwyższym pięknem życia.

- A więc dzień dzisiejszy jest dniem narodzin naszego szczęścia - powiedziała Ania miękko. - Zawsze kochałam ten stary ogródek Heleny Gray, ale teraz będzie mi on jeszcze droższy.

- Niestety, Aniu, będziesz musiała na mnie jeszcze długo czekać - rzekł Gilbert ze smutkiem. - Dopiero za trzy lata skończę medycynę, a wątpię, czy i potem będę mógł cię obsypać klejnotami i czy będziemy mogli zamieszkać w marmurowym pałacu.

Ania zaśmiała się serdecznie.

- Nie pragnę brylantów ani marmurowych pałaców, pragnę mieć ciebie i tylko ciebie. Widzisz, jestem pod tym względem tak samo bezwstydną jak Iza. Ściany marmurowego pałacu zasłoniłyby mi widok na bezmiar przestrzeni moich marzeń. Czekać także się zgadzam. Czas oczekiwania mijać nam będzie szybko przy pracy i wspólnych marzeniach o przyszłości. O, te marzenia będą teraz słodkie!...

Gilbert przytulił ją do siebie i złożył na jej ustach pierwszy gorący pocałunek. Potem wolnym krokiem wrócili do domu niby para królewska, ukoronowana w krainie miłości. Przed nimi wiły się wąskie ścieżki ubarwione najbardziej uroczymi kwiatami, jakie kiedykolwiek kwitły, i osłonięte rozłożystymi konarami drzew, w których wiatr zawodził melodię tęsknych wspomnień i słodkich nadziei na przyszłość.